



SYRENA

ROK XXIII
PARYŻ—LONDYN

ORZEŁ BIAŁY

Polska walcząca o wolność

Nr 33-4/1101-2 (831-2) CZWARTEK, 15-22. VIII. 1963

STEFAN MĘKARSKI

KU NOWEMU ZAOSTRZENIU PARTYJNEJ POLITYKI KULTURALNEJ

W SZYSTKIE notowane dotychczas odwróty od „października“ w polityce kulturalnej rządów Gomułki okazały się najwidoczniej niewystarczające, skoro na lipcowym plenum „ideologicznym“ KC PZPR kierownik partii zapowiedział dalsze wzmocnienie kontroli partyjnej w tej dziedzinie.

Partia komunistyczna wkraczając w 20 rok swej dyktatury nad Polską — jest niezadowolona. Wszystko wprawdzie — według Gomułki — udało się jej osiągnąć w ciągu tego dwudziestolecia w polityce i w gospodarce. Jednego tylko nie potrafiła: narzucić Polakom swej ideologii. Ta świadomość, jak chmura gradowa zaciemniła urzędowy optymizm kierownika partii i wszystkich uczestników dyskusji na plenum: świadomość klęski partyjnej w bitwie, toczony na odcinku najważniejszym i najistotniejszym.

Należy bliżej zapoznać się z autoritatywną analizą tych niepowodzeń, dokonaną w referacie Gomułki, opracowanym przeciw przez najteższe mózgi kierownictwa partyjnego i stanowiącym równocześnie wytyczne dla partii na przyszłość. Dopiero znajomość poszczególnych ogniw tej analizy pozwala się zorientować w rozmiarach ideowej klęski komunistów.

Jest rzeczą zadziwiającą, że Gomułka na czoło wysuwa historyków, jako obciążonych główną odpowiedzialnością za brak postępu w „przekształcaniu świadomości“ społeczeństwa w duchu marksizmu-leninizmu. Zadziwiająca dla tego, że przecież komuniści starali się od początku swej władzy organizować dla swych celów ideologicznych kadry uniwersyteckich historyków i — zdawało się — osiągnęli pod tym względem pewne rezultaty zarówno przez opanowanie redakcji czasopism historycznych jak i przez wydanie szeregu pseudonaukowych prac marksistowsko-leninowskich historyków (H. Jabłońskiego, S. Arnolda, M. Żychowskiego, M. Turlejskiej, S. Arscha-Arskiego i in., nie mówiąc o wielotomowej Historii Polski PAN).

Owszem, Gomułka pochwalił Historię PAN, ale partyjne zyski z niej są, nikt w porównaniu z faktem, że — jak oświadczył — „teren największego oddziaływania społecznego historii... znajduje się w rękach historyków lub pisarzy myślących konserwatywnie, trzymających się burżuazyjnych sposobów myślenia, nie rozumiejących istotnego sensu dziejów“... Historycy uciekają od tematyki współczesnej, nie umieją „klasować“ oceniać tradycji, co gorsza, niektórzy z nich mają odwagę atakować marksistowską historiografię za zbyt krytyczny stosunek do polityki w dwudziestolecie niepodległości, „wybielać“ PPS i „potępiać“ działalność komunistów w tym okresie. Gomułka wskazuje nawet groźnie palcem na winowajców tej herezji, a

mianowicie na warszawski oddział Towarzystwa Miłośników Historii.

Z niemiejszą pasją dobrał się sekretarz partii do „słabości frontu ideologicznego“ w tzw. naukach społecznych, w szczególności w socjologii. Przypomnieć tu należy, że tuż po październiku 1956 sekretarz PAN prof. H. Jabłoński publicznie deklorował dopuszczenie różnych — obok marksizmu-leninizmu — szkół myślenia w naukach społecznych. W szcze-

gólności „rehabilitowana“ miała być w socjologii szkoła Znanieckiego, „wykleta“ w tzw. okresie minionym.

Jakże daleko odszedł w swym lipcowym referacie Gomułka od tych zapowiedzi sprzed 7 laty! Oto „wielu socjologów stanęło na pozycjach pokojowego współistnienia z socjologią burżuazyjną“; głoszą oni, że „ideologia marksizmu-leninizmu nie ma nic wspólnego z nauką“, posługują się

(Dokończenie na str. 5)

NA DZIEN ŚWIĘTA ŻOŁNIERZA

Rocznica historycznego zwycięstwa sierpniowego 1920 roku jest wielką kartą dziejów naszego narodu. Z niej czytać powinniśmy głęboką a często tajoną prawdę o mocy i wielkości ducha Polski, która nigdy, w najcięższych nawet warunkach jakie przyniosły losy historii, nie pogodziła się z niewolą.

1920 rok dał zwycięstwo nad najeźdźczymi armiami sowieckimi bodaj większe i bardziej natychmiastowo rozstrzygające w swych skutkach niż największe zwycięstwa polskie w wiekach ubiegłych. Potęga niepowstrzymanej zdawało się fali krwawego najazdu bolszewickiego została złamana na całe pokolenie. Istnienie wskrzeszonej Rzeczypospolitej zostało umocnione a reszta Europy uniknęła zalewu komunistycznego.

Dzisiaj już od lat Polska jest we władaniu obcej przemocy. Ciężka praca i znój narodu polskiego idzie na jego własne dobro tylko w tej części jaką Sowiety wyznaczają. Polityka wewnętrzna i zagraniczna państwa nazwanego Polską Republiką Ludową nie ma nic wspólnego z działaniem na rzecz prawdziwego dobra i obrony interesów narodu polskiego. Rok za rokiem, dzień za dniem, Polskę nasycza się podstępnie stosowanymi dawkami otepienia i zatrucia moralnością komunistyczną. Ale sama ideologia komunistyczna wypowiadająca walkę Bogu i dążąca do znieszenia podstawowych praw człowieka, już widocznie słabnie i traci swe znaczenie. Jej obecną siłą jest tylko umiejętna gra kierownictwa sowieckiego na arenie międzynarodowej oparta o niedające się sprawdzić wyobrażenie o wielkiej potędze zbrojnej Związku Sowieckiego.

Wolne narodu świata postawiły przed sobą wizję pokojowej Rosji Sowieckiej, która jakoby chce zerwać z całą swą przeszłością. Żeby w to uwierzyć trzeba by zamknąć oczy na fakt, że kierownicy imperium sowieckiego to ci sami, którzy osobiście kierowali wyniszczeniem milionów ludzi, postępująco spełniając najstraszniejsze rozkazy Stalina. Czy mogą to być dobroduszy i lojalni partnerzy umów międzynarodowych, czy mogą nimi być przedstawiciele państwa, które nie dotrzymało w swej historii żadnego paktu o nieagresji — oprócz zmywy z Hitlerem w 1939 roku?

Odpowiedź i przestrożę dał właśnie przedstawiciel Stanów Zjednoczonych w niedawnych rokowaniach w Moskwie, stwierdzając po powrocie, że pomimo obecnych nastrojów optymistycznych, towarzyszących zawarciu paktu o zakazie prób nuklearnych, Sowiety (i Chiny) nie wyrzekły się i nigdy nie wyrzekną swoich ostatecznych celów zawiadnięcia światem.

W tym obrazie obecnej sytuacji moż-

na dostrzec plamy i cienie nieznanego dotąd koloru. Są to pewne przemiany i fermenty wewnętrzne nieuniknione w życiu państwa dyktatury i samowładztwa nad obywatelami. Świat zachodni dostrzega te przemiany i chciałby widzieć w nich objawy kryzysów. Czy się nie ludzi? Bolszewizm powstał w drodze najkrwawszej przemocy garstki ludzi nad dziesiątkami milionów pomordowanych przez siebie współobywateli. Czy odejdzie bez użycia siły?

Drodzy Koledzy, Żołnierze, Marynarze i Lotnicy! Po latach ostatnich, które uczyły nas cierpliwości, dzisiaj wobec wielu przemian na świecie sprawa niepodległości Polski może być bliższa. Proszę Boga by rozstrzygnięcie Opatrzności przyniosło prawdziwy pokój i prawdziwą wolność naszym braciom i siostram w Kraju. Wiare tę każdy z nas nosi w swym sercu, a pamięć wielkiego zwycięstwa w Bitwie Warszawskiej 1920 roku niech nam będzie wskazaniem i światłem promiennej przyszłości.

GENERAL W. ANDERS

NASTĘPNY NR „ORŁA BIAŁEGO/SYRENY“ ukaże się po dwutygodniowej przerwie wakacyjnej w dniu 29 sierpnia 1963.

PAWEŁ HECIAK

W 20-TĄ ROCZNICĘ ARESZTOWANIA KOMENDANTA AK GEN. S. ROWECKIEGO („GROTA“)



Z OKAZJI 20-tej rocznicy aresztowania przez Gestapo w Warszawie b. dowódcy Armii Krajowej gen. Stefana Roweckiego (pseud. „Grot“), ukazało się w prasie krajowej szereg artykułów, w których autorzy przypominają szczegółowo w jaki sposób doszło do aresztowania tego wybitnego dowódcy, który zakładał pierwsze zręby organizacyjne do walki zbrojnej przeciwko okupantowi niemieckiemu. Trzeba podkreślić, że wspomnienia te różnią się w tonie znacznie od podobnych opisów z okresu „minionej epoki“ — stalinowskiej czy bierutowskiej, gdy stawiano Komendzie Głównej AK najpotworniejsze nieraz zarzuty, zwalając na nią całą odpowiedzialność za owe nieszczone aresztowanie. Opierając się na tych — przynajmniej — nieznanych nieraz i nowych informacjach, podanych przez prasę krajową — przedstawiamy poniżej historię aresztowania „Grota“.

Przypomnijmy na wstępie, iż Stefan Rowecki urodził się w 1895 w Piotrkowie. Był członkiem tajnych drużyn strzeleckich w latach 1912—1914, następnie żołnierzem I Brygady Legionów Polskich od 1914—1917. W

latach powojennych założył „Przełęcz Wojskowy“ — wydawnictwo poświęcone zagadnieniom wojskowym a w r. 1928 napisał pracę pt. „Walki uliczne“. Po kampanii wrześniowej w czasie której dowodził nowoorganizowaną Brygadą Warszawską Pancerno-Motorową wraca do Warszawy i 1 października 1939 zostaje — jako płk. Grabica — szefem sztabu pierwszej polskiej podziemnej organizacji wojskowej „Służba Zwycięstwu Polsce“. W grudniu 1939 r. zostaje — już jako generał brygady — komendantem głównym Związku Walki Zbrojnej, powołanego do życia przez gen. Sikorskiego a od lutego 1942, gdy utworzona została Armia Krajowa — Komendantem Głównym AK.

Jak przypomniał Władysław Bartoszewski na łamach krakowskiego „Tygodnika Powszechnego“ w numerze z dnia 14 lipca w artykule pt. „Przyczynę do sprawy „Grota““ (na marginesie 20-tej rocznicy aresztowania „Grota“ w dniu 30 czerwca 1943 w Warszawie):

„Na tym stanowisku — (jak pisze historyk prof. Stanisław Płoski, którego słowa przytacza Bartoszewski) — Rowecki rozwinął ogromną pracę, której najpilniejszym zadaniem, w myśl rozkazu gen. Sikorskiego z 3.IX. 1941 r., było doprowadzenie do scalenia w ramach ZWZ wszystkich wyśiłek wojskowych w kraju. Praca ta dała znaczne wyniki, jednak pewna ilość organizacji wojskowych ze względu politycznych odmówiła podporządkowania się. Jednocześnie „Grot“ prowadził pracę nad zorganizowaniem, wyszkoleniem i zaopatrzeniem wojska podziemnego, przygotowaniem planu powszechnego powstania na wypadek klęski Niemiec oraz zorganizowaniem akcji dywersyjnych i partyzanckich. W pracach tych Rowecki wykazał wielkie zdolności organizacyjne, niezwykłą energię i charakter“. Toteż aresztowanie gen. „Grota“ przed dwudziestu laty stanowiło jeden z dotkliwszych ciosów, jakich doznał w okresie II wojny światowej polski ruch niepodległościowy“.

Pamiętam jak dziś ów dzień, gdy wiadomość o aresztowaniu komendanta AK dotarła także do naszego obozu jenieckiego. Byliśmy tym wszyscy dogłębnie wstrząśnięci, bo zdawaliśmy sobie sprawę z konsekwencji. I chyba już nigdy się nie dowiem w jaki sposób dotarło do nas prawdziwe nazwisko „Grota“, jak nigdy nie umiałem ustalić w jaki sposób znane nam tak-

(Dokończenie na str. 3)

fraszki

RZECZ ZASADNICZA

Wspólny Rynek z Ameryką w sporze
Tak gwałtownym, jak nikt nie pamięta.
O co poszło? Czyżby o bombę?
Skądże znowu! To o kurczęta!

RÓŻNICA MORALNA

To jest okropnie nieładnie,
Kiedy ktoś forszę ukradnie;
Wszystkich to strasznie oburza
(Chyba, że suma jest duża).

RECENZJA Z „KLEOPATRY“

Trudno dokładniej i przedziej
Zmarnować tyle pieniędzy!

Rawicz

F-102156

STEFAN WITOLD WOJSTOMSKI

OPOWIADANIE

Z W Y C I Ę Z C A

PO KAPITULACJI LEGII SYBERYJSKIEJ 10 STYCZNIA 1920

JESZCZE daleko było do północy ulice syberyjskiego miasta, jak gdyby wymarły. Drewniane parterowe domy, zasypane były śniegiem, sięgającym aż po zasłonione okna, z których błyszcząły z rzadka słabe światełka naftowych lamp. Dachy obciążone wielkim śniegowym pokrowcem, przybrały zaokrąglone kształty. Cicho było i głucho: żaden samotny dzwonek przejeżdżających sanek nie przerywał ciszy; tylko czasami gdzieś pies zaczął nieśmiało wyć, lecz przerażony własnym głosem zaraz milkł.

Noc była widna. Na szarym odwołanym niebie migotały gwiazdy. Biel śniegowego morza nie raziła teraz oczu, jak w dzień, przybierając bardziej szare barwy. Lutowy mróz teżał i raz w raz słycało było trzask pękających od mrozu gałęzi.

Na skrzącym śniegu rozległy się z daleka kroki. Ktoś szedł ostrożnie, bacząc dokoła, starając się czynić jak najmniej hałasu swoim stąpaniem.

Szedł człowiek. Wzrostu niedużego i całkiem jeszcze młody, gdyż zarost byłoby trudno spoznać na jego pociągłej twarzy. Miał na sobie „tulup“ barani, na głowie „bachaj“ z szarego futra, nasadzony na same oczy, na nogach długie buty i zielone spodnie wojskowe.

Wyszedł z bocznej uliczki, oglądając się i badając oczami niechętnie i niespokojnie czerwone flagi i szyldy urzędów — świadectwo niedawnego zwycięstwa i opanowania miasta przez bolszewików. Długie i proste ulice, obramowane drewnianym chodnikiem z długich desek, ułożonych na klockach, miały domy pokryte plamami, tymi w nadmiernej ilości rozmieszczonymi sztyldami.

Zachowując wielką ostrożność, przechodząc doszedł do wylotu uliczki i wyjrzał na plac: wielka na kilometr kwadratowy „płoszcza“ rozciągała się przed jego oczyma: „sobornaja cerkiew“ z białego kamienia, ogrodzona parkanem z cegły, sterczała po środku, lecz jej wielkie bizantyjskie kopuły nie robiły imponującego wrażenia, malejąc wobec przestrzeni i gór, okalających miasto.

Pztem oka zorientował się w sytuacji: miasto rozbudowało się w dolinie łożyska rzecznej długą wstęgą z północy na południe. Na lewo, tuż poza miastem, sterczały wysokim murem, prawie prostopadłe, pokryte głębokim śniegiem, góry, na najwyższym cyplu których stała okrągła z ostrym dachem baszta, zapominiana strażnica kozacka — jak chce bań, wystawiona w tym miejscu jeszcze z rozkazu „udałego a-tamana Jermaka“.

W prawo poprzec zamierzony w tej porze olbrzymi Jenisiej, którego potężne wody utworowały drogę w górach, widniały strome pasma górskie, pokryte posępnymi lasami, tonącymi w śniegu. Przed sobą miał główne ulice miasta z ładnymi piętrowymi domami, zaslaniającymi dalszy widok. A z tyłu, gdzie Jenisiej skręcał na prawo, przy ogromnym moście, przerzuconym przez rzekę i węzle stacyjnyj wysoko ok 100-metrowych zboczach gór, na której rozciągała się „Nikołajewska Słobodka“ — najnowsza część miasta.

Krajobraz nie był pozbawiony surowego uroku; panorama gór ze ściśniętym w dolinie miastem na tle posępnego północnego nieba, robiła potężne wrażenie, lecz w duszy przechodnia budziła tylko grozę. Czyż po to z narażeniem życia uciekił dziś z obozu z „wojennego gorodka“, odległego o 6 km., gdzie po kapitulacji resztek V-tej Dywizji Strzelców Polskich we Wschodniej Rosji i na Syberii, zapchano go razem z tysiącem jego towarzyszy, gdzie o głodzie i chłdzie, w ciasnocie, po 200-tu w nieopalanonych salach kazarmianych, przetrzymał 3 tygodnie; czy po to, aby trafić tutaj, na dno tej kotliny, z której, zdawało się, jak z dużej klatki, nie było wyjścia?

Cóż zyskał? Rozszerzenie granic swojego więzienia, a stracił, ruszając samopas, towarzyszywo doli i niedoli, ludzi, którzy w kilkoletniej twardej służbie żołnierskiej na tej obcej i ponurej ziemi, zastępowali mu rodzinę. Idąc w nieznaną drogę, której cel tylko miał wytkniąć, musiał przelać to wrodzone ludzkości poczucie zbiorowości, umocnione dyscypliną żołnierską i warunkami życia wojska, do którego zaciągnął się. Omatany dla ciepła pod kożuchem derką z końskiego siodła, z dwufuntowym kawałem chleba za pazuchą na zapas, s-1 na dnie tej doliny, u początku drogi do Ojczyzny.

Ponure myśli, wywołane widokiem panoramy Krasnojarska, nie zagościły jednak długo w jego głowie: nie miał czasu na to. Mróz teżał, a on musiał myśleć o tym, aby nie zamarać. W mieście nie miał nikogo takiego, gdzie mógłby wstąpić na noc; zapukał do pierwszego lepszego domu z prośbą o nocleg — obawiał się: był zbiegiem, bez dokumentów, i nie miał złamanego grosza przy duszy, a w każdym bodaj domu byli rozlokowani „krasnoarmiejcy“, w celu zbratania ludności z armią ludową i nauczania idei, a może i dlatego, że koszar w wszystkich miastach syberyjskich nadawały się w tym czasie raczej do zamrażania szczerów i jeńców. Słowem, wstępować gdziekolwiek było zbyt ryzykownym, można było od razu wpaść w łapy czerwonych.

Postanowił więc lazić całą noc, a w dzień przedostać się na stację i szukać okazji do wydotania się z miasta. Zrezygnował z nadzieją, że walejąc się w dzień, spotka kogoś z licznych kamratów, którzy również, jak i on, bez podziękowania, różnymi drogami opuszczali swoje przymusowe mieszkanie. Miał nadzieję spotkać na „tolkuczce“ (targowisko) kolegę szturmaka, który był uciekły z obozu o dzień wcześniej. Nasunął więc mocniej na oczy białachaj, poprawił kożuch, marznące, pomimo futrzanych rękawic, ręce wsunął do kieszeni i ruszył przed siebie powolnym krokiem.

Nie uszedł daleko, gdy usłyszał szcęk broni i rozmowę paru zbliżających się ludzi. Rozejrzał się wokół, szukając schronienia i znalazł je za wylotem pobliskiego drewnianego parkanu i dalej za kupą złożonego w sążeń drzewa, gdy zza rogu wyszedł patrol, obchodzący miasto. „Stój Wańka, ja zdzieję kowo to widiel, kak budto“ (Stój Wańka ja tutaj jak gdybym kogoś widział), powiedział jeden z żołnierzy, zbliżając się do parkanu. „Isz ty wezdie tiebie bielogwardiejcy miere-szczatsia“ (patrzcie go, wszedł śnia mu się białogwardiejcy), odpowiedział mu niezadowolony głos kolegi, „sztoż ty ich tak na frontie usierdno iskał“ (żebyś ty ich tak pilnie na froncie szukał) ... i poszli dalej. Zbieg z bijącym sercem wysłuchał tych słów i dopiero, gdy kroki żołnierzy zupełnie ucichły, porzucił swoją kryjówkę.

Siedząc bez ruchu, zmarzł i teraz jął machać rękami i dreptać w miejscu, aby rozgrzać zesztywniałe członki. Gdy uważał, że już mu dostatecznie ciepło, podjął dalej przerwany spacer.

Po parugodzinnyj chodzeniu, tym razem bez przgdy, uczył wielkie zmęczenie: wszak od południa był ciągle na nogach, zapomniał nawet o pożywieniu. Toteż wyjął kawał razowca, odziewał kromkę i począł łapczywie zajadać. Chleb, przechowywany za pazuchą, nie zmarzł i całkiem nadawał się do jedzenia. W tym wzrok jego zatrzymał się na czymś... i kawał chleba stanął mu w gardle.

Nie dalej jak o sto kroków stało przed nim dwu ludzi. Spragniony z ławo zrozumiałych względów samotności, przeżył, domyślając się nowego niebezpieczeństwa, parę przykrych chwil, lecz zaintrygowano go, że owe postacie, w których domyślał się patrolu, stoją nieruchomo i zachowują się nad wyraz cicho. Czyż by byli tacy sami, jak i on, zbiegowie, jego towarzysze z obozu i mieli te same, co i on obawy? Wreszcie zniecierpliwiony postanowił przejść obok nich i zareagować odpowiednio, jak tego wymagać będzie sytuacja. Zaczął więc zbliżać się, wpatrując się pilnie przed siebie. Im bliżej jednak podchodził, grupa owa zmieniała kształty, przybierając postać nieforemnej masy, wreszcie, gdy zatrzymał się tuż przed zagadką, zaklął siarczyście i jak gdyby dla lepszego upewnienia się, poklepał po zadzie stojącego przed nim konia, przyczynę obaw.

Była to wojskowa szkap z wytartą sierścią, wynędzniała i wychudzona do najwyższego stopnia, ze skorpą lodową na pysku. Nie miała ona już wiele do roboty na tym świecie. Takich wycieńczonych koni dużo pozostawiły cofające się wojska admirała Koczalka, a ludność nie chciała ich przygarniać, bo odkarmienie ich przy drożyznie i braku paszy nie opłacało się. Gdzież zresztą było myśleć o koniach, gdy ludziom brakło przytułku. Spojrzył raz jeszcze na zamrażające zwierzę i ruszył dalej, uśmiechnawszy się gorzko — może to prognostyk jego najbliższej przyszłości? Zmęczenie dawało się coraz więcej we znaki, gdy zwalniał kroku, mróz natychmiast zmuszał go do szybszego ru-

chu, że w nogach dzieje się coś niesamowitego: odmrożone dwukrotnie na froncie palily teraz niemilosiernie; toteż, gdy w zacisznym kątku, osłoniętym od podmuchu wiatru i niepożądanych oczu, znalazł wygodną ławeczkę, ułożoną rosyjskim zwyczajem pomiędzy bramą a domem, oparł się pokusie i przypuścił, świadom niebezpieczeństwa. Z początku na rozku, po tym trochę głębiej, lecz ciągle z przeświadczeniem, że tylko na chwilę, że zaraz musi uciekać.

Chwila przedłużała się. Zmęczony organizm nie zdobył się na wysiłek, niezbędny do rozróżnienia granicy pomiędzy wypoczynkiem zboliałych członków, a błogim stanem zamrażania. Poczęła ogarniać go wtędy nieprzeparta obojętność do wszystkiego, a nade wszystko do każdego, choćby najmniejszego ruchu. Posiadał jeszcze świadomość, że musi wstać, jeżeli chce żyć, lecz przełamać bezruchu nie był w stanie i oddawał się coraz bardziej ogarniającej go senności.

Stracił poczucie miejsca i czasu, gdy w tym usłyszał z nadzwyczajną wyrazistością miarowy tupot kroków.

Tak, bez wątplenia szło wojsko, masa wojska.

Miarowy tupot ogarniał go zewsząd. Szedł w szeregu na prawym skrzydle swego plutonu, czując lekkość w nogach, odbijając takt swobodnie i po mistrzowski, na gładkich, jak posadzka, ulicach miasta. Piękne, łagodne słońce wiosennego dnia złoćło ostrza bagnette i żołnierskiego sprzętu. Mocarne piersi wracających wdychały z lubością wiosenne powiewy.

Szli ulicami tego pięknego miasta, chłop w chłop, rozwiniętymi plutonami, zajmując omal nie całą szerokość jezdni, ramię przy ramieniu, jak mur ruchomy, żelaznym krokiem zdobywców świata. To nie rekruci, ani żołnierze nowo-zacieni, to dostojni spadkobiercy spuścizny napoleońskich legionów, to starzy żołnierze, którzy swym żelaznym krokiem zmierzali równiny drugiej części świata, to ochotnicy legii syberyjskiej wracali dziś ze swego Białego San-Domingo, z serca Azji, z ziemi wygnania ich ojców.

Przez ulice przedmieścia, praski most, przelewali się niebieską falą mimo zamku, kolumny Zygmunta króla i dalej Krakowskim Przedmieściem ku Mickiewiczowi, witani przez ludność a jasne słońce, słało na ich spotkanie swe najpiękniejsze promienie. Wśród ogólnego podniecenia, wśród tchu i cichy, witani okrzykami i płaczem radosnym, obrzucani kwiatami, szli poważnie, obojętni na pozór, tym pięknym krokiem zawodowego żołnierza, który sunie masą, sprawia wrażenie żelaznej całości. Zdawało się, że gdyby zwrócono przeciw nim tysiące armat, nie przerywałyby swego pochodni, nie załamałby wytkniętych według linii szyków. Tylko czasami nieproszone łza, spływająca po zoranym obcym wiatrami i mrozami policzkach, tylko ust skrzywienie lub drgnienie na widok jakiegoś starego zabytku, często z odbitki tylko oglądanego lub jakichś pięknych wpatrzonych oczu, zdradzało głębokie uczucie.

Trzymając mocno w garści karabin, wyczuwał lewym łokciem sąsiada, równając w ten sposób trudny sztyk rozwiniętego plutonu. Nie odwracając głowy, rzucanymi z ukosa spojrzzeniami, obserwował udekorowane narodowymi barwami balkony, ten tłum rozentuzjanzowany, a gdy na skrócie ulicy maszerował w miejscu, a malutka dziewczynka, korrz-stając z chwilowego zatrzymania, podała mu dwie róże: białą i czerwoną, wpiął je w pętlę munduru.

Gdy patrzył to małe dziecko, coś tak mocno ścisnęło go w gardle, że nie mógł nawet wymówić „dziękuję“.

Całą duszą oddawał się ogarniającemu go wielkiemu uczuciu, przeżywając chwilę, dla której żołnierz znosi tysiączne zgrzyoty ciężkiego żywota, dla których w niepamięć puszcza przekleństwo codziennej mordęgi, wspominając te i słoneczne aż po włos siwy.

Zagrała orkiestra, chciał podciągnąć się, wyprostować, gdy uczył nagle wielki ból w głowie, jak gdyby ktoś znieznacka uderzył w nią wielkim drewnianym młotem.

Cóż to, czy jest w San-Domingo żołnierzem Napoleona? I uczył w tej chwili przejmujący dreszcz, zwiastuna rychłej śmierci od złotej febrzy. Przecież to Polska, Warszawa! Nie, to nie Warszawa, to szare bezbarwne niebo niepolskie...

Gruda śniegu, odetwana nieopodziewanym tutaj podmuchem wiatru, spada

KRONIKA WOJSKOWA

UKŁAD W SPRAWIE DOŚWIADZEŃ ATOMOWYCH I WODOROWYCH

Po zaledwie 10-dniowych pertraktacjach między dwoma „panami H.“ (Harriman i Heilsham) a Gromyko parafowano 25 lipca w Moskwie układ zobowiązujący 3 mocarstwa atomowe do nieprzeprowadzania dalszych doświadczeń atomowych w atmosferze, w kosmosie i pod wodą oraz do niepomagania innym państwom w przygotowywaniu i przeprowadzaniu doświadczeń tego typu. W 10 dni później dokonano, również w Moskwie, uroczystego podpisania tego układu przez ministrów spraw zagranicznych wspomnianych 3 mocarstw, a do 7 sierpnia zgłosiło już 19 dalszych państw swój akces do niego, w tym wszystkie satelickie europejskie — z wyjątkiem nie-

uznawanej przez Zachód N.R.D. — oraz Jugosławia. Jego ratyfikacja przez zainteresowane ciała ustawodawcze jest zapewniona.

Choć układ ten nie zabrania przeprowadzania doświadczeń podziemnych i choć ani Francja, ani Chiny komunistyczne nie zamierzają do niego przystąpić, a tym samym zrezygnować z kontynuowania swoich doświadczeń względnie przygotowań do nich, wielu komentatorów zachodnich dopatrywało się w nim zakończenia zimnej wojny. Niepoprawni ci marzyciele zapominają o tym, że: 1) już przed kilku laty doszło do cichego embargo w tej sprawie, które Sowieci zerwali; 2) każdy z sygnatariuszy może za trzymiesięcznym wypowiedzeniem wycofać się z tego układu; 3) nieobjęcie układem wybuchów podziemnych, będące jedynie obejściem kilkoletniego sporu co do kontroli na miejscu, umożliwia dalsze udoskonalenie mniejszych głowic i bomb; 4) odżegnanie się Francji i Chin od tego układu stawia pod znakiem zapytania jego trwałość; 6) istniejące obecnie środki pomiarowe nie zapewniają wyłapania ewentualnych doświadczeń w kosmosie. Ponadto o częściowego zrezygnowania z doświadczeń do zniszczenia broni atomowo-wodorowych oraz do powszechnego rozbrojenia jest bardzo daleko. Tym daleko, że nagromadziło się słuszenie całe morze nieufności i że dwa państwa z doświadczeń nie rezygnują, a sygnatariusze układu mogą je im (z takich czy innych przyczyn) pokrywkowo ułatwiać, zyski z tego ciągnąc.

SZYBKO I TANIO!
Biuletyny, ulotki reklamowe,
druki jedno- i wielobarwne
wykonują
ZAKŁADY GRAFIK ZNE
GRYF PRINTERS (B.C.) LTD.
171, Battersea Church Road
LONDON, S.W. 11.
Telefon: BAT 0879

GEN. STANISŁAW MACZEK WEŹMIĘ UDZIAŁ

w uczeniu rocznicy bitwy pod Diez

Polskie organizacje b. wojskowych we Francji organizują w październiku br. na wielką skalę obchód dla uczczenia bitwy pod Diez, w której brała udział i mocno się wykrawiała 1. Dywizja Grenadierów.

Na uroczystości związane z tym obchodem organizatorzy zaprosili generała Stanisława Maczka, zamieszkałego w Edynburgu. Generał Maczek zaproszenie przyjął.

2. Baon Grenadierów „Kratkowanych Lwiątek“ po odtworzeniu go w Szkocji był niejako dalszym ciągiem 2. Pułku Grenadierów, który brał udział w bitwie pod Diez. 2. Baon Grenadierów otrzymał również sztandar 2. Pułku Grenadierów. Sztandar ten obecnie znajduje się w Muzeum Instytutu Historycznego im. generała Sikorskiego w Londynie. Wraz z generałem Maczkiem na uroczystości w Diez udaje się delegacja Koła B. Żołnierzy 2. Baonu Grenadierów „Kratkowanych Lwiątek“. Delegacja Koła zawiezie ze sobą do Diez sztandar, który na ten cel zostanie wypożyczony z Muzeum. W skład kilkuosobowej delegacji wejdzie prezes Koła, p. Stanisław Radziwon z Edynburga. (B)

na biedną głowę zbiega, rozbijając złudne marzenia ostatniego snu i wyrwijając go w ostatniej chwili — śmierci.

Przerażony i wstrząśnięty do głębi porwał się na nogi, lecz upadł natychmiast ciężko na śnieg obok ławki. Odmrożone nogi odmówiły posłuszeństwa. Począł gramolić się, przychodząc do świadomości, chciał podnieść się i uciekać z tego nieszczęśliwego dla siebie miejsca. Wielki ból w nogach i rękach targał całą jego istotą, każdy ruch sprawiał ból niewymowny, niezliczona ilość igieł wbijała się w ciało, torturując je niemilosiernie, paląc i parząc, lecz dzięki, zwierzęce przerażenie owdądło nim całym. Szamotał się, porwał, pełzał, aż wreszcie ciało rozgrzało się od tych rozpacznych ruchów, krew szybciej poczęła krążyć, zamieniając kołację ból w przyjemną ciepłotę, rozlewającą się po cieple. Stał wreszcie na nogach i począł biec, zrazu wolno, zataczając się, później coraz szybciej, rzucąc na oślep, i zatrzymał się dopiero wskutek braku powietrza w płucach.

Z trudem, rozejrzał się wokół, przychodząc ostatecznie do przytomności, i podniósłszy oczy do góry, z niemym wyrzutem patrzył w niebo, jak gdyby z tamtąd wyczekiwał odpowiedzi od Najwyższej Istoty, po co w tak wielkim nieszczęściu zabył przed nim zjawia dalekiej, niedoścignionej Ojczyzny, potęgając poczucie jego beśsiły wobec rzeczywistości? A może tym przeciwstawieniem chciała uwidocznić swoją potęgę, która wlewając nieprzepartą siłę woli w serca talarzy po latach zmagania, z dna przepaści, wróciła ich na łono Ojczyzny, świadcząc o wielkim zwycięstwie woli.

I przypomniały się zbiegowi słowa prostej, a tak jasnej filozofii Tatarskiej. Gdy stojąc nad nim w rozwalonej chacie, pozbawionym przez działania wojennej ostatniej chudoży, chciał go pocieszyć, Tatar odpowiedział: „Nie ma Boga oprócz Boga, a Mahomet prorok Jego“.

WZROST WYDOBYCIA NAFTY. O ile wydobycie węgla tylko nieznacznie się zwiększa, a w niektórych krajach nawet maleje, bo zastępują go inne źródła energetyczne, o tyle eksploatacja nafty rośnie gwałtownie we wszystkich krajach globu. Poniżej zestawienie, obejmujące tylko tuzin przodujących w tej dziedzinie krajów, świadczy o tym najlepiej; podając odnośne cyfry w milionach ton metrycznych za rok 1961 i 1962:

	w r. 1961	w r. 1962
1. Stany Zjednoczone	392 mln.	400 mln.
2. Sowieci	166	185
3. Wenezuela	151	166
4. Kuwait	82	92
5. Saudi Arabia	68	74
6. Iran	58	64
7. Irak	49	48,7
8. Kanada	31	33,5
9. Indonezja	21	27
10. Algieria	15,6	20
11. Argentyna	12	14,6
12. Libia	1	7,5

Brak danych odnośnie Rumunii, która przed wojną wydobywała ponad 8 milionów ton (obecnie bodaj mniej).

Jak z tego zestawienia wynika, relatywnie największy wzrost produkcji wykazuje Libia (przy pomocy Ameryki), a absolutnie największy Rosja, Wenezuela i Kuwait. Stagnacja w Iraku tłumaczy się zamieszkami.

Jeśli idzie o części świata, to nadal zdecydowanie przoduje Ameryka (614 mln.) przed Środkowym Wschodem (278 mln.) i Sowieciami (185 mln.). Fakt ten jest także z wojskowego punktu widzenia ważny i pocieszający.

Kage.

W 20-TĄ ROCZNICĘ ARESZTOWANIA KOMENDANTA GŁÓWNEGO AK

GEN. STEFANA ROWECKIEGO („GROTA“)

(Dokończenie ze str. 1)

że było w obozie prawdziwe nazwisko jego następcy — gen. T. Bora-Komorowski. Widocznie nie da się na świecie zachować żadnej tajemnicy, nawet w czasie konspiracji.

Jeszcze na wiele lat po wojnie nieznane były źródła aresztowania „Grota“. Zachodzący w głowę, jak to mogło się stać. Szukano winnych, rzucano (czynili to z szczególną podłością komuniści) najrozmaitsze oskarżenia, aż wreszcie w 1957 roku ukazała się w tygodniku warszawskim „Stolica“ w numerach 29 do 32 znana relacja „Oskara“, b. kierownika Wydziału Bezpieczeństwa i Kontrywywiadu II Oddziału Komendy Głównej AK. Rewelacje te wywołały i w Londynie wielkie wrażenie i poruszenie. Pamiętam, że czytaliśmy je wtedy nawet na głos na posiedzeniu prezydium Rady Naczelnej Koła AK.

To wtedy dopiero, po tylu latach, wyjaśniło się w całej pełni w jaki sposób gen. „Grot“ wpadł w ręce Gestapo. Jak pisze dalej Bartoszewski „do wykrzyčia i ujęcia gen. „Grota“ przyczynili się bezpośrednio Ludwik Kalkstein-Stoliński i Eugeniusz Świerczewski. Obaj skazani zostali na śmierć za współpracę z gestapo — którą przepłaciły śmiercią dziesiątki ludzi z centralnych komórek AK — przez Wojskowy Sąd Specjalny przy Komendzie Głównej AK. Wyrok śmierci na Świerczewskim wykonano w czerwcu 1944 r. Kalkstein zdołał się ukryć, ocalał, w powstaniu warszawskim brał udział po stronie niemieckiej jako członek załogi policyjnej w osławionym gmachu gestapo przy Alei Szucha a następnie w oddziale SS, który uczestniczył w rzezi części ludności Mokotowa. Aresztowany w Szczecinie w 1953 r. pod nazwiskiem Wojciech Świerczewski — odbywa obecnie karę 12 lat więzienia, której koniec przypada na dzień 20 sierpnia 1965“.

Rocznicy aresztowania „Grota“ poświęcił również obszerny artykuł „Życie Warszawy“, przypominając, iż Świerczewski został powieszony i że obok Ludwika Kalksteina aresztowano także Ninę Świerczewską (jego siostrę). Informacja ta spowodowała dwa sprostowania w „Życiu Warszawy“ w numerach w pierwszych dniach lipca. W pierwszym sprostowaniu czytamy, że „aresztowana po wojnie i skazana przez sąd Polski Ludowej była żoną Ludwika Kalksteina — Blanka Kalkstein, również agentka Gestapo. Nina Świerczewska zmarła latem 1943 r“. Zabrał także raz jeszcze głos Władysław Bartoszewski, pisząc w drugim sprostowaniu w tymże samym dzienniku warszawskim w notatce pt.: „Nina Świerczewska nie miała z tym nic wspólnego“ co następuje:

„Rozwiedziona żona Eugeniusza Świerczewskiego, aktorka Nina Świerczewska (z domu Kalkstein) nie miała nic wspólnego ze zbrodniczą działalnością swego byłego męża i swego brata. Nina Świerczewska zmarła naturalną śmiercią w lecie 1943. Natomiast wojnę przeżyli Ludwik Kalkstein i jego żona Blanka Kaczorowska-Kalkstein, oboje skazani na śmierć już w okresie okupacji. Na Kalksteinie wyroku wykonano wówczas nie zdołano, z zastrzelenia jego żony zrezygnowano stwierdzając, że jest w okresie końcowym ciąży. Para tych wybitnych współpracowników Gestapo aresztowana została rzeczywiście w 1953 r. Blanka Kaczorowska-Kalkstein skazana została ostatecznie na 15 lat więzienia (wyrok Sądu Najwyższego z 15.9.1953 r.), karę tę złagodniono w 1956 r. — na podstawie ustawy amnestyjnej — do 10 lat więzienia. Ludwik Kalkstein, którego wyrok (dożywocie — uw. ph.) obniżony został na podstawie amnestii do 12 lat więzienia, powinien — pisze Bartoszewski — być zwolniony w dniu 20 sierpnia 1965 r.“.

Przyczyna aresztowania „Grota“ wyjaśniona została dopiero po wojnie. Dowiedziano się o niej z ust przesłuchanego przez komisję angielską b. referenta do spraw AK w Głównym Urzędzie Bezpieczeństwa Rzeszy, Thomsona. Zznał on mianowicie, iż aresztowanie „Grota“ nastąpiło „po uzyskaniu wiadomości telefonicznej od jednego z agentów, który znał Roweckiego i spotkał go idącego na ul. Spiską“. Roweckiego wywieziono natychmiast do Berlina a następnie do obozu koncentracyjnego w Oranienburg-Sachsenhausen, gdzie rozstrzelany został, z rozkazu Himmlera, po wybuchu Powstania Warszawskiego.

Krakowski „Tygodnik Powszechny“ przynosi we wspomnianym już na wstępie numerze ciekawą rewelację Marii Kosińskiej, która w 1943 roku była lokatorką domu przy ul. Spiskiej 14, w którym gestapo aresztowało „Grota“. Było to jedno z mieszkań konspiracyjnych generała. Wstąpił doń na krótko przed udaniem się na zebranie Komendy Głównej AK. W domu tym mieszkał „Grot“ pod nazwiskiem Malinowski od stycznia 1943 roku. Mieszkanie to znajdowało się na pierwszym piętrze. Oto co mówi Kosińska a co ogłasza Bartoszewski:

„...Rano 30 czerwca wstałam przed ósmą. Zrobiłam śniadanie i zabrałam się do sprzątnięcia, gdy wtem rozległo się głośne pukanie a nie dzwonek. Było to około 8,30. Spytałam: kto? Nasza dozorczyni p. Nowakowa prosiła, żeby otworzyć. Gdy otworzyłam, zamarałam z przerażenia. Podest V piętra (Kosińska mieszkała na 5-tym piętrze a „Grot“ na pierwszym — uw. ph.) był pełen gestapowców dobijających się naprzeciw i na strych, do pralni, a dwaj, co stali za Nowakową, mieli wycelowane we mnie pistolety maszynowe. Jeden z nich dość znośną polszczyzną spytał: — Jest tu mężczyzna? powiedziałam, że u mnie nie ma żadnego mężczyzny... Na schodach stały całe tabuny gestapowców z palcami na cynglach. Mieszkania, obok których przechodziliśmy, były na oścież pootwierane i kręciło się mnóstwo Niemców. Tylko na pierwszym piętrze te jedne drzwi — właśnie p. Malinowskiego — były zamknięte i pełno gestapowców przy drzwiach. ...W mieszkaniu dozorczyni na parterze, które też miało zamknięte drzwi — mignęła mi przez okrągłe okienko twarz nieznajomego. (Tym nieznajomym był Świerczewski, który z ukrycia obserwował twarze wyprowadzanych mężczyzn). Przed domem i na całej ulicy stało 17 bud... Ulica była zablokowana, ani wyjść, ani wejść nikomu nie pozwalano. ...Każali nam zejść na podwórko od tyłu, ustawili nas z podniesionymi rękoma twarzą do ściany w duszczeregu a za nami SS-mani z bronią wycelowaną w nasze plecy... W pewnej chwili wyprowadzono na schodki od podwórka p. Malinowskiego w cywilnym, szarym ubraniu z płaszczem na lewej ręce. Jeden z SS-owców krzyknął do naszej gospodyni...: — Czy to jest ten Malinowski? Powiedziała płacząc: — Nie wiem — za co dostała po twarzy, aż się zatoczyła. A ten znów krzyknął, ale tym razem do generała: — Gdzieś podział, draniu, teczkę? Gdy nie otrzymał odpowiedzi, z całej siły uderzył generała w twarz, aż się pięć palców odbiło wyraźnie. Ten milczał dalej, tylko opalona twarz dziwnie zbiełała i widać było te palce odbite na twarzy i kropole potu spływające od skroni. Zaczęli nim szarpać — obrócili go tyłem i wyprowadzili, trzaskając butami... Po jakimś czasie przyszedł ten Niemiec, który uderzył generała i oświadczył po polsku, że tym razem — wyjątkowo — puszczają nas wolno, że mamy wrócić do swych mieszkań, bo my nie o tym bandycie nie wiedzieliśmy... niebawem dowiedzieliśmy się, nie wiadomo skąd i jak, że aresztowany był u nas „Grot“ — Roweckie...“.

Relację Kosińskiej uzupełnia Bartoszewski następującymi szczegółami, uzyskanymi od brata „Grota“ — adwokata Stanisława Roweckiego, znanymi Bartoszewskiemu wynikami do-

chozeń przeprowadzonych jeszcze w 1943 r., wspomnieniami ogłoszonymi przez niektórych członków Komendy Głównej AK, jak i inż. Ryszarda Krzywickiego („Szymona“), adiutanta „Grota“.

Mieszkanie przy ul. Spiskiej — pisze Bartoszewski — przeznaczone było na prywatny lokal gen. Roweckiego i wynajęte na nazwisko Jerzego Malinowskiego, którym posługiwał się jednak nie sam „Grot“ a właśnie jego brat — Stanisław Roweckie... (P-owski) wszelkich kontaktów z lokatorami domu z oczywistych względów unikał: nawet komorne przy wynajmie lokalu opłacił jego brat a nie on sam a wymieniani przez dozorczynię domu — kobiety czy ciotki (którzy płacili za mieszkanie — uw. ph.), to oczywiście ludzie podstawieni z organizacji. W krytycznym dniu „Grot“ udał się rano na Spiską po rozmowie z łączniczką, która przekazała mu na Grójeckiej paczkę (nie teczkę) z dokumentami i większą sumę pieniędzy, po czym pożegnała się z generałem na rogu Grójeckiej i Niemcewicza ok. godz. 9. Mniej więcej o 9.15 „Grot“ wszedł do domu przy ul. Spiskiej. Obserwujący go wówczas konfident — jak się potem okazało Eugeniusz Świerczewski — nie dostrzegł dokładnie, do którego domu wszedł znany mu osobiście (z czasów służby wojskowej w latach 1919—20) gen. Roweckie, dlatego też gestapo, które przybyło na Spiską mniej więcej po 10 minutach (zaalarmowane telefonicznie przez Świerczewskiego z placu Narutowicza) poszukiwało mężczyznę we wszystkich mieszkaniach domu Spiska 14 a także otoczący i przeszukało dwa domy sąsiednie (numery 12 i 16)...

W godzinach rannych pojawili się w domu na Spiskiej rzekomi gestapowcy, którymi byli ludzie z Referatu 998 Oddziału Informacyjno-Wywiadowczego Komendy Głównej AK — pisze dalej Bartoszewski — którzy otrzymali zadanie zabrania materiałów znajdujących się w mieszkaniu a nie znalezionych przez gestapo. Gestapo bowiem mimo dokładnej rewizji... nie znalazło skrytek mieszczących się w lokalu „Grota“, m.in. w antycznej szafie. Zawartość skrytek została też pomyślnie ewakuowana owego ranka przed ponownym przyjazdem Niemców na Spiską. Ocalono w ten sposób pamiątki osobiste, fotografie i pieniądze, które „Grot“ zdążył schować zanim gestapo wyprowadziło go z mieszkania... Na temat wydarzeń na Spiskiej — kończy Bartoszewski swój niewątpliwie ciekawy artykuł — krążyły w Warszawie różne plotki, ze strony organizacji jednak starano się utrzymać całą sprawę możliwie jak najdłużej w dyskrekcji. „Faktu aresztowania nie podawano do szerszej wiadomości — stwierdza „Oskar“ — dopóki bowiem istniała chociaż mała szansa, że nastąpiło przypadkowo i aresztowany nie jest rozpoznany, z reguły zachowywano rzecz w ścisłej tajemnicy, aby nie przyczynić się do ewentualnej dekonspiracji osoby aresztowanej“.

Tak więc „sprawa Roweckiego“ jest już dziś ostatecznie i w całości wyjaśniona i skończą się wreszcie wszelkie inspirowane przez komunistów oskarżenia. Szkoda tylko, że zdraycy: Kalkstein i jego żona — korzystając z ustawy amnestyjnej — nie odsiedzą pełnej kary — dożywotniego więzienia — na którą zasłużyli swoim zdrazieckim postępowaniem.

Paweł Hęciak

ZDZISŁAW STAHL

Świat powojennej polityki

W OCZACH ZACHODNIEGO PISARZA

Nie ma chyba działu literatury polskiej, tak potrzebnego z jednej strony a tak zaniedbanego z drugiej, jak polityczny.

Potrzeby rozwijania samodzielnej myśli politycznej w okresie, kiedy naród nasz znalazł się pod obcym panowaniem i musi na nowo szukać dróg odzyskania niepodległości, nie warto chyba obszerniej uzasadniać, jako oczywiste. Także krótko tylko należy przypomnieć, że pod reżimem komunistycznym polityczny dział literatury, periodycznej publicystyki czy też książek z tego zakresu, podlega najściślejszej regulacji; że jest tolerowany jedynie pod warunkiem niewolniczego stosowania się do wymagań doktryny marksistowsko-leninowsko-chruszczowsko... diabeł wie jakiej w przyszłości.

Próby przemycania jakichś narodowych, własnych pierwiastków poprzez sztywne schematy tej całej „socjalistycznej“ dogmatyki, jakkolwiek warte i trochę karykaturalne dają rezultaty, są przed jej późniejszą przez cenzorów partyjnych w kraju odkrywane, piętnowane i likwidowane. Skazuje to z kolei śmiałych winowajców takiego „przestępstwa“ co najmniej na banicję z ławów literatury czy prasy, oczekującej natomiast wypocinami tasiemców beztreściwych, ale za to niegągnięciem konformistycznych.

Wobec takiego położenia literatury politycznej w kraju, zdawało by się, polityczna emigracja zdobywać się będzie na szczególnie wysiłek, aby rozwijać ją i popierać w świecie wolnym. Niestety, sprawa przedstawia się raczej przeciwnie. Publicyści, jeśli nie oddali swojego pióra ośrodkom propagandowym mocarstw zachodnich, walczą ze stałymi trudnościami materialnymi i wyjątkowo tylko mogą się zdobywać na poważniejsze monografie. A jeśli nawet, kosztem dużych wyrzeczeń się osobistych, dzieło takie napisali, trzeba chyba cudu, aby znaleźli nań wydawcę.

POWOJENNE 15-LECIE:
ANI WOJNY ANI POKOJU

Trafiają się natomiast emigracyjni wydawcy polskich przekładów książek politycznych autorów obcych. Autorów zwykle, w mniejszym lub większym stopniu i typowo po zachodniemu czyli z lekkim poklepywaniem po ramieniu, życzliwych sprawie polskiej, którą pojmują, rzecz zrozumiała, ze swojego, brytyjskiego, amerykańskiego czy francuskiego stanowiska. Jeśli autor jest dobry, lektura takiego przekładu może być instruktyną, ale chyba wyjątkowo tylko, zainteresowany politycznymi problemami emigracyjny czytelnik, nie umiał by tego samego dzieła przeczytać w oryginale. Ujemna strona przekładów polega na tym, że mniej krytyczny czytelnik, może poglądy pisarzy zachodnich przyjmować za swoje także wtedy, gdy nie odpowiadają polskiemu celom oraz ideom.

Niemniej, muszą być jakieś powody, dla których niektórym wydawcom kalkuluje się raczej druk politycznych książek, tłumaczonych z języków obcych, niż szukanie polskich dzieł oryginalnych z tegoż zakresu. Do takich firm należy londyński „Orbis“, który przed rokiem wydał zbiorową pracę obcych autorów o komunizmie pt. „Cienie i odzienie“, a obecnie nowy przekład, tym razem jednego i dość wybitnego pisarza brytyjskiego H. Seton-Watsona pod tytułem, który brzmi po angielsku „Neither War nor Peace“.

Tytuł ten został — jak sądzę — niepotrzebnie przez tłumacza, B. Czaykowskiego oddany po polsku, jako „Między wojną a pokojem“, czyli nie przełożony dosłownie. Formuła „ani wojny ani pokoju“, przypisywana po pierwszej wojnie światowej i rewolucji bolszewickiej Trockiemu „ni wojny ni mira“ była znana w polskim słownictwie politycznym. „Między wojną a pokojem“ nie znaczy też dokładnie tego samego, co „Neither War nor Peace“.

Abym przy okazji tej wyczerpać uwagi, które nasunęły mi się odnośnie do języka przekładu, wskażę jeszcze na dwie usterki. Tłumacz pisze stale z

angielska o „totalitaryzmie“ czy ustroj „totalitarnym“, podczas gdy po polsku mówi się: totalizm i totalny. Po wtóre, B. Czaykowski siedzi na dwu stołkach, jeśli chodzi o określenie komunistycznej Rosji i pisze czasem słusznie o sowieckiej a gdzieindziej używa, obowiązującego dzisiaj w kraju, okropnego, sztucznego, przymiotnika „radziecki“.

TYLKO ANGLIA I NIEMCY
WALCZYŁY OD POČĄTKU DO
KONCA?...

Hugh Seton-Watson jest uczonym i profesorem historii Rosji na uniwersytecie londyńskim, wybitnym autorem szeregu dzieł z zakresu współczesnej polityki światowej i ma opinię rzeczoznawcy spraw wschodnio-europejskich, również polskich. Książka jest wyrazem rozległej bez wątpienia, jak na Anglika, kompetencji w powyższym zakresie, ale już pierwsze zdanie jej głównego — po interesującym wstępie — tekstu musi zrewoltować czytelnika polskiego, a zdzwiż geografę. Zdanie to w przekładzie polskim brzmi: „Tylko dwa narody na półkuli zachodniej walczyły w drugiej wojnie światowej od początku do końca. Były to W. Brytania i Niemcy“ (str. 21). Zaczniemy od ogólniejszego pytania geograficznego. odkąd to Niemcy leżą na półkuli zachodniej i czy cała W. Brytania na niej się znajduje? Niemcy leżą całe i niewątpliwie na półkuli wschodniej, a W. Brytania — choć konwencjonalny podział idzie przez Greenwich — na brytyjskich atlasach bywa także uwidoczniana na wschodniej, jako przynależność kontynentu europejskiego. Pominiecie narodu Polskiego w rządzie walczących, podczas ostatniej wojny od początku do końca, nie wymaga na naszych łamach długich komentarzy. Przede wszystkim, W. Brytania, która formalnie wojnę Niemcom wypowiedziała trzeciego września, czyli rozpoczęła ją oficjalnie o dwa dni później od Polski, faktycznie weszła w nią dopiero na wiosnę 1940. Poprzedni okres nazywany był nawet na Zachodzie „phoney war“, czyli wojną pozorną, „na niby“.

Ta dziwna, a ignorująca Polskę formuła pierwszego zdania książki, mogła by wróżyć gorszy stosunek do zagadnienia polskiego w polityce światowej, niż w prac w H. Seton-Watsona następnie stwierdzamy. Co więcej, wobec powojennego oporu, jaki naród polski stawiał panowaniu sowieckiemu, autor wykazuje zarówno znajomość przedmiotu jak obiektywizm i szczerą życzliwość dla polskiej walki o wolność. Taką samą postawę angielski pisarz zachowuje w stosunku do innych wśch. europejskich narodów z Węgrami na czele.

WYCZERPUJĄCY PRZEGLĄD
GŁÓWNYCH WYDARZEŃ

Książka H. Seton-Watsona obejmuje powojenną problematykę międzynarodową całej kuli ziemskiej pod kątem politycznych zmagania Zachodu z totalizmem przy szerokim uwzględnieniu czynnika nacjonalizmu krajów ekskolonialnych i Ameryki Łacińskiej. Główne zainteresowanie autora kieruje się więc ku zagadnieniom konfliktów międzynarodowych, ale bierze również pod uwagę jako ich tło sprawy społeczne, zwłaszcza gdy odgrywają rolę źródła ruchów rewolucyjnych; stąd omawia on obszernie także problemy chłopskie i rolnicze, robotnicze i przemysłowe, wreszcie rolę inteligencji.

Rozległa ta tematyka ujęta jest w pięć części, podzielonych łącznie na dziewiętnaście rozdziałów. Tytuły części dają bliższe pojęcie treści i układu dzieła: I. Świat powojenny — 1945-1953; II. Siły rewolucji; III. Totalitaryzm (winnno być w języku polskim, jak zaznaczyłem wyżej, totalizm); IV. Imperializm; V. Świat po Stalinie. Układ książki, co przyznaje sam autor, jest niezupełnie symetryczny. Pisze on we wstępie (str. 17) na marginesie tego przyznania: „Ci, którzy uważają, że książka winna być jak wyjęta z pudełka, albo nie powinno się jej w ogóle pisać, niech odłożą niniejszą pracę nieczytaną“.

„Między wojną a pokojem“ H. Seton-Watsona otrzymała od wydawców, staraną i estetyczną oprawę. W twardej okładce i obwolucie, z przypisanymi indeksami nazwisk, nazw geograficznych i rzeczowym, bibliograficznym i mapami, stanowi odpowiadający wszechstronnym wymaganiom 623-stronicowy tom poważnego dzieła.

*) Hugh Seton-Watson, „Między wojną a pokojem — Walka o władzę w powojennym świecie“, tłumaczył B. Czaykowski, nakł. Orbis Polonia, Londyn 1963, cena: sh. 52/6, dol. 7.50, N.F. 36.00.

W PIERWSZYCH miesiącach wojny z 1914 r. nastąpiło poważne przetrzebienie kadry generalskiej w armii francuskiej. Wszyscy ci, którzy na skutek wieku lub złego stanu zdrowia okazali się niezdolni do wykonywania swych funkcji z należytą energią i sprężystością, jak tego wymagały okoliczności, zostali pozbawieni dowództwa, bez żadnych ceregieli, przez gen. Joffre'a, który wyznaczył im bezczynny pobyt w Limoges. Odtąd nazwa tego miasta służyła na oznaczenie wszelkiej przymusowej dymisji.

Wycofanie tak wielkiej liczby generałów stworzyło poważny niedobór w kadrze generalskiej, z której rekrutowali się dowódcy odpowiednich oddziałów. Aby wyrównać ten niedobór naczelne dowództwo przeprowadziło znaczne przesunięcia na wszystkich wyższych stanowiskach dowódców. W ten sposób generałowie brygady zostali mianowani dowódcami dywizji a na czele brygad zastąpili ich dawni pułkownicy.

Z tych to przyczyn pułkownik artylerii, płk. A. został powołany w pierwszych miesiącach 1915 r. do objęcia dowództwa brygady piechoty po jej dawnym dowódcy, który musiał złożyć swe funkcje na skutek choroby. Płk. A. uczeń szkoły politechnicznej (w której kształciła się śmietanka oficerów francuskich), dyplomowany oficer sztabu głównego, bardzo wykształcony i inteligentny, był osobistością wysuwającą się na pierwszy plan. Należał rzeczywiście do 6 czy 7 wyższych oficerów przydzielonych do sztabu głównego gen. Joffre'a, który zlecił mu utrzymywanie łączności między Sztabem Głównym (t.zw. G.Q.G.) i poszczególnymi dowódcami armii. Łączność przy pomocy radia nie była jeszcze wówczas w powszechnym użyciu. Ruchliwość linii frontowych sprawiała, że połączenia telefoniczne były bardzo za wodne, i łączność między najwyższym dowództwem i dowódcami poszczególnych armii utrzymywana była za pośrednictwem wspomnianych wyższych oficerów. Oni to zapewniali łączność jeżdżąc tam i z powrotem między najwyższym dowództwem i dowódcami armii potężnymi samochodami specjalnego typu, zamówionego właśnie do tego rodzaju służby. Oficerowie ci, jak prawdziwi „missi dominici“ (wysłannicy papa), wybrani przez naczelnego wodza, posiadali jego pełne zaufanie. Wnioski z ich raportów były zawsze przyjmowane do wiadomości i pociągały często za sobą poważne sankcje. Toteż posiadali bardzo znaczny wpływ. Płk. A. pełniąc od początku wojny te funkcje przy Naczelnym Dowództwie, zgodnie z przepisami regulaminowymi musiał przynajmniej na okres 6 miesięcy objąć faktyczne dowództwo jakimś oddziałem na froncie i dlatego został wyznaczony na dowódcę brygady piechoty.

Wspomniana brygada była wówczas na froncie Woevre, na północ od Commercy, gdzie stała na straży frontu w okresie stabilizacji wszystkich frontów, jaka nastąpiła po bitwie nad Marną. Na całej linii frontu, ciągnącej się od granicy szwajcarskiej do Morza Północnego, obaj przeciwnicy, których wojska zajmowały okopy pierwszej linii, oddzieleni byli przez „no man's land“, na który nikt nie odważał się zapuścić w ciągu dnia. Z obu stron balony na uwięzi, tzw. „Kielbasy“ wznosiły się nieco poza każdym frontem i obserwowały tyły nieprzyjacielskie. Każde poruszenie się oddziałów lub nawet jednostek wywoływały frontalny ostrzał artyleryjski. Toteż nie się ruszało za dnia i wszelkie przemieszczenia, a zwłaszcza luzowanie oddziałów odbywało się w nocy.

Płk. A. sumiennie i fachowo pełnił swe dowództwo brygady i często w nocy w towarzystwie oficera swego sztabu wizytował stanowiska dowódców pułków znajdujących się na froncie i ilustrował pierwsze linie. W okresach spokoju wieczorami nie udawał się do pierwszej linii, ale dla utrzymania się w dobrej kondycji fizycznej robił spacery kilkukilometrowe drogą w kierunku do Commercy. Towarzyszącemu mu oficerowi swego sztabu z ożywieniem opowiadał o wydarzeniach, jakie przeżył w najwyższym dowództwie i w których nieraz brał sam czynny udział. Robił się wówczas bardzo wymowny, dołączając do swych opowiadań dosadne portrety dowódców wielkich jednostek, których znał osobiście, przed wojną lub podczas jej trwania.

Najciekawszym było niewątpliwie jego opowiadanie dotyczące okoliczności, w których zapadła decyzja w sprawie bitwy nad Marną. Ogólne warunki, w jakich nastąpiło to wydarzenie, są znane: po porażce armii francuskiej nad granicą, zwłaszcza w Morhange, armie te cofały się w

GENEZA BITWY NAD MARNĄ 1914

Autor niniejszego artykułu jest jednym z niewielu żyjących dziś uczestników pracy sztabowej w dniach Bitwy nad Marną w roku 1914. Poglądy jego nie znalazły uznania w oczach komentatorów i przede wszystkim wśród ówczesnych dowódców francuskich. Drukujemy je jako przyczynek historyczny, nie wypowiadając się rzecz jasna co do trafności ocen.

Czynimy to z pewnym wahaniem. Ostatecznie spory historyczne o Bitwę nad Marną interesować powinny przede wszystkim Francuzów. Dla nas, po pięćdziesięciu prawie latach,

kierunku południowym. Za nimi, w pewnej odległości, postępował ogół sił niemieckich. Instrukcje gen. Joffre'a polecały dowódcę armii wycofanie się w porządku, przy utrzymaniu kontaktu między sobą i nie dając się wciągnąć do walki przez nieprzyjaciela. To nieustające cofanie się niepokoiło oficerów G.Q.G., wśród których panowała ciężka atmosfera zniechęcenia. Jednemu z oficerów, który po złożeniu meldunku o sytuacji w armii, z którą utrzymywał łączność, dodał: „Jutro, koniec“ generał odpowiedział: „Ależ nie. Drogi przyjacielu, ależ nie“. Miał on nadzieję opanować sytuację, gdy nieprzyjaciel osłabił się przez oddalenie się od swych baz zaopatrzenia w żywność i amunicję, jakkolwiek, ani chwila, ani miejsce zatrzymania się nie były określone i być może mogło ono nastąpić dopiero na Loirze.

J.A.N FRYLING

SZARA EMINENCJA V. K. KRISZNA MENON

Z WOLENNICY Nehru twierdzą, że jest on człowiekiem silnym, — przeciwnicy sądzą, że jest tylko uparty. Bez wątpienia jednak nie łatwo ulega on wpływom i podszeptom. Przeciwnikowi się nawet poglądom Gandhiego, który wbrew przewidywaniom Nehru, mniemał, że zwyciężcą w 2 wojnie światowej będzie Hitler i pragnął, aby polityka indyjska liczyła się z tym. Ghandi doradzał również, aby Kongres Indii rozwiązał się, stwarzając warunki normalnego w ustrojach demokratycznych życia stronnictwu. Nehru był za utrzymaniem Kongresu Indii przy życiu i uzyskaniu dla niego decydujących wpływów na życie polityczne kraju. Pogląd ten Nehru zdołał przeprowadzić.

Te dwa przykłady wskazują, że pręczenia się zapewne rolę Kriszny Menona, twierdząc, iż to jego wpływ spowodował tyle tak tragicznych błędów Nehru. Wydaje się jednak, że przyjaźń i podziw Nehru ułatwiły Menonowi stworzenie tej atmosfery, w której dojrzewały decyzje Nehru, nieraz przyspieszane i zaostreżone przez tego doradcę o poglądach skrajnych a temperamentie i uczuciach nieokielzanych.

Postać Kriszny Menona warto się zająć zarówno ze względu na odegraną przez niego rolę jak i na wpływy i zwolenników, pragnących nadal umożliwić mu powrót do władzy. Błędne byłoby przypuszczenie, że nie może on liczyć na poparcie go przez część członków Kongresu Indii. W maju 1963 odbywały się wybory do liczącego 31 członków komitetu wykonawczego tej partii rządowej. Lewica Kongresu spowodowała klęskę wyborczą 17 spośród nich, a byli to właśnie ci, którzy w listopadzie 1962 przyczynili się do usunięcia Kriszny Menona z rządu.

Podczas wyborów do parlamentu w lutym 1962 Nehru agitował za wyborem Menona już nie z zapalem ale z furią. Kampanii wyborczej oddał wszystkie swe siły, na szalę rzucił swój autorytet, niemiarkował gestów ani słów, posyłając przeciwników Menona „do diabła“ itp.

W Bombaju, skąd Menon kandydował, rozlepiono na murach plakaty z napisami: „Kriszna Menon jest przedstawicielem Chin a nie Indii“

Kontrkandydatem jego był Aczaria Lżiwatram Bhagwandas Kripalani, były prezydent Kongresu Indii. W r. 1951, wystąpiwszy z Kongresu, stworzył on Ludową (Pradża) Partię Socjalistyczną, skupiającą w swych szeregach wielu wybitnych intelektualistów indyjskich. Oprócz tego stronnictwa, popierały Kripalaniego, który kandydował jako nie-

zależny, partia liberalno-demokratyczna Swatantra (Wolność) i nacjonalistyczna partia Dżana Sangh. Na Menona głosowali, pod bardzo silnym naciskiem Nehru, członkowie Kongresu, a oprócz nich komuniści. To zwycięstwo wysunęło Menona w hierarchii indyjskiej na drugie miejsce po Nehru. W dziesięć miesięcy później miał je utracić w następstwie smrotnej dymisji.

Kripalani, liczący obecnie 76 lat, jest wybitnym i doświadczonym politykiem, otoczonym powszechnym szacunkiem. Podczas kampanii wyborczej skierował on przeciw Menonowi dwa główne zarzuty: 1. zaniedbanie przygotowania obrony kraju przeciwko komunistom chińskim; 2. stałe popieranie totalitarnych rządów komunistycznych.

W wyniku wyborów w r. 1962 skład Izby Niższej (Lok Sabha) parlamentu indyjskiego, liczącego 494 posłów, był następujący:

Kongres Indii — 348, komuniści — 29; Swatantra — 18, Dżana (Jana) Sangh — 14, Pradża (Praja) Socjaliści — 11, inne drobne partie — 74. W tych liczbach mogły zajść nieznaczne zmiany w wyniku wyborów uzupełniających.

Należy przypomnieć, że od czasu swego powstania w r. 1885 Kongres Indii jednoczył w swym łonie wszystkie warstwy społeczeństwa indyjskiego i wszystkie jego kierunki polityczne. Te sprzeczne elementy trzymała razem silna indywidualność Gandhiego. Kiedy jednak został on w r. 1948 zamordowany przez fanatyka, kierującego się podobnymi motywami jak zabójca Lincolna, jedność Kongresu zaczęła się zarysowywać a równocześnie obniżył się jego poziom moralny. Za kilkunastu przywódcami znalazła się potężna liczebnie, ale słabo uświadomiona politycznie masa. Coraz częściej wychodziły na jaw fakty korupcji i nepotyzmu, rzucające cień na niektóre człowiek osobistości Kongresu.

Równocześnie te same wciąż problemy oczekiwały nadal rozwiązania: fanatyzm religijny i regionalny, system kastowy, system gospodarczy, wahaający między gospodarką państwową i przedsiębiorstwami prywatnymi, analfabetyzm i powszechna nędza — przy stałym przyroście ludności, wynoszącym rocznie ok. 10 milionów.

Wewnątrz Kongresu ścierały się ze sobą rozmaite grupy, ale istotną opozycję stanowią jedynie znajdujący się poza Kongresem komuniści. Liczebnie (29) są oni drugą w parlamencie

partią po Kongresie (348), ale ich wpływy są znacznie większe od liczby zdobytych przez nich mandatów. Zwalczeni przez Nehru znacznie łatwiej niż inne partie opozycyjne, komuniści głosowali nieraz na kandydatów Kongresu a Krisznie Menonowi udzielili jawnie masowego poparcia.

Vengalil Kresnan Kriszna Menon urodził się w 1896 r. w Malabarze, na południowo-zachodnim wybrzeżu Indii. Należy on do podkasty Nair, w najniższej z 4 głównych kast, kastei Sudra (4 główne kasty: 1. Brahmin — kapłani; 2. Kszatrija — wojownicy; 3. Vaisija — kupcy i rzemieślnicy; 4. Sudra — pozostali. Brahmini wywodzą się mają z głowy Buddy, Sudra — z jego stóp). Ojciec Menona był adwokatem.

W młodym wieku ulegał Menon wpływom Angielki, Annie Besant, która wysuwała postulat autonomii dla Indii a wród twórców i organizatorów ruchu teozoficznego zajęła naczelną stanowisko. W r. 1924 Menon udał się do Anglii i pozostał tam przez 28 lat. Studiował w londyńskiej „School of Economics“ pod kierunkiem Harolda Laskiego. Po przyjęciu go do adwokatów wstąpił do „Labour Party“. Utrzymuje się pogłoska, że został z niej usunięty z powodu anonimowej współpracy z dziennikiem komunistycznym „Daily Worker“. Z Nehru spotykał się w Anglii a w Hiszpanii byli razem w okresie wojny domowej. Po uzyskaniu przez Indie niepodległości Menon zajmował kolejno stanowiska Wysokiego Komisarza Indii w Londynie, szefa delegacji indyjskiej w ONZ a od r. 1957 ministra obrony.

Kriszna Menon był nie tylko złym duchem Nehru, był również kamieniem probierczym jego uporu i przekory. Nie chciała go Anglia na stanowisku dyplomatycznym w Londynie, wobec czego Nehru trzymał go tam przez kilka lat. Stany Zjednoczone ostrzegły Nehru, że obecność Menona w ONZ źle służy interesom Indii — dla Nehru był to jedyny argument za utrzymaniem Menona w ONZ jak długo się dało.

Przyznać należy, że Menon nie ukrywał ani swoich poglądów, ani swych sympatii i antypatii, ani swych instyktownych odruchów.

Z pianą na ustach oskarżał kolonializm Zachodu, ale w obronie kolonializmu sowieckiego oświadczył: „Koloniją jest obszar nie należący do ONZ.

(Dokończenie na str. 5)

sztabu Joffre'a odmówił uwzględnienia tej sugestii, jako sprzeciwiającej się zarządzeniom podjętym przez ten oddział po bitwie nad granicami. Gen. Gallieni nalega, prosi gen. Joffre'a o osobiste do telefonu, ale jego osobisty meldunek też nie odnosi skutku.

Wówczas zachodzi nowy fakt: samoloty rozpoznawcze drugiego oddziału (wywiadu) sztabu Joffre'a potwierdzają informacje podane przez gen. Gallieni'ego. Niemieckie prawe skrzydło zbacza na południo-wschód, nie może być co do tego żadnych wątpliwości. Wówczas z miejsca rusza trzeci oddział; zwolana zostaje pospiesznie konferencja jego członków, na skutek której płk Gamelin, szef oddziału i major Galbert, jego zastępca, przygotowują w pośpiechu plan ogólnego kontrataku na całym froncie, rozciągając sugestie gen. Gallieni'ego na działanie ogarniające całość. Wdrożeniu w tego rodzaju pracę, redagując rozkazy wykonawcze. Jednocześnie jeden z wyspecjalizowanych oficerów Sztabu Głównego redaguje słynny rozkaz dzienny.

W towarzystwie głównych oficerów trzeciego oddziału, wśród których znajdował się płk A., i oficerami łącznikowymi z rozkazami, które zostały zredagowane, płk Gamelin i mjr de Galbert wchodzą rankiem 5 września do biura, w którym znajdował się gen. Joffre. Siedział on wówczas jak zwykle za małym stołem, na którym nie było żadnej teki, żadnego papierka. Jedynie po lewej stronie, w zasięgu ręki, Rocznik Wojskowy (Annuaire militaire), do którego często zaglądał. Na przeciw niego, na ścianie, znajdowała się wielka mapa w dużej skali, na której male chorągiewki, przesuwane stopniowo, niekiedy kilka razy dziennie przez oficerów trzeciego oddziału, wytyczają obie linie frontów.

Płk Gamelin przedkłada gen. Joffre'owi tylko co przygotowane rozkazy. I wówczas zaczyna się zwykła scena: gdy jeden z oficerów jego sztabu — przeważnie jest to jeden z czterech szefów biur — wchodzi, by dać mu dokument do podpisu, Generał bierze swe wieczne pióro, rzuca okiem na przedłożony mu dokument i zaczyna go czytać. Jeżeli się zgadza, i w miarę czytania odkręca szybko przykrywkę pióra, to wówczas wiadomo, że podpisuje. Podpisuje rzeczywiście i zęga się ze swym gościem, potwierdzając w kilku słowach swą zgodę. Zdarza się jednak, że czytając przerywa odkręcanie przykrywki pióra: „zrob jaką uwagę, zażąda wyjaśnienia“. Jeśli dana mu odpowiedź wydaje „mu się zadawalająca, kończy odkręcanie przykrywki i podpisuje. Jeśli odpowiedź mu nie odpowiada, zakręca przykrywkę pióra, i rzecz skończona, on nie podpisze i nie nie zmusi go do zmiany zdania. Jeśli w ogóle nie zaczyna odkręcania przykrywki i wkłada swe wieczne pióro do kieszeni, to odmowa podpisu jest ostateczna.

Zatem płk Gamelin przedkłada gen. Joffre'owi przygotowane rozkazy. Wszyscy obecni oficerowie, świadomi powagi chwili, mają oczy utkwione w wieczne pióro „szefa“ (patron), którego zwyczajnie są dobrze znane. Generał, ufając płk. Gamelin, zaczyna czytać rozkazy, bierze swe pióro, zaczyna odkręcanie przykrywki... i zatrzymuje się. Zwracając się do gen. Gamelina powiada:

„Ależ to bardzo ważne, to co mi Pan tutaj przynosi, chciałbym na ten temat trochę z Panem porozmawiać.“

Płk Gamelin odpowiada: „Tak, Panie Generale, są to działania zakrojone na wielką skalę, od których może zależeć los całej wojny. Aby się jednak udało, trzeba działać szybko. Samochody łącznikowe do każdego dowództwa armii czekają już u wyjścia, gotowe do odjazdu, sprawa jest bardzo pilna.“

„A, jeśli to takie pilne...“ — Odkręca przykrywkę wiecznego pióra do końca i podpisuje.

Bitwa nad Marną została rozpoczęta. Jednocześnie, gen. Gallieni, z własnej inicjatywy, sprzeniewierzając się innej wielkiej zasadzie wojennej, która zabrania odwodzenia garnizonu obozu warownego od jego zadania obrony tego obozu, wydał rozkaz zaatakowania prawego skrzydła armii niemieckiej przez część garnizonu paryskiego, przewiezioną taksówkami. Gen. v. Kluck zaskoczony tym niezwykłym manewrem i obawiając się odcięcia linii odwrotu, nakazał wycofanie się prawemu skrzydłu ku północno-wschodowi i zatrzymanie postępów swej armii ku południowi. W ten sposób siły francuskie wciągnięte do walki na całej linii Marny, uzyskały istotny element powodzenia.

P.E.

Przełożył z franc. Jan Ostrowski.

KONFLIKT W HIMALAJACH...

(Dokończenie ze str. 4)

Satelitów nie można nazywać koloniami, bo wszyscy zostali przyjęci do ONZ.

W ONZ jak najostreżniej potępiał Anglię i Francję w związku ze sprawą Suez, natomiast twierdził, że interwencję sowiecką na Węgrzech przedstawia się w przesadny sposób. Podczas debaty węgierskiej zgodnie z instrukcjami Nehru albo głosował razem z Sowiecami, albo wstrzymywał się od głosowania.

W sprawie doświadczeń z bombą atomową stale popierał stanowisko zajmowane przez Chruszczowa.

Wedle powszechnej opinii, Menon trzymający się zazwyczaj w ramach suflera i zbyt gorliwie wykonawcy, w jednym wypadku zdołał nakłonić Nehru do zgody na wykonanie własnego projektu, któremu Nehru początkowo się opierał. Było to wtedy, kiedy Kriszna Menon, wówczas minister obrony, ułożył i wykonał plan najazdu na Goa. To łatwe „zwyństwo“ było kłeską moralną Nehru, głosiciela zasady „nie uciekania się do gwałtu“ i „pokojowego załatwiania sporów“ Sofizm, którymi Menon starał się dowiedzieć, że Indie miały prawo opanować siłą zbrojną teren Goa, nikogo nie przekonały. W ferworze polemicznym powiedział on wtedy, że „zasada Gandhiego o nie uciekaniu się do gwałtu nie stała się częścią konstytucji Indii“. Po przybyciu do Nowego Yorku, udzielił zgromadzonemu na lotnisku dziennikarzom wywiadu. Dziennikarza amerykańskiego, który w związku ze sprawą Goa użył słowa „agresja“, zwyniosł, wymachując mu kijem nad głową.

Jeden z najwybitniejszych indyjskich mężów stanu, sędziwy Czakarwari Radzagopalczari, powiedział wtedy: „Indie podkopały przez tę akcję autorytet i prestiż Rady Bezpieczeństwa ONZ oraz straciły prawo moralne do podnoszenia głosu przeciw używaniu siły zbrojnej“. Dodał przy tym, że chwila najazdu na Goa była jak najgorzej wybrana, ponieważ Indie dokonały go w chwili, gdy same przeciwstawiają się najazdowi na swe granice.

Kriszna Menon był stale głosicielem zasady „samookreślenia“, kiedy jednak Pakistan zażądał przeprowadzenia plebiscytu na spornym obszarze Kaszmiru, podobnie jak Nehru — stanowczo się temu przeciwstawił.

Też wytyczną jego polityki było, że wrogiem Indii jest Pakistan a nie Chiny. W r. 1957 szef indyjskiego sztabu generalnego, gen. S.K. Thimayya, przedstawił plan wzmocnienia obronności północnej granicy Indii. Menon projekt ten odrzucił, mówiąc: „Wróg to Pakistan, nie Chiny“. (W tym samym czasie, gdy sugerowano Nehru sojusz z Pakistanem, celem wspólnej obrony, Nehru zapytał: „Obrony przed kim?“).

Już po atakach chińskich na granicę Indii, Menon w dalszym ciągu domagał się przyjęcia Chin komunistycznych do ONZ i przeciwstawił się omawianiu tam tragedii okupowanego przez Pekin Tybetu.

Wyborowe oddziały armii indyjskiej, stanowiące dwie trzecie wszystkich sił zbrojnych Indii, trzymał na granicy Pakistanu. Przez 4 lata opierał się żądaniom oficerów sztabu, aby przestarzałe karabiny z czasów pierwszej wojny światowej zastąpić nowoczesnymi. Odmówił wzmocnienia artylerii górskiej, zwiększenia liczby żołdaków itd. Budżet wojskowy, stanowiący 38 proc. całego budżetu, obniżył do 27 proc.

Podobnie jak Nehru nie opanowuje on wybuchów pasji. W ONZ podczas jednego z ataków gniewu, rzucił na podłogę papiery i kopnął sekretarza, który nie dość szybko je zbierał. Był bardzo niepopularny w ministerstwie obrony, gdzie słyszano pewnego razu jak ryczał do telefonu: „Admirale, niech pan nie będzie durniem“. Zarozumiały arogant, jest bardzo niepopularny wśród szerokiej kół kongresu Indii. Zdrowie jego jest złe, w r. 1961 przeszedł operację skrzepu w mózgu, czeka go druga podobna.

Tak przedstawia się sylwetka człowieka, który był w Indiach najpotężniejszym po Nehru człowiekiem.

Jego ciężkie błędy przyczyniły się znacznie do tej fatalnej sytuacji w której znajdują się obecnie Indie.

Kriszna Menon poniósł konsekwencje swych przewinień, znalazł się bowiem poza nawiasem jawnego życia politycznego. Nehru, gdy jeszcze Me-

non był u władzy, oświadczył szereg razy, że ponosi pełną odpowiedzialność za jego politykę i decyzje. Te zapewnienia premiera Indii nie znalazły żadnego odpowiednika w świecie rzeczywistym.

Jan Fryling

PARTIA PO XIII PLENUM

Lipcowe XIII Plenum KC PZPR uściśliło organizacyjnie wpływ Gomulki i neostalinowskiej grupy t.zw. partyzantów w partii. W kraju wywołało echa jak najgorsze. Nic dziwnego: nowy kurs zaakceptowany przez Plenum zrozumieli społeczeństwo jako nawrót do ery „zamordyzmu“.

Po rezygnacji Zambrowskiego w 10-osobowym Biurze Politycznym Gomulka nie ma rywala. Z wyjątkiem mało intelektualnego „stalinisty“ Zawadzkiego wszyscy inni złączyli się z Gomulką przyjaźnią lub interesami politycznymi.

Mniej jednolite oblicze ma Sekretariat KC. Po nominacji na ostatnim plenum dwóch nowych sekretarzy (Bolesław Jaszczuk i Artur Starewicz) zasiada w tym zespole obok Gomulki 8 czołowych działaczy PZPR. Spośród nich co najmniej dwóch, mianowicie Ryszard Strzelecki i Bolesław Jaszczuk, posiadają z bliskimi związkami z kliką „partyzantów“. Tkwi też ciągle jeszcze na stanowisku sekretarza, choć od dawna pozbawiony wpływu na decyzje polityczne, Władysław Matwin — jedyny na tak wysokim szczeblu sympatyk „rewizjonistów“. Słabo oddany Gomulce jest Zenon Kliszko, blisko z dzisiejszym szefem partii współpracują Edward Ochab, Edward Gierek, Witold Jarosiński. Ostatni z tej ósemki Artur Starewicz związany był z grupą puławską i nie był zwolennikiem zaostrzenia kursu. Rzeczono w okresie lipcowego Plenum zawarł sojusz z „partyzantami“.

Gomulka, zmuszając Zambrowskiego do wycofania się z Politbiura i Sekretariatu, nie tylko pozbył się równego mu stażem w partii rywala, z którym miał stare porachunki z okresu rządów Bieruta, ale również zlikwidował największą do niedawna, pod względem liczebności i wpływów, frakcję, t.zw. grupę puławską.

W Komitecie Centralnym po XIII Plenum, zamiast czterech, są teraz trzy grupy: „partyzanci“, „gomulkowcy“ i „liberałowie“. Dwie pierwsze grupy decydują o polityce partii. Pomostem, który je łączy, jest nowy kurs polityczny. Autorem kompromisu był Gomulka, charakterystyczne dla dzisiejszej polityki partii zaostrzenie kursu zasuflowały Gomulce „partyzanci“. Na stanowisko kierownicze wśród partyzantów wyśrodkował się generał Moczarski, szef reżimowej Bezpieki.

Byli puławianie po porażce Zambrowskiego flirtują z Gomulką i z Moczarskiem. Nieliczni tylko są w opozycji do nowego kursu, ale działają bardzo nieśmiało. Czy Leon Kasman, naczelny redaktor „Trybuny Ludu“, najwybitniejszy po Zambrowskim wśród byłych „puławian“ członek KC zechce i potrafi objąć nad nimi przewodnictwo, za wcześnie dziś przewidywać.

(FEC)

Ku nowemu zaostrzeniu partyjnej polityki kulturalnej

(Dokończenie ze str. 1)

„swoistym pojmowaniem obiektywizmu i naukowości“ czyli „odpolityczniają“ socjologię, a tym samym bronią jej przed użyciem do walki ideologicznej z burżuazją. Co zaś najbardziej oburza Gomulkę, to fakt, że autorzy prac z dziedziny socjologii, ekonomii i filozofii opierają się „szeroko na źródłach i literaturze zachodnio-europejskiej i amerykańskiej, pomijając literaturę radziecką i nawet klasyków marksizmu“.

Tego stanu rzeczy w „naukach społecznych“ Gomulka i jego partia nie ma zamiaru nadal tolerować. Socjologowie muszą powiązać te badania z interesami i działalnością PZPR. Tylko takie ich prace, które stać będą na gruncie marksizmu-leninizmu uznawane będą za bezbłędne naukowo. Instancje partyjne i PAN będą w przyszłości udzielać poparcia jedynie „badaniom i twórczości naukowej... wolnym od burżuazyjnych naleciałości i rewizjonistycznych wahań“. Tylko programy i podręczniki szkolne w zakresie nauk społecznych, wyrażenie i bojowo stojące na gruncie doktryny partyjnej uzyskają „imprimatur“ władz. W szczególności zażądał Gomulka, aby na mającej się wkrótce odbyć ogólnokrajowej naradzie pracowników nauk społecznych przeprowadzono „gruntowną i wnikliwą analizę błędnych tendencji teoretycznych i ideologicznych“ w tych naukach.

W świetle wywodów Gomulki egzystencja wszelkich innych modeli w naukach społecznych na uczelniach wyższych — poza socjologią, ekonomią i filozofią marksistowsko-leninowską — staje się iluzoryczną, a właściwie wprost bezprzedmiotową. Mało tego. Z krytyki przeprowadzonej przez Gomulkę wynika, że nawet najmniejsze odchylenia od doktryny partyjnej w tych naukach nie mogą liczyć w przyszłości na pobłażliwość. Gomulka nie wymienia wprawdzie nazwisk przedstawicieli tych odchylenia, ale jest tajemniczą polisizynela, zdradzoną przez odnośne publikacje naukowe, że sekretarz partii ma na myśli nie tylko kilkakrotnie już potępionego przez PZPR prof. S. Chałasińskiego, nie tylko prof. S. Ossowskiego i prof. M. Ossowską (wykładających socjologię w uniwersytecie warszawskim), ale również tak niepodejrzanego marksistę, jak prof. J. Hochfelda (b. członek PPS), wykładającego socjologię stosunków politycznych w Warszawie, jako tego, którego naukowe poglądy — według ogólnego określenia w referacie Gomulki — „sprowadzają się w ostentacyjnym rachunku do odgrzewania

starych, socjaldemokratycznych koncepcji“.

Można było oczekiwać, że szukając wyjścia z bigosu „ideologicznego“ na katedrach nauk społecznych Gomulka zaproponuje rozwiązanie moskiewskie. I rzeczywiście. Mówiąc o plażycie wznowionych na uczelniach wyższych dwa lata temu tzw. przedmiotów ideologicznych, które „nie przynoszą tego, o co idzie najbardziej, tj. umocnienia socjalistycznych podstaw ideowo-politycznych“, Gomulka wskazał, że w Związku Sowieckim wprowadzono ostatnio wykłady o „zagadnieniach naukowego komunizmu“. I u nas — powiedział Gomulka — istnieje wyraźna potrzeba wprowadzenia przedmiotów tego typu.

Mówiąc o partyjnych kłopotach z literaturą, krytyką artystyczną, filmem, teatrem, radiem, telewizją i prasą — Gomulka stanął również bezkompromisowo na tzw. pozycjach okresu minionego.

Liberalizm proklamowany w „październiku“ przyniósł bowiem w wymienionych wyżej dziedzinach same właściwie minusy z punktu widzenia ideologii partyjnej. Podobnie jak historycy, również literaci, rozczarowani i pełni najczarniejszego pesymizmu, uciekli od tematyki współczesnej. A nią właśnie zajmowały się „produkcyjniaki“ „okresu minionego“, owa złośliwie przez krytyków dzisiejszych oceniana partyjna „literatura buraczana“, której Gomulka zdecydowanie broni. Partia niby to nie chce narzucać tematów, ale Gomulka gorzko wytyka pisarzom, że nie piszą „o doli ludu polskiego w Polsce obszarnej i kapitalistycznej, o polskich komunistach, o zwycięskim szlaku od Lenina aż po Berlin“, itp. Do tych poglądów Gomulki dodał w dyskusji min. kultury T. Galiński, że tzw. środowiska twórcze „dusi się we własnych sosie, nie zna kraju i nowych ludzi, kawiarnia literacka narzuca poglądy i oceny“, krytyka zaś terroryzuje i rozbraja ideologicznie pisarzy, pragnących zachować w swych utworach linię partyjną. Co zaś szczególnie uderza, to gwałtowność, z jaką Gomulka atakował na plenum pisarstwo młodzieży literackiej w dzisiejszej Polsce. I nic dziwnego, skoro ze zgrozą podkreślał, że pisarstwo to „próbuje przedstawić przewrasy cynizmu, demoralizacji i zwyrodnienia jako skutek panujących u nas stosunków“, czyli jako produkt rządów komunistycznych.

Narzekania Gomulki nie ograniczyły się jednak do skatalogowania błędów ideologicznych w dzisiejszej produkcji literackiej. Nie mniej gorzko ubolewał, że „odrzucając marksizm w ogóle, swoisty nihilizm ideowy i moralny“ rozciągają się również na produkcję wielkiej ilości filmów, filmów „rozpaczy, beznadziejności, filozofii bezsensu życia“. Część teatrów w Polsce lansuje „burżuazyjne“ sztuki o antykomunistycznej wymowie i pełne dekadencjonalnych nastrojów. W telewizji panoszą się prymitywizm i wulgarność, do radia — kierowanego przecież przez asa partyjnego i członka KC p. W. Sokorskiego — „zakradł się obcy styl, lansujący model życia ułatwionego, zbrutalizowanego“, magazyny prasowe („Przekrój“, itp.) snobują się Zachodem i świętym kapitalistycznym, itd. itd. Najostreższe bodaj gromy padły na krytykę literacką i artystyczną, która pozbawiona znajomości partyjnej doktryny oraz „pryncypialności“, wypełniona „subiektywizmem“ szerzy „mętność ideologiczną“, przekreśliwszy skutecznie cały „dorobek“ literatury i sztuki okresu bierutowo-stalinowskiego.

O ile idzie o ocenę sytuacji „ideologicznej“ na odcinku kulturalnym, to uderza (na co zwróciłem uwagę w art. „Lamenty i gorzkie żale p. Gomulki“ w „Orle Białym“, nr. 29 z 18.7.br.) zarówno mechaniczna (w kompozycji referatu), jak i merytoryczna (zwłaszcza w odniesieniu do literatury i sztuki) zbieżność poglądów Gomulki z poglądami Chruszczowa, wygłoszonymi na analogicznym plenum KPZR w czerwcu br. Najwidoczniej zasadnicze elementy tej sytuacji są te same w „Polsce Ludowej“, co w Rosji Sowieckiej, przy czym różnica w wieku jednej i drugiej nie odgrywa — jak się okazuje — większej roli w przewidywaniu kłopotów ideologicznych.

Jakie są propozycje Gomulki, aby niepowodzenia te zwalczać?

Poza wyswiechtanymi ogólnikami, przeważnie skopiowanymi z referatu Chruszczowa, a mówiącymi np. o konieczności rygorystycznego przestrzegania metody socrealizmu w literaturze i w sztuce — Gomulka zapowiedział powołanie do życia „Komisji Ideologicznej Komitetu Centralnego PZPR“. „systematycznie działającej pod przewodnictwem członka kierownictwa partii z udziałem właściwych sekretarzy KC, kierowników wydziałów KC i odpowiednich resortów państwowych oraz niektórych członków KC“. Komisja ta będzie „zapewniała realizację linii ideologicznej partii“, będzie też kontrolowała realizowanie tej linii przez odpowiednie organy rządowe i instytucje państwowe. Na moment kontroli położy nacisk w dyskusji główny ideolog PZPR p. A. Schaff, mówiąc „Trzeba, aby komisja nie tylko wytyczała linię postępowania, lecz również kontrolowała poprawę poprzez swoje transmisje wykonawstwo swych decyzji“. „Transmisje“ te znajdą swój wyraz „w odpowiednio rozbudowanych i odpowiednio obsadzonych wydziałach fachowych“.

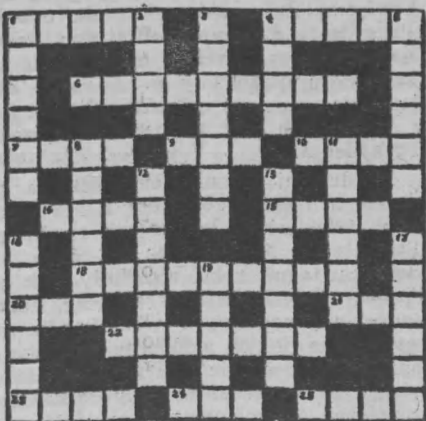
Nie ma potrzeby bliżej wyjaśniać prawdziwej wymowy tej propozycji czy raczej głównego rezultatu plenum „ideologicznego“, do którego — jak wynika z rozgłosu propagandowego — partia przywiązuje zasadnicze znaczenie. Gomulka zapewniał w swym referacie, że partia — mimo fatalnego stanu na odcinku „ideologicznym“ — nie zamierza stosować środków i stwarzać organów administracyjnych, aby ten stan poprawić. W rzeczywistości zarządził stworzenie takiej organu w postaci „komisji ideologicznej“, która bez wątpliwości zaostrzy dyktaturę partii w życiu kulturalnym Polski. Jeszcze raz została potwierdzona prawda, że utrzymanie tej dyktatury możliwe jest tylko przy utrzymaniu atmosfery „ideowej“ i przystosowaniu środków, które wypraktykował okres stalinowski.

Nie sądzimy, aby „komisja ideologiczna“ pomogła partii w „przekształcaniu świadomości“ społeczeństwa. Przyczyna, dla której to „przekształcanie“ jest przyszłowiową kwadraturą koła, leży bowiem u samego korzenia doktryny partyjnej. Wedle niej „nadbudowa ideologiczna“ wyraża się w sposobach produkcji dóbr materialnych. Te sposoby decydują rzekomo ostatecznie o wyobrażeniach, sądach, formach politycznych, a także religijnych, artystycznych, filozoficznych, słowem: o ideologii.

Osobowość ideologii polskiej tryśka z organicznie innych i różnych źródeł. Nie zatruje i nie zasypie ich „komisja ideologiczna“ pp. Gomulkow i Schaffów.

Stefan Męcarski

KRZYŻÓWKA NR 520/63



ZNACZENIE WYRAZÓW

Poziome: 1) wysłać do niego, to przepędzić?; 4) całkowicie, kompletnie; 6) stara, ponura fortyfikacja, w bajkach siedziba duchów; 7) i 10) stworzenie z okrzężeniem?; 9) i 24) okrasa; 14) i 15) imię papieża; 18) obcy znak pisarski?; 20) i 21) tylko

trzy są na świecie; 22) ostrze z Pana Tadeusza?; 23) i 25) ser ostry na końcu?

Pionowe: 1) zapalczywy; 2) gust z kwiatkiem? (wspak); 3) ciężar; 4) bez niego nie ma interesu; 5) podstawa, prawo (wspak); 8) postać z Quo Vadis; 11) prawo; 12) nie może być bez brody (wspak); 13) masa lub kasa?; 16) kolor; 17) korek lub człowiek?; 19) w maszynie i gramatyce (wspak).

ROZWIĄZANIE KRZYŻÓWKI NR 511/63

Poziome: 1) trusia, 4) gazela, 7) kostur, 8) etiuda, 9) zarys, 10) Hania, 12) ile, 16) i 17) kajzerka, 18) włos, 19) tabu, 20) okólna (wspak), 21) Gruzja.

Pionowe: 1) tyka, 2) Saturn, 3) Istria (wspak), 4) Goethe, 5) zmiana, 6) gapa (wspak), 9) zrękowiny, 11) Andaluja, 13) Lublin, 14) szóstka, 15) lektura.

JEDNYM z największych bólów i żalów emigracji niepodległościowej jest brak jedności, rozłam. Właściwie należy posługiwać się liczbą mnogą i mówić nie o rozłamie, lecz o rozłamach. Pierwszego rozłamu dokonał w r. 1945 p. Stanisław Mikołajczyk, przyjmując bezprawne i krzywdzące Polskę decyzje jałtańskie trzech mocarstw i składając potem przysięgę na ręce Bieruta. Drugi rozłam nastąpił w r. 1947 po objęciu urzędu Prezydenta Rzeczypospolitej przez p. Augusta Zaleskiego. Rozłam ten został w wielkiej mierze przezwyciężony w r. 1954 w wyniku misji gen. Sosnkowskiego, ale w jego miejsce wszedł nowy podział, dokonany przez zwolenników p. Augusta Zaleskiego. Ostatniego rozłamu, o najmniejszym już znaczeniu, dokonały w r. 1963 ugrupowania, które utworzyły t.zw. Federację Ruchów Demokratycznych. Konsekwencją jest istnienie na emigracji czterech ośrodków politycznych. Odbudowanie jedności jest wielką tęsknotą całej emigracji polskiej, która czuje i wie, że od jedności zależy w wielkiej mierze skuteczność jej działania. Co pewien też czas powtarzają się na różnych zjazdach i manifestacjach wezwania do odtworzenia jedności w ramach obozu niepodległościowego. Cel ten należy zaakceptować szczerze i gorąco.

Nie zamierzam tutaj omawiać konkretnych możliwości osiągnięcia tego celu. Chcę tylko przypomnieć tło i historię rozłamu z r. 1947, bo bez ich znajomości wszystkie wysiłki, podjęte nawet najlepszymi chęćmi, musiałyby spełznąć na niczym. Tłem rozłamu był sposób objęcia urzędu Prezydenta Rzeczypospolitej po zgonie śp. prezydenta Władysława Raczkiewicza. Następcą Prezydenta — na wypadek opróżnienia się urzędu — prawomocnie wyznaczony był Tomasz Arciszewski. Zarządzeniem z dnia 26 kwietnia 1947 śp. prezydent Raczkiewicz wyznaczył swym następcą p. Augusta Zaleskiego, z tym, że z chwilą ogłoszenia tego nowego zarządzenia traci moc obowiązującą zarządzenie poprzednie, z dnia 7 sierpnia 1944, wyznaczające następcą Tomasza Arciszewskiego. W sześć tygodni później prezydent Raczkiewicz zmarł. Nominacja p. Augusta Zaleskiego na następcę Prezydenta została ogłoszona w gazecie urzędowej w dniu 6 czerwca 1947, już po zgonie prezydenta Raczkiewicza. Nie on też zarządził jej ogłoszenie, lecz minister sprawiedliwości.

NOMINACJA BEZ KONSULTACJI

Nie ulega wątpliwości, że śp. prezydent Raczkiewicz osobiście życzył sobie przeprowadzenia zmiany na stanowisku następcy Prezydenta. Również jednak nie ulega wątpliwości, że pragnął, aby zmiana ta była poprzedzona konsultacjami, wynikającymi z jego zobowiązania paryskiego z dnia 30 listopada 1939 r. o sposobie wykonywania prerogatyw osobistych z mocy artykułu 13 konstytucji kwietniowej.

Konsultacji takich do chwili zgonu śp. prezydenta Raczkiewicza nie było. Stąd też mógł być pojawić się i rzeczywiście pojawił się pogląd, że nominacja p. Augusta Zaleskiego na stanowisko następcy Prezydenta jest pod względem konstytucyjnym nieważna i że następcą Prezydenta pozostaje nadal Tomasz Arciszewski. Na tym stanowisku stanęła Polska Partia Socjalistyczna, która też od owej pory znalazła się poza rządem. Natomiast Stronnictwo Narodowe i Stronnictwo Pracy uznały p. Augusta Zaleskiego za Prezydenta Rzeczypospolitej, kierując się bądź względem na ratio legis, bądź też względem na celowość polityczną. Niezależnie jednak od prawnokonstytucyjnej i politycznej oraz moralnej oceny sposobu objęcia urzędu Prezydenta Rzeczypospolitej przez p. Augusta Zaleskiego i od ustosunkowania się do p. Augusta Zaleskiego na tym urzędzie, coraz widoczniejsze się stawało, że bez załatwienia kwestii prezydenckiej nie dojdzie do odtworzenia jedności narodowej. Zaczęto szukać sposobów wyjścia z kryzysu, który narobił znamion kryzysu chronicznego. Z rozpoznania kryzysowej sytuacji wyciągnęło najpierw wnioski Stronnictwo Narodowe, które nie przestając uznawać p. Augusta Zaleskiego za Prezydenta Rzeczypospolitej — stanęło na stanowisku konieczności zmiany na urzędzie Prezydenta, by tym umożliwić osiągnięcie zjednoczenia politycznego. Po wystąpieniu Stronnictwa Narodowego z rządu — pozostało w nim z dawnej wojennej koalicji stronnictw już tylko Stronnictwo Pracy, a raczej jego część.

Nastąpił szereg przegrupowań; powstały nowe organizacje polityczne; weszły w życie zbiorowe emigracji or-

ADAM CIOLKOSZ

JEDNOŚĆ — KTO, Z KIM I JAK ?

ganizacje, które w nim poprzednio udziału nie brały. Wreszcie z początkiem 1950 r. uformowały się dwa ciała reprezentacyjne, jedno pod nazwą Rady Narodowej, skupione przy p. Augustynie Zaleskim i z nim związane, drugie pod nazwą Rady Politycznej, widzące jedyną drogę do odbudowania jedności narodowej przez ustąpienie p. Augusta Zaleskiego z urzędu Prezydenta i odtworzenie ładu prawnego, ustanowienie oświadczeniem paryskim śp. prezydenta Raczkiewicza. W skład Rady Narodowej wchodziła Liga Niepodległości Polski, Stronnictwo Ludowe „Wolność”, część Stronnictwa Pracy, Związek Socjalistów Polskich na Obczyźnie, później także Niezależna Grupa Społeczna. W skład Rady Politycznej wchodziła Polska Partia Socjalistyczna, Stronnictwo Narodowe, PRW „Niepodległość i Demokracja”, do których przylażyło się Polskie Stronnictwo Ludowe — Ołłam Jedności Narodowej i część Stronnictwa Pracy. Podział ten, przy niewielkich przesunięciach i zmianach, przetrwał do wiosny 1954.

TRZY OFERTY USTĄPIENIA

W okresie owych siedmiu lat p. August Zaleski najwidoczniej sam odczuwał moralną, polityczną i prawną słabość swej pozycji na urzędzie Prezydenta Rzeczypospolitej, skoro ze swej strony wielokrotnie ponawiał ofertę swego ustąpienia. Już w dniu 13 czerwca 1947, w cztery dni po objęciu urzędu, skierował do Tomasza Arciszewskiego list odręczny, w którym zapowiedział, że zrzeknie się prezydentury, o ile stronnictwa wchodzące do rządu w ciągu dwóch tygodni zgodzą się na osobę innego Prezydenta. W okresie misji prof. Henryka Paszkiewicza zadeklarował gotowość ustąpienia z urzędu prezydenckiego po ukończeniu 70 lat życia, t.j. w dniu 13 września 1953 r. W okresie misji gen. Mariana Kukieła zapowiedział ustąpienie „nie później jak z początkiem 1953 r.”, o ile dojdzie do układu pomiędzy trzema ugrupowaniami Rady Narodowej i trzema ugrupowaniami Rady Politycznej.

Misja gen. Kukieła (rok 1951) nie dała wyniku dla obu przyczyn. Jedną z nich było sformułowanie klauzuli w sprawie wykonywania prerogatyw prezydenckich. Projekt układu „w sprawie zjednoczenia politycznego emigracji” przewidywał co prawda każdorazowe odbywanie konsultacji w sprawie wykonywania prerogatyw, z tym jednak, że ostateczną decyzję miałyby Prezydent każdorazowo powiłać „zgodnie ze swoim sumieniem i rozumieniem dobra państwa i narodu”. W tym ujęciu, ostateczna decyzja w sprawie następcy Prezydenta pozostawać miałyby w ręku p. Augusta Zaleskiego. Znaczenie tego zastrzeżenia ujawniło się później w chwili, gdy p. Zaleski odmówił wyznaczenia generała Sosnkowskiego na swego następcę, pomimo pozytywnego i zgodnego wyniku konsultacji. Również niemożliwe do przyjęcia było odwołanie terminu ustąpienia p. Augusta Zaleskiego.

OKRESLENIE KADENCJI

Jeszcze w roku 1950 wyłoniła się myśl określenia kadencji Prezydenta. Myśl ta zrodziła się z tendencji do ułatwienia p. Zaleskiemu ustąpienia bez kapitulacji i bez osobistego upokorzenia, które nigdy nie leżało w zamierzeniach stronnictw i czynników, postulujących załatwienie kryzysu państwowego. Gdy po zgonie premiera Tadeusza Tomaszewskiego stronnictwa zrzeszone w Radzie Politycznej zostały przez p. Augusta Zaleskiego zaproszone na rozmowy, powiadomiły one p. Zaleskiego — każde z osobna, ale między sobą zgodnie — że pierwszym wymogiem wyjścia z kryzysu jest ich zdaniem zmiana na stanowisku Prezydenta Rzeczypospolitej. Stronnictwa te były jednak zgodne też co do tego, że zmiana winna być dokonana w sposób, nie naruszający godności urzędu. Dwa z tych stronnictw zaproponowały przykładowo ograniczenie czasu sprawowania urzędu prezydenckiego w okresie przebywania władz państwowych na emigracji i doradzały określenie kadencji Prezydenta na lat cztery. PPS wskazywała na inne sposoby przeprowadzenia zmiany na stole prezydenckim, zawsze przy zachowaniu powagi samego urzędu, oświadczała jednak, że gotowa jest rozpatrzyć każde rozwiązanie formalne, odmienne od jej własnych propozycji, jeśli tylko w swej istocie sprowadzi się ono do ustąpienia p. Zaleskiego.

W ten sposób z końcem roku 1952 katalog zagadnień spornych obejmował cztery zagadnienia: 1. sprawę ustąpienia p. Augusta Zaleskiego, a w związku z tym 2. sprawę kadencji Prezydenta, 3. sprawę osoby następcy Prezydenta, 4. sprawę sposobu wykonywania prerogatyw prezydenckich. W razie zgodnego rozwiązania tych zagadnień — ale też tylko w razie ich rozwiązania — pojawiała się możliwość doprowadzenia do pełnej jedności narodowej na konstytucyjnej podstawie ciągłości państwa polskiego i na politycznej podstawie odrzucenia postanowień jałtańskich i ich następstw. W tym stanie rzeczy zaszły dwa wydarzenia wielkiej wagi, pozwalające na optymistyczną ocenę szans zjednoczenia.

MISJA GEN. SOSNKOWSKIEGO

Wydarzeniem pierwszym było ujawnienie przez p. Augusta Zaleskiego w dniu 22 grudnia 1952 zamiaru wyznaczenia generała Kazimierza Sosnkowskiego następcą Prezydenta. P. Zaleski zwrócił się do premiera gen. Odzierżyńskiego o przeprowadzenie w tej sprawie konsultacji ze stronnictwami politycznymi. Wszystkie zapytane stronnictwa ustosunkowały się do kandydatury gen. Sosnkowskiego pozytywnie. W szczególności ustosunkowała się do niej pozytywnie PPS, co należało rozumieć w ten sposób, iż objęcie stanowiska Prezydenta R.P. przez generała Sosnkowskiego — cytując własne słowa śp. prezesa Arciszewskiego — „oznaczałoby będzie, iż odbudowa ciągłości państwa polskiego na emigracji została dokonana”, inaczej mówiąc, że prezes Arciszewski przestanie się uważać i przestanie być przez PPS uważany za prawomocnego następcę Prezydenta. Po raz więc pierwszy od roku 1947 zarysowała się zgoda na osobę kandydata na urząd Prezydenta Rzeczypospolitej, po raz pierwszy powstała możliwość położenia kresu — stanowi rzeczy, w którym jeden dzień ciągnął do lasa, drugi do lasa. Przez emigrację przebiegł ożywczy prąd nadziei, manifestował się pęd do jedności.

Drugim wydarzeniem, uprawniającym do optymizmu, było oświadczenie, które p. August Zaleski swa sponte złożył na posiedzeniu Rady Gabinutowej w dniu 16 maja 1953 i które gen. Odzierżyński tegoż dnia odczytał na posiedzeniu Rady Narodowej. W oświadczeniu tym p. August Zaleski ogłosił wykładnie wykonawcą ustawy konstytucyjnej, ustanawiającej siedmioletnią kadencję Prezydenta, który objął swój urząd w czasie wyjątkowych okoliczności spowodowanych wojną, na zasadzie art. 24 konstytucji kwietniowej. Zgodnie z tą interpretacją zapowiedział też, że w dniu 9 czerwca 1954 przekaże swój urząd swemu następcy, wyznaczonemu z uwzględnieniem zobowiązania paryskiego. Jasno i wyraźnie sformułowane oświadczenie p. Augusta Zaleskiego nie było obwarowane żadnymi zastrzeżeniami i nosiło charakter bezwzględnie obowiązujący. W tym stanie rzeczy wolno było przypuszczać, że w dniu 9 czerwca 1954 długotrwały kryzys konstytucyjny i polityczny dobiegnie końca i że wszystkie energie emigracji będą oddać mogły być skierowane w lożysko zgodnej a wyteżonej pracy nad odzyskaniem niepodległości.

„AKT ZJEDNOCZENIA”

Gen. Sosnkowski oświadczył, że zaproponowane mu stanowisko następcy Prezydenta przyjmie dopiero wtedy, gdy nastąpi uzgodnienie całokształtu zagadnień, od których zależy osiągnięcie zjednoczenia narodowego. Warunek ten został spełniony. W toku 15 posiedzeń delegacji stronnictw i ugrupowań Rady Narodowej i Rady Politycznej, odbytych w Londynie w lipcu 1953 oraz w lutym i marcu 1954 doszło do zawarcia porozumienia, spisane w Akcie Zjednoczenia i podpisanego w dniu 14 marca. Stojąc na stanowisku obowiązującej konstytucji i ciągłości państwa polskiego, Akt Zjednoczenia postanawiał m.in., że prerogatywy Prezydenta Rzeczypospolitej będą wykonywane na podstawie oświadczenia śp. prezydenta Raczkiewicza z dnia 30 listopada 1939 roku i przyjętej przez niego wykładni uzupełniającej z dnia 22 października 1940 roku. W ten sposób wydawało się, że wszystkie trudne zagadnienia sporne, które przez siedem lat w wielkiej mierze paraliżowały działalność nie-

podległościową emigracji, zostały rozwiązane.

Nadzieje te miały spotkać się z gorzkim zawodem. W dniu 3 czerwca 1954 p. August Zaleski ogłosił, iż „nie znajduje w swym sumieniu możliwości powzięcia decyzji wyznaczenia generała Sosnkowskiego na następcę Prezydenta Rzeczypospolitej”. W dniu 8 czerwca tegoż roku odwołał swą zapowiedź złożenia urzędu Prezydenta Rzeczypospolitej i przekazania go w ręce wyznaczonego przez siebie następcę. Ta pierwsza decyzja była sprzeczna z wynikiem konsultacji przeprowadzonych na przełomie lat 1952 i 1953, ta druga była niepodległościowa. Pp. Bogusław Miedziński, marszałek ostatniego Senatu i jeden z współtwórców konstytucji kwietniowej oraz Bronisław Helczyński, ostatni I-y prezes Najwyższego Trybunału Administracyjnego, ogłosili swą ekspertyzę, wedle której oświadczenia Prezydenta, stanowiące wykładnię obowiązującej konstytucji, mają moc prawa i wiążą wszystkie organy państwowe wyłącznie z samym Prezydentem, a zatem oświadczenie p. Augusta Zaleskiego, ustanawiające siedmioletnią kadencję, jest niezmiennie i nieodwołalne, zaś jego późniejsze oświadczenie, którym sam sobie kadencję przedłużył, stanowi naruszenie konstytucji i jest wskutek tego pozbawione mocy prawnej.

Dla szerokiej rzeszy emigracyjnej dzień 9 czerwca 1954 był dniem bolesnego zawodu. Szczególnie boleśnie zawód ten odczuła Polonia Amerykańska, która z wielkim nakładem sił i pieniędzy przygotowywała manifestację w Waszyngtonie na rzecz sprawy polskiej i która wobec wiadomości z Londynu musiała manifestację tę odwołać. Doświadczenia okresu rosnących a potem rozwijających nadziei zamknął gen. Sosnkowski słowami, wypowiedzianymi w Montrealu w dniu 13 czerwca 1954: „Obserwacje, poczynione przez mnie w toku długotrwałej akcji londyńskiej, musiałyby utwierdzić mnie w myśli, że wina stronnictw była celowo wyolbrzymiana i że rację mieli ci, którzy zarzucali Prezydentowi Zaleskiemu dążenie do jedynowładztwa oraz skazywanie, że na słowie jego i na zobowiązaniach, jakie zaciąga, nie opierać nie można, że widzi on jedność narodową jedynie na swoich warunkach i pod swoją osobistą egidą”. Nie do tych słów i dzisiaj dodawać nie trzeba i nie z nich ujmować nie należy.

„ZJEDNOCZENIE NARODOWE”

Dalszy przebieg wydarzeń był następujący:

Komisja Porozumiewawcza Stronnictw i Ugrupowań Politycznych obu stron stwierdziła zgodnie, że kadencja p. Augusta Zaleskiego skończyła się w dniu 9 czerwca 1954. Rozliczne czynniki, grupujące się do tej pory przy p. Augustynie Zaleskim i uznające go za Prezydenta Rzeczypospolitej, odsunęły się od niego i zespoliły siły z czynnikami dotychczasowej Rady Politycznej w „Zjednoczeniu Narodowym”, które ukonstytuowało się jako Tymczasowa Rada Jedności Narodowej, a następnie wybrało Radę Trzech i powołało Egzekutywę Zjednoczenia Narodowego jako organy zastępcze państwowości polskiej w okresie kryzysu. Jednomyślną uchwałą, powziętą w dniu 31 lipca 1954, Tymczasowa Rada Jedności Narodowej uznała, iż naruszenie ustawy konstytucyjnej i przyjętych zobowiązań oraz nieprzekazanie urzędu Prezydenta Rzeczypospolitej gen. Sosnkowskiemu w terminie przez siebie określonym, pozbawiły p. Augusta Zaleskiego podstaw prawnopolitycznych i moralnych do zajmowania urzędu Prezydenta.

Po drugiej stronie, oświadczenia p. Augusta Zaleskiego z dni 3 i 8 czerwca 1954 oraz komunikat rządu p. Stanisława Mackiewicza z dnia 18 czerwca tegoż roku wyjaśniły, jak p. August Zaleski wyobraża sobie funkcjonowanie naczelnych władz państwowych i na jakich podstawach pragnie oprzeć zjednoczenie polityczne na emigracji. Wypowiadał te były całkowicie sprzeczne z zobowiązaniem, jakie p. August Zaleski publicznie i solennie wziął na siebie w dniu 16 maja 1953. Okazało się mianowicie, że nienaruszalność konstytucji kwietniowej rozumie on teraz w ten sposób, iż wprowadzić Prezydent Rzeczypospolitej w myśl porozumienia paryskiego obowiązany jest do wysłuchania opinii Prezesa Rady Ministrów a następnie i stronnictw w sprawach zastrzeżonych

w art. 13 konstytucji jako jego osobiste uprawnienia, ale ostateczna decyzja należy do Prezydenta, który ją może powziąć wbrew opinii konsultowanych czynników. Dalej, w rozumieniu p. Zaleskiego, oświadczenia, zapowiedzi, przyrzeczenia i zobowiązania Prezydenta nie mają mocy prawnej, wobec czego mogą być każdej chwili odwołane. Dalej, w rozumieniu p. Zaleskiego, umowa pomiędzy stronnictwami a kandydatem na następcę Prezydenta co do warunków, jakie obowiązują nowego Prezydenta w wykonywaniu jego uprawnień konstytucyjnych, jest niepodległa (jako taką umowę potraktował p. Zaleski Akt Zjednoczenia, mimo że Akt Zjednoczenia o ile chodzi o sposób wykonywania uprawnień osobistych Prezydenta w niczym nie wybiega poza oświadczenie paryskie prezydenta Raczkiewicza). Wszystko to razem wzięte stanowi doktrynę i praktykę nieodpowiedzialności i samowładnych rządów jednostkowych Prezydenta Rzeczypospolitej. Doktryna ta i wynikająca z niej praktyka jest nie do przyjęcia.

Pozostaje kwestia kadencji na urzędzie Prezydenta. Odpowiedź na tę kwestię znajdujemy w oświadczeniu p. Antoniego Pajaka, złożonym w rozmowach z p. Adamem Łyczakiem z Nowego Jorku, a ogłoszonym w chicagowskim tygodniku „Ameryka-Echo” z dnia 20 stycznia 1963. W oświadczeniu tym czytamy:

„Rząd R.P. ... pragnie, aby wszyscy Polacy dążący do zgody uznali konstytucję z 1935 roku za jedyną podstawę dla dalszej działalności o przywrócenie Polsce Wolności i Niepodległości. Rząd R.P. nie może w żadnym wypadku odstąpić od ścisłego przestrzegania Ustawy Konstytucyjnej z 1935 roku a w szczególności art. 24, na podstawie którego istnieje ciągłość państwa polskiej państwowości”.

Art. 24 stanowi, że w razie wojny okres urzędowania Prezydenta Rzeczypospolitej przedłuża się do upływu 3 miesięcy od zawarcia pokoju. Powołując się na ten przepis rozumieć można tylko w ten sposób, że p. August Zaleski zamierza pozostać na urzędzie Prezydenta Rzeczypospolitej do upływu 3 miesięcy od zawarcia pokoju. To również jest nie do przyjęcia.

W ten sposób emigracja znalazła się w sytuacji, w której — w razie podjęcia jakichś nowych prób doświadczenia do pełnej jedności na emigracji — wszystkie kwestie, otwarte w r. 1947 objęciem urzędu Prezydenta Rzeczypospolitej przez p. Augusta Zaleskiego, a rozstrzygnięte w toku długotrwałej i żmudnej misji gen. Sosnkowskiego, musiałyby być na nowo rozpatrzone. Celowość takiej pracy jest wątpliwa. Można bowiem w ramach konstytucji kwietniowej i zobowiązania paryskiego uporzędować zagadnienia „ciągłości państwowości i reprezentacji narodowej” inaczej, niż to uczynił Akt Zjednoczenia, ale trudno byłoby uczynić to lepiej.

16 LAT

Historia sprawy jedności politycznej emigracji niepodległościowej poucza, w niepozostawiającej żadnej wątpliwości sposób, że odpowiedzialność za przeciąganie się rozłamu i rozbięcia obciąża p. Augusta Zaleskiego. Taka jest prawda historii i taka jest rzeczywistość dnia dzisiejszego.

Jedno tylko zagadnienie biegnące wydarzeń otwarł na nowo. Od czasu misji gen. Sosnkowskiego zaszły pewne zmiany w sytuacji. Zmarł śp. Tomasz Arciszewski, prawowicie mianowany w r. 1944 następcą Prezydenta; wycofał swą kandydaturę gen. Sosnkowski. Pierwszym zatem nakazem w razie podjęcia prób doświadczenia do porozumienia musiałyby być ustalenie osoby kandydata na urząd Prezydenta Rzeczypospolitej oraz określenie terminu, w którym elekt miałby objąć swe funkcje. Zagadnienia tego nie da się ani przemilczeć, ani przeskoczyć. Tymczasem zaś prosty rachunek wskazuje, że od dnia 9 czerwca 1947, kiedy to p. August Zaleski objął urząd Prezydenta, minęło już nie 4 i nie 7, lecz 16 lat. Poglębiła się tedy niewiara co do zamiaru zrezygnowania kiedykolwiek przez p. Augusta Zaleskiego z jego pozycji prawnokonstytucyjnej, zajętych przez niego w r. 1947. Oto więc trudność, przed którą w istniejących okolicznościach stanąć musiałby każdy — jednostka czy całość zbiorowa — kto wziąłby na siebie zadanie uporządkowania i rozwiązania zagadnień pełnej jedności. Rozwiązaniu tych trudności w żadnym razie nie przysłużą się prostackie wezwania pod adresem czynników Zjednoczenia Narodowego o zejście z drogi rzekomego „rokoszu”, wezwania, co pewien czas ponawiane przez sprawców i użytkowników dokonanego

(Dokończenie na str. 7)

TYDZIEŃ POLITYKI MIĘDZYNARODOWEJ

PO MOSKIEWSKIM FESTIWALU —

Zygzaki dyplomacji i... próby atomowe

O GŁOS NARODÓW UJARZMIONYCH

TRAWIENIE rezultatów moskiewskiego festiwalu „pokojowego“ odbywa się w sposób bardzo rozmaity i zygzakowaty. Największe powodzenia ma sam układ o zawieszeniu prób atomowych — oprócz podziemnych, o którym sami sygnatariusze zgodnie stwierdzili, że ma znaczenie tylko symboliczne i w charakterze zadatku przyszłych osiągnięć. Do jego podpisania śpieszą na wyścigi przede wszystkim takie państwa kuli ziemskiej, które nigdy nie mogły ani nie zamierzały i nie zamierzają, bo nie mogą, żadnych broni atomowych produkować. Są to więc jakby uroczyste śluby czystości, składane przez... impotentów.

Gorzej jest natomiast z mocarstwami, które możliwości takie posiadają, albo których interesy są zagrożone tymi ważnymi krokami dalszymi, zapowiedzianymi podczas rozmów w Moskwie. Odmowa Francji zresztą czy komunistycznych Chin była z góry wiadoma i nie stanowi niespodzianki. Te „dalsze kroki“, które — według Kremļa — mają polegać na pakcie nieagresji między Org. Traktatu Półn. Atlantyckiego — NATO a komunistycznymi reżimami Paktu Warszawskiego, napotykały też od razu na ciężkie opory.

Już pierwsze spotkanie amerykańsko-sowieckie, Rusk-Chruszczow w Gagarze, które miało posunąć naprzód wstępny pakt moskiewski, nie dało spodziewanych rezultatów. Okazało się, że Nikita nie zamierza wyzyskiwać gorliwie ani poważnie czasu, jakim przedstawił Stanów Zj. dla niego dysponował. Po przylocie z Moskwy popołudniu do krymskiej siedziby Chruszczowa, Rusk dowiedział się na lotnisku, że premier sowiecki nie zamierza go przyjąć tego wieczoru. Następnego zaś dnia gościnnie gospodarz zapędział zmęczonego i zakatarzonego gościa do sportów, niewiele zostawiając czasu na polityczne rozmowy.

Mimo wielkiego upału na Krymie, reprezentant prez. Kennedy'ego wyjechał stamtąd ostudzony. Amerykanie nie mają stanowczo szczęścia w swoich pielgrzymkach na Krym, czy kiedyś do Jaity, czy teraz do Gagry.

JEDNOŚĆ...

(Dokończenie ze str. 6)

w r. 1954 rokosz przeciw powszechnemu na emigracji pragnieniu jedności.

Nie widzę potrzeby rozpatrywania tutaj sprawy dwóch innych środowisk politycznych. Jeśli chodzi o środowisko p. Stanisława Mikołajczyka, to chce ono trwać w swym odosobnieniu. Na zjeździe wielkobrytyjskiego okręgu PSL w Manchester w dniu 17 listopada 1957 r. oświadczył p. Mikołajczyk, że stronnictwo jego nie reflektuje wcale na współpracę ze Zjednoczeniem Narodowym; nie wskazuje na to, by stanowisko to uległo zmianie. Jeśli chodzi o środowisko p. Rowmunda Piłsudskiego (Federacja Ruchów Demokratycznych), to neguje ono w ogóle potrzebę istnienia reprezentacji narodowej i państwowej, uznaje użytecznym jedynie ciało czysto emigracyjne; brak więc wspólnego języka.

Rada Jedności Narodowej na swym inauguracyjnym posiedzeniu w dniu 15 grudnia 1962 wezwała wszystkie polskie ugrupowania polityczne stojące na gruncie niepodległości, aby dążyły do jedności działania politycznego w wolnym świecie i zapewniła, że w tym duchu prowadzić będzie swoją działalność. Ta uchwała wiąże całe środowisko „zjednoczeniowe“ i niewątpliwie będzie myślała przewodnią jego działalnością. Nie wyrzekając się nigdy — mimo wszystkich trudności — myśli o pełnym zjednoczeniu całej emigracji politycznej i trzymając się zawsze zasady „primum non nocere“, przede wszystkim nie szkodzić — nie możemy jednak zawiesić na kolku działalności własnego środowiska, w tych ramach, w których zostało ono stworzone w r. 1954 i które dobrze zdały egzamin. W ciągu minionych ośmiu lat środowisko „zjednoczeniowe“ wykazało się dużą zwartością i rzadnością, umiejętnością organizowania życia zbiorowego i konkretnymi wynikami pracy. Lroga do przelatania rozbiła, do jedności polskiej, prowadzi przez zmniejszenie tego największego i najpoważniejszego ośrodka. Być może, że nie jest to droga wyłączna, ale na pewno — droga najważniejsza i najpewniejsza.

Adam Ciołkosz

Inicjatywa sowiecka zawarcia paktu nieagresji między państwami Przymierza Atlantyckiego a reżimami Paktu Warszawskiego musi interesować przede wszystkim narody ujarzmione, ponieważ — według zgodnej opinii — pakt taki zawierałby w sobie petryfikację dzisiejszego status quo w Europie, czyli niewoli jej części wschodniej. Całkowicie opanowane narody wschodnio-europejskie nie mają możliwości protestowania przeciw temu, chyba za pośrednictwem swoich emigracji politycznych, przebywających w świecie wolnym, o czym — jak dotąd — z niczyjej strony nie słyszymy.

Odrzucił z należytą argumentacją ten pomysł De Gaulle i dąży do zabezpieczenia się przed nim dyplomacja Niem. Republiki Federalnej, której chodzi tylko o wschodnie Niemcy, gdzie narzucony reżym komunistyczny byłby w ten sposób utrwalony. W tej sytuacji wydaje się szczególnie ważne i potrzebne, aby podniósł się wolny głos polski i innych narodów ujarzmionych, który w nowej koniunkturze przypominałby o ich dążeniu do wolności. Mimo partyjnego sporu między komunistami Moskwy a Pekinu, delegacja sowiecka w ONZ występuje dalej w roli rzecznika interesów Chińskiej Republiki Ludowej, jako kandydata do członkostwa nowojorskiej organizacji.

Ujawniło się to przed kilku dniami z okazji obrad podkomisji, powołanej do wysondowania opinii stałych członków Rady Bezpieczeństwa odnośnie do zmiany statutu ONZ w duchu szerszego uwzględnienia pozycji prawnej świeżo przyjętych, licznych krajów afrykańskich, które niedawno uzyskały niepodległość. Chodzi w szczególności o ilość miejsc w Radzie Bezpieczeństwa, która składa się z jedenastu członków, z czego pięciu stałych i sześciu niestałych, obieralnych.

Według dotychczasowego rozdziału tych mandatów niestałych, Afryka ma zastrzeżone tylko jedno na równi z krajami Wspólnoty Brytyjskiej, Europy Zachodniej i Azji; Ameryka Łacińska posiada dwa miejsca. Wobec tego, że krajów Afrykańskich jest obecnie w ONZ aż trzydzieści dwa, co stanowi około jednej trzeciej ogółu, postulat powiększenia ich reprezentacji w Radzie Bezpieczeństwa jest zupełnie zrozumiały, cokolwiek można było sądzić o szybkim tempie przyznawania tym krajom suwerenności i członkostwa ONZ.

Postulat ten wysunęła majowa konferencja państw Afryki, odbyta w Addis Abebie, na której powołano też jak wiadomo, między państwami Organizację Jedności Afrykańskiej. Konferencja ministrów spraw zagranicznych Org. Jedności Afr. odbyła się ostatnio w senegalskim Dakarze, gdzie powzięto też szereg uchwał, posuwających dalej tworzenie związkowej formacji „czarnego ludu“.

Jakimkolwiek zmianom statutu ONZ i składu Rady Bezpieczeństwa sprzeciwiała się delegacja Rosji sowieckiej, uzasadniając to niemożliwością wprowadzenia ich, zanim do ONZ nie zostanie przyjęta Chińska Republika Ludowa, czyli czerwony reżim pekiński. Stanowisko to rozczarowało opinie anglo-amerykańskie, która zerwanie między Moskwą a Pekinem chciałaby uważać za całkowite i obejmujące również płaszczyznę stosunków państwowych.

Z.S.

CHRUSZCZOW WYBIERA SIĘ DO TITY I NASSERA

Po kilkudniowych rokowaniach w Moskwie, uzupełnionych przyjęciem amerykańskiego Sekretarza Stanu na Krymie, Chruszczow wybiera się z kolei do swoich „neutralistycznych“ aliantów. Na 20 bm. zapowiedziany jest jego przyjazd do Tity, pod pozorem wakacyjnego odpoczynku, a w październiku ma się udać z wizytą do Nassera. Przybrawszy rolę, jakby arbitra między Zachodem a Chinami, sowiecki „numer pierwszy“ w tajemniczy sposób osobiście swoich gospodarzy z wyspy Brioni i z Kairu w istotne zamiary swojej obecnej taktyki i postara się umocnić sowieckie wpływy na kierunku południowym.

Podczas pobytu u Tity, mającego potrwać aż do dwu tygodni, pobytu który będzie wywoływał nowe ataki prasy pekińskiej, Chruszczow — oprócz wewnętrznych problemami komunistycznych sporów ideologicznych — ma podobno omawiać z Tity sprawy gospodarcze. Sowiety udzielają od dawna ekonomicznej pomocy reżimowi jugosłowiańskiemu i ostatni układ, jej dotyczący został podpisany tego roku, 20 lipca. Amerykańscy korespondenci donoszą z Moskwy, że nie jest wykluczona możliwość przystąpienia Tity do Rady Wzajemnej Pomocy Gospodarczej, Zwanej Komekonem, co oznaczałoby dalszy krok komunistów jugosłowiańskich w drodze powrotnej na sowieckie łono. Rzecz jasna, obaj komunistyczni przywódcy zajmą się również rywalizacją z Zachodem we wschod-

niej części morza Śródziemnego, czyli obszarem, ściśle związanym z Bliskim Wschodem i światem arabskim, co będzie następnie omawiane w Kairze z Nasserem.

Do rozmów Chruszczow-Nasser przygotowuje się atmosfera wznowionej serdeczności. Pogłębiający się konflikt Egiptu z Irakiem i Syrią, odsuwających się coraz bardziej pod wspólnym kierownictwem partii Baath od monopartyjnego, prosowieckiego socjalizmu Nassera, zbliża tego ostatniego coraz bardziej do linii moskiewskiej. Podczas gdy Moskwa — równocześnie z Kairem — atakuje coraz gwałtowniej rządy Bagdadu i Damaszku, współpraca sowiecko-egipska wobec sprawy Kurdów, czy też na terenie Jemenu rozwija się i zacieśnia. Współpraca ta oznacza zarazem zaostrzenie rywalizacji z tymi mocarstwami Ameryki i W. Brytanii, z którymi rzekomo ostatnio rozpoczęto w Moskwie erę przyjaźni.

ROSJA W ONZ POPIERA PEKIN PRZECIW PAŃSTWOM AFRYKI

Mimo partyjnego sporu między komunistami Moskwy a Pekinu, delegacja sowiecka w ONZ występuje dalej w roli rzecznika interesów Chińskiej Republiki Ludowej, jako kandydata do członkostwa nowojorskiej organizacji.

Według dotychczasowego rozdziału tych mandatów niestałych, Afryka ma zastrzeżone tylko jedno na równi z krajami Wspólnoty Brytyjskiej, Europy Zachodniej i Azji; Ameryka Łacińska posiada dwa miejsca. Wobec tego, że krajów Afrykańskich jest obecnie w ONZ aż trzydzieści dwa, co stanowi około jednej trzeciej ogółu, postulat powiększenia ich reprezentacji w Radzie Bezpieczeństwa jest zupełnie zrozumiały, cokolwiek można było sądzić o szybkim tempie przyznawania tym krajom suwerenności i członkostwa ONZ.

Postulat ten wysunęła majowa konferencja państw Afryki, odbyta w Addis Abebie, na której powołano też jak wiadomo, między państwami Organizację Jedności Afrykańskiej. Konferencja ministrów spraw zagranicznych Org. Jedności Afr. odbyła się ostatnio w senegalskim Dakarze, gdzie powzięto też szereg uchwał, posuwających dalej tworzenie związkowej formacji „czarnego ludu“.

Jakimkolwiek zmianom statutu ONZ i składu Rady Bezpieczeństwa sprzeciwiała się delegacja Rosji sowieckiej, uzasadniając to niemożliwością wprowadzenia ich, zanim do ONZ nie zostanie przyjęta Chińska Republika Ludowa, czyli czerwony reżim pekiński. Stanowisko to rozczarowało opinie anglo-amerykańskie, która zerwanie między Moskwą a Pekinem chciałaby uważać za całkowite i obejmujące również płaszczyznę stosunków państwowych.

Z.S.

BUDOWNICTWO MIESZKANIOWE W KIELECKIM

Nie w każdym mieście następuje szybki rozwój mieszkaniowego budownictwa spółdzielczego („Trybuna Ludu“). „Są miasta jak np. Starachowice, w których mimo że są duże potrzeby i wielu chętnych do zakupienia mieszkań spółdzielczych — spółdzielnie budują mało. Główną przyczyną jest brak odpowiednich terenów pod budowę. Niektóre rady narodowe przydzielają spółdzielniom mieszkaniowym małe działki w różnych punktach miasta zamiast wydzielić duże kompleksy terenów. Taka polityka podraża koszty budowy“.

(FEC)

KRONIKA TYGODNIA

7 sierpnia

Rada Bezpieczeństwa odrzuciła żądanie państw afrykańskich o zbrojkotowanie gospodarcze Unii Południowo-Afrykańskiej. Natomiast przyjęto wniosek zakazujący sprzedawania broni i wszelkiego rodzaju sprzętu wojakowego Unii Pld.-Afrykańskiej.

8 sierpnia

W Anglii dokonali bandyci niezwykle śmiałej napaści na nocny pociąg pocztowy, rabując ok. miliona funtów w gotówce. Napadu dokonano na trasie Glasgow—Londyn w pobliżu stacji Cheddington, Bukcs. Wyznaczono 35.000 nagrody za wskazanie sprawców napadu.

Z Wiednia nadeszły wiadomości o pogorszeniu się stanu zdrowia kardynała i Prymasa Węgier, Mindszenty'ego, przebywającego od 1956 dobrowolnie w gmachu amerykańskiego przedstawicielstwa dyplomatycznego w Budapeszcie.

Rudolf Stransky, b. sekretarz generalny czechosłowackiej partii komunistycznej, skazany na śmierć w 1952 za rzekomą zdradę, został rehabilitowany obecnie przez Sąd Najwyższy w Pradze.

9 sierpnia

Jak się okazuje w śmiałym napadzie rabunkowym na nocny pociąg pocztowy w Anglii bandyci zrabowali ponad 2 i pół miliona funtów. Wysokość nagrody pieniężnej za wskazanie sprawców podniesiono do 260.000 funtów. Policja nie wpadła dotąd na żaden ślad.

Premier Macmillan i min. spraw zagranicznych Home przybyli z kolei z oficjalną wizytą z Helsinek do Sztokholmu.

Żona prez. Kennedy'ego wydała na świat — o 5 tygodni za wcześnie — chłopca, który miał od urodzenia duże trudności z oddychaniem. Po 2 dniach dziecko zmarło.

10 sierpnia

Stany Zjednoczone zagroziły wycofaniem pewnej liczby wojsk z Niemiec zachodnich w wypadku gdyby państwa Wspólnego Rynku Gospodarczego podniosły cła na żywność amerykańską.

11 sierpnia

Po śmierci ordynariusza diecezji częstochowskiej, ks. biskupa Zdzisława Golińskiego, wikariuszem kapitulnym został ks. biskup Stanisław Czajka, sufragan diecezji.

Maszynista angielskiego pociągu pocztowego, z którego niewykrzyki dotychczas bandyci zrabowali ponad dwa i pół miliona funtów, powrócił ze szpitala do domu (bandyci pobili go ciężko) i opowiedział, że — zdaniem jego — wśród napastników musieli być kolejarze, sam zaś napad miał charakter doskonale

zorganizowanej „operacji wojakowej“. Napad trwał zaledwie 10 minut.

W Brytanii zażądała wysłania specjalnej misji ONZ dla ustalenia, czy ludność Sarawaku i północnego Borneo pragnie przyłączenia do Malajów i Singapuru dla utworzenia wspólnego państwa p.n. Malajzja.

12 sierpnia

Komunistyczne państwa wschodnio-europejskie zaprzęstały zagłuszać audycje BBC i „Głosu Ameryki“, kierując obecnie całą akcją zagłuszania przeciwko audycjom z Albanii i z Chin.

Już 43 państwa podpisały układ moskiewski o zawieszeniu doświadczeń nuklearnych.

W Watykanie ogłoszono list odręczny papieża Jana XXIII ustanawiający „Międzynarodową Fundację nagrody pokojowej papieża Jana XXIII“. Nagroda udzielana będzie co 3 lata.

Premier Salazar oświadczył, iż Portugalia będzie broniła swoich posiadłości w Afryce wszystkimi dostępnymi środkami w wypadku, gdyby inne państwa afrykańskie wypowiedziały wojnę Portugalii.

13 sierpnia

Amerykanie dokonali na pustyni Nevada podziemnego wybuchu bomby atomowej o „małej mocy“, bo „zaledwie“ 20.000 ton trotylu.

W stolicy dawniejszego Konga, Brazzaville, doszło do rozruchów. Demonstranci podpalili więzienia i wypuścili więźniów. Policja otworzyła ogień. Są zabici i ranni.

W Berlinie zachodnim obchodzono w nastroju poważnym i bez demonstracji publicznych drugą rocznicę zbudowania muru berlińskiego.

Na podstawie donosu telefonicznego policja angielska wykryła kryjówkę — opuszczoną farmę — w której ukrywali się przez kilka dni bandyci, po głośnym napadzie na pociąg pocztowy. Bandyci zdolali znowu zbiec, pozostawiając na miejscu puste worki pocztowe, w których znajdowało się £.2 i pół miliona funtów.

NOWY INSTYTUT EKONOMICZNY

Z początkiem sierpnia zakończone zostały prace przygotowawcze związane z powstaniem w Warszawie nowej placówki naukowej — Instytutu Ekonomiki Transportu. Będzie się on zajmował ekonomicznymi problemami pracy kolei, transportu samochodowego, lotniczego, żeglugi śródlądowej oraz koordynował działalność poszczególnych dziedzin tego transportu“.

(FEC)

WALKA KOMUNISTÓW Z „DROBNOMIESZCZAŃSTWEM“

Zdawałoby się, że po 19 latach rządów komunistycznych w Polsce, gdy wszelkie odruchy opozycji od dawna bezlistnie zostały unicestwione, gdy „dyktatura proletariatu“ przybrała postać niepodzielnej władzy, pełnionej przez biurokratów wyznaczonych przez jedyną mającą coś do powiedzenia partię t.j. PZPR, — zdawałoby się, że nie istnieje już problem jakiej burżuazji, klasy wyzyskiwaczy czy też „wrogów ludu pracującego“.

Okazuje się jednak, że „wrog nie śpi“. Jak się dowiadujemy z artykułu Jacka Maziarskiego w katowickim „Dzienniku Zachodnim“ „drobnomieszczańin jest czarnym charakterem naszych czasów“... drobnomieszczaństwo przypomina trochę sycylijską mafię: nie ma jej w statystykach. Za to skutki jej działania widać na każdym kroku... niejeden mógł na własnej skórze przekonać się o zwartości i swoistej krępie tego środowiska. Narażenie się opinii drobnomieszczańin wywołuje z reguły solidarną akcję obliczoną na znieszczenie przeciwnika“.

Maziarski, nie kusząc się o naukową syntezę, ustala taki zespół cech, wyróżniających współczesnego drobnomieszczańin: jest nim „ten kto wyznaje specyficzny stereotyp celów życiowych, określany przesterem stanu posiadania, Gromadzenia grosza na domek z ogródkiem... na fermę, na samochód... kardynalną cechą jest egoizm, absolutny brak zrozumienia dla interesu społecznego... drobnomieszczańin żyje w stałym konflikcie z otoczeniem... budowanie kryteriów wartościowania ludzi na podstawie ich zarobków i standartu życiowego...

drobnomieszczańin jest z zasady konserwatystą, boi się wszelkich zmian i innowacji... cechuje go „instynkt stadny“, uległość i dyscyplina wobec opinii swego środowiska... jest agresywny i nietolerancyjny... dobre jest to co służy jemu i jego otoczeniu... należy robić rzeczy zle ale po cichu“.

Na podstawie takiej diagnozy Maziarski dochodzi do niezbitego wniosku: „chyba zgodzimy się wszyscy, że kontrofensywa przeciwko drobnomieszczańinowi wielce się przyda“.

Maziarski powołuje się na „studia socjologiczne“ i ogłoszoną w nich pracę Jana Malanowskiego p.t. „Przemiany w pozycji społecznej drobnomieszczańinstwa w nieuprzedmiotowionych miasteczkach polskich w latach 1938 — 1960“. Malanowski „przyjął jako kryterium wyróżniające — samodzielność ekonomiczną t.j. posiadanie warsztatu rzemieślniczego lub sklepu. W ten sposób doszedł do liczby 131 tysięcy właścicieli w 1959 r., co oznacza oczywiście poważny spadek w porównaniu z 842 tysiącami posiadaczy w 1938 r.“.

Ale Maziarski kwestionuje obliczenia Malanowskiego. Uważa, że „błędne wydaje się przyjęcie za podstawowe kryterium sposobu zdobywania pieniędzy. Już raczej więcej mówi analiza sposobów wydatkowania pieniędzy“. Maziarski podszkubuje przeciw „pewnej dość dużej kategorii społecznej, gdzie łatwo dopatrzeć się drobnomieszczańin postaw. Jest to grupa chłopo-robotników, której liczebność ocenia się na około milion ludzi. Pracę w mieście uważają za otoczenie... budowanie kryteriów wartościowania ludzi na podstawie ich zarobków i standartu życiowego...

CLAUDINE

MODA

1964



MODEL „GO HOME“ — JACQUES ESTEREL I MARIE CHRISTIANE. Kaptur ze spięciem z klejnotów. Brosza z rubinów wyrobionych w kształt liści. Łodyga i wieniec z szafirów, turkusów, szmaragdów i brylantów. Biżuteria kreacji FRANCOIS AUCHERE. (Copyright Jacques Esterel).

(Korespondencja własna z Paryża)

TAKIEGO zamieszania w pierwszych dniach wielkich rewii mody jesiennej i zimowej już dawno nie było. Kilka domów, wśród nich poważny stateczny Jacques Heim, honorowy prezes syndykatu „Haute Couture“, nagle wydłużyło spódnice! I to jak! Ponad 6 cm. W światku kobiecym zapanowała panika. Oczywiście nie wśród milionerek, które każdego sezonu odnawiają swą garderobę od A do Z, ale w tym skromniejszym, gdzie to, co się ma, trzeba przystosować do nowej mody. Skrócić spódnice łatwo — ale wydłużyć? To też z napięciem wyczekiwano pokazu kolekcji Diora — wydłuży, czy nie wy-

dłuży? Tylko on może zadecydować, która z dwóch tendencji weźmie górę.

Rewie rozpoczęły się w poniedziałek 22 lipca, Dior pokazał swą kolekcję dopiero w czwartek. Tłok był straszny, temperatura tropikalna — jak w ogóle w tym tygodniu mody w Paryżu, gdzie opatulone w zimowe toalety modelki mdlały. Redaktorki i korespondentki kobiecych pism zaostrzonymi ołówkami oczekiwały pierwszych modeli. Pokazały się — uuuf! Nie wydłuży! Ani o centymetr. Gdy później z Janem Claude i z Weroniką Bell poszliśmy do Marca Bohana, twórcy kolekcji Diora i zapytaliśmy go, dlaczego nie wydłużył — najspokojniej nam odpowiedział, że kobiety nie chcą nosić dłuższych spódnic i to wszystko. On chyba najlepiej wie, czego chcą eleganci, bo Dior to światowe imperium mody, Paryż, Londyn, Nowy Jork, Ameryka Południowa... Wszędzie ma swoje filie i tam specjaliści pilnie notują, jakie modele mają powodzenie, jaka tendencja panuje wśród kobiet. Bo to jednak one ostatecznie dyktują modę, a nie paryscy kreatorzy, czy amerykańskie redaktorki, których artykuły ukazują się w setce pism.

Niektórzy są zdania, że taka Eugenia Sheppard, największa z nich, jednym artykułem może położyć najstarszej przygotowaną kolekcję paryską. Bzdury — tak mogą mówić ci, którzy nie śledzą osobiście rewii paryskich. O powodzeniu decydują w dużej mierze „acheteurs“ „buyers“, wysłannicy wielkich firm konfekcyjnych, kupujący tu w Paryżu modele, które później w Ameryce czy w Niemczech są reprodukowane w tysiącach egzemplarzy i wychodzą na ulice. Otóż często zanim ukaże się pierwszy artykuł z rewii takiego czy innego domu mody, ci „acheteurs“ już zarezerwowali swe modele i z pewnością przed czasem nie powiedzą jakiego. To ich tajemnica. Poza tym wystarczy z nimi porozmawiać, by usłyszeć ich zdanie o opinii prasy. Oni przyjechali robić „business“ i oni też wiedzą, lepiej od redaktorek, czego chcą klientki.

Toteż rok w rok powtarza się ta sama komedia. Redaktorki zachłystują się z zachwytu nad jakimś młodym kreatorem i nowo otwartym domem, a ten w ogóle znika w następnym sezonie, bo nikt nie w niego nie kupił. I odwrotnie, ich cięte i złośliwe pióra

„kładają“ inną kolekcję, a dom robi na niej majątek.

Embargo na prasę

Zrozumiały to od dawna dwa wielkie domy — Balenciaga i Givenchy. Te w ogóle nie wpuszczają prasy w pierwszych tygodniach rewii, bo zbyt często trafiają jak kulą w plot. Wypisuje, że kolekcja nie warta, opinia ta rozchodzi się do setek pism, a później okazuje się, że „acheteurs“ bil się niemal o modele. Zresztą to nie tylko te dwa domy mają negatywną opinię o prasie, bo na jednym z zebrań syndykatów domów mody zupełnie świeżo dyskutowano wniosek, by w ogóle zlikwidować pierwszy tydzień nowych rewii dla prasy. Na szczęście ten wniosek jeszcze nie przeszedł, ale jeżeli wiele redaktorek nie zmieni stylu swych korespondencji, to kto wie, czy jednego dnia nie przejdzie. Każda nowa kolekcja kosztuje miliony, to jest wielki luksusowy przemysł i jeżeli domy mody zapraszają prasę, to liczą, że ta odniesie się z pewną sympatią do ich kreacji, że im pomoże. Jeżeli natomiast tylko szkodzi — to jaki interes mają w tym, by była obecna? Nie mają żadnego.

ALE po tej dłuższej dygresji wróćmy do nowej mody. Ostatecznie spódnice nie wydłużyły się i w Paryżu szybko wykryto, dlaczego Jacques Heim starał się je wydłużyć. Podobno jedna z pierwszych dam Francji (lepiej bądźmy dyskretnej i nie wymieniamy nazwiska...), jego klientka, ma brzydkie nogi. Niestety (dla niej) to nie wyszło, a nie wyszło tym bardziej, że inny wielki kreator, Pierre Cardin, nawet skrócił spódnice i w wielu modelach pokazał kolana, jak zresztą i młody Yves Saint-Laurent, przedmiot niewyżytych macierzyńskich uczuć wielu podstarzałych redaktorek.

Moda zmarzłuszek

Nauka nie poszła w las i nawet domy mody wyciągnęły wnioski z ostatniej surowej zimy. Przewidują, że następna będzie taka sama i nowa sylwetka jest opatulona i spowita w ciepłe puszyste materiały. Wielkie wysokie kołnierze, od komina do imitującego je szerokiego, wełnianego lub futrzanego szala, z za którego często widać tylko oczy. Obszerne płaszcze, burki, peleryny, ciepłe kurtki i nawet żakiety kostiumów, gdzie podszewkę zastąpił tweed, pokazują się tej zimy na ulicach. W ogóle tweed (a obok niego mohair) króluje w tym sezonie i to prawdziwy szkocki tweed, misternie tkany w najbardziej atrakcyjne desenie. Nie wiadomo jeszcze jak generalnie de Gaulle ustosunkuje się do tej „anglosaskiej“ inwazji do najbardziej intymnej i uroczej dziedzi-

BIŻUTERIA FANTAZYJNA „EGYPTE“ — sżywna bransoletka z cienkiej spirali, grafirowana z osadzonymi rubinami i szmaragdami. Kolonia luźna, pozłacana, ażurowa z frezami z tego samego materiału. Całość wykonana ręcznie. Copyright Lola Prusac.

ny Wspólnego Rynku — niestety nikt mu na ten temat nie postawił pytania w czasie ostatniej konferencji prasowej.

Drugi charakterystyczny szczegół to bogactwo futer. To już nie są ozdobne futerka, jakie widzieliśmy w poprzednich kilku sezonach, ale prawdziwe futra, które mają grzać. Obok klasycznych futer, wiele „pelis“ („pelisse“ to płaszcz podbity futrem), nawet przy płaszczach deszczowych. Dior pokazał śliczny model błękitnego, połyskującego płaszcza nieprzemakalnego, podbitego bobrami. Czapki futrzane są oczywiście modne w dalszym ciągu, o kołnierzach już wspomniałam, niektóre płaszcze i kurtki mają bardzo obszerne rękawy, obszyte futrem, w których można ukryć ręce jak w mufce. Pokazano nawet żakiety kostiumów podbite futrami. Ale niech panowie nie ulegają panice, bo jednak większość modeli, we wszystkich domach, nie ma żadnych futer, czyli na upartego można się bez nich obejść. Natomiast tweed jest obowiązkowy.

Szerokie ramiona

Dior pokazał kostiumy dość klasyczne, tzn. złożone normalnie z trzech sztuk: bluzeczka, spódnica i żakiet, z tym, że bluzkę często zastępuje pullover z rulowanym pod brodę kołnierzem, często lekko udrapowanym. Ogólnie żakiet jest u niego dłuższy niż w ostatnim sezonie, ale nowością są ramiona — szerokie i prostokątne. Czytelniczki sobie przypominają, że jego sylwetka na wiosnę miała ramiona wąskie i szczuple, teraz trzeba je wywataować. Ta tendencja szerokich ramion jest ogólna, z tym że w innych nie są one tak prostokątne, lecz zaokrąglone. Jego żakiety są zapięte pod kołnierz, najczęściej z kieszonkami, co daje sylwetkę sportową, a nawet ktoś powiedział, że wojskową (ze względu na te prostokątne ramiona), często z luźnym paskiem. Talia jest trochę wyżej lub trochę poniżej naturalnej linii — bez przesady. To jest ogólna tendencja, choć w niesłychanie szykownej i bogatej kolekcji Balmaina jest ona najczęściej na swoim miejscu. Natomiast Pierre Cardin, wciąż zakochany po uszy w aktorce Jeanne Moreau i chyba z tego powodu ogarnięty jeszcze większym szałem twórczości, niż dawniej, pokazał 200 modeli, z których każdy jest inny, każdy oryginalny. W jednej toalecie jego talia zeszła do połowy uda! Mimo to jego kolekcja jest śliczna, bo to prawdziwy artysta, chyba najbardziej odważny, pomysłowy i niekomformistyczny. Niektórym redaktorkom oczy z głowy wyskakiwały i podejrzewam nawet, czy nie były to przypadkiem utajone szpiegowki, nasłane przez jakiegoś Iwanowa od mody. Wszystkie jego toalety luźnie, w naturalny sposób opadają wzdłuż linii ciała, są jak zwykle powiewne i lekkie i jak zawsze jest on mistrzem w modelowaniu muślinu, co nie jest takie proste. To tak, jak by ktoś chciał rzeźbić w mgiele.

Spódnice Diora są proste, opadają naturalnie, czasami mają cztery płaskie fałdy lub plisy. To ogólna tendencja, tylko jeden dom pokazał rodzaj krynoliny. Długość jak poprzednio, tzn. kolana są zakryte. Tutaj nasza rodaczka, pani Lola Prusac, posiadająca swój własny i bardzo oryginalny dom „haute couture“, powiedziała mi wyraźnie, co myśli o próbach skrócenia i odsłonięcia kolana. „To co kobieta ma najbrzydszego — to kolana. Powinna sobie z tego zdać sprawę i nie pokazywać ich. Tylko jedna na tysiąc ma kolana ładne“. Niestety cały sęk w tym, że każda jest przekonana, iż jest właśnie tą jedną z tysiąca. Kobieta z poczuciem samokrytyki i z prawdziwym gustem jest rzadkim okazem.

Bluzu

W sukienkach linie. Jedna prostą, czasami nika, a druga z... W jednych modelach jest tylko trochę zwiastująca w plece w dół i czasami połowy bioder. O suknie są przez które są zbudowane ten sposób zakłócają, gdzie nawiąże nie pomoże. Znowo gdzie talia nie jest no jej siłą opina

Ale Dior pokazał kilku sezonów głębokie dekolty Dior odkrył przez Wspomniana Eugenia zdumieniem po „sexy“ modeli j... i w czasie tej k... panom oczy z gł... te oczywiście n... wchodzi w dziedzi... M.I.5. Choć po c... w Londynie niez... kluczy! Manewr... „dessous“ pewnej... szukania nowej J... świata jeszcze ch... wątpliwe kreato... na przyszłość odp

Wróćmy do d... modelki mają d... mimo to było na... suknie (oczywiśc... bierze Gina czy... ministrowie, ale... mi premierzy ni... nie chcą iść dalej... kłopoty z moim p... Piersi te zmien... Dior podniósł je... mina nieco portre... rza — one dwie okr... stożki, podobne do... dorowych, jak to... becznie. Ta nowa... śliczna i mimo o... wątpliwie zdobył... Weronika P... m... ma w niej nie... kobieta i ponętna.

Wie

We wszystkich tendencjach długiej. Długość różna, po... żej, do ziemi, no i... mal z trenem. B... olbrzymie. Gdy sy... biety jest młoda, czorem zmienia s... bieta staje się kol... U Diora krój suk... dość prosty, dlate... tak ważny stał si... krój jest bardzi... Wszędzie przepyc... naszyć, delikatnej... srebrzyste i złote... relki, barwne i mi... tęczy kamyki. Nie... cały obcisły dość... kimi kamykami, ta... teriału. Gdy w d... alety mają długie... oczywiście ramio... bardzo często suk... pelerynkę. Dior r... olbrzymią peleryn... ciągnącą się po... królewski. Kobiety... miały, a mężczyźni... mogłam się dowi... — z pewnością n... Kapelusze, jak... male. Zwykle nato... wę. U Diora prze... ki z malutkim d... berety, lub udrap... Spodni widzi się... do niedawna do p...



Bluzująca góra
nkach Dior pokazał dwie
prosta, lekko obejmująca
mi nawet przepasana tu-
ga z luźną bluzującą górą.
modelach ta bluzująca gó-
trochę luźna nad talię,
plecach, w innych opada
asami dochodzi niemal do
ler. Oczywiście te ostatnie
przeznaczone dla klientek,
budowane jak słupki i w
zakrywają nieistniejącą
nawet ciasny gorset nic
Znowu przykład, że tam
nie jest szczupła, nie wol-
opinać, bo to herezja.

pokazał co innego. W os-
u sezonach była moda na
kolty w plecach. Obecnie
przód i to jak odkrył!
Eugenia Sheppard ze
powiedziała, że tak
leli jeszcze nie widziała
tej kolekcji dla odmiany
z głowy wyskakiwały, ale
nie w celach, które
dziedzinę zainteresowania
po ostatnich wypadkach
niczego nie można wy-
twierzy ministra wojny w
ewnej „modelki” popchnę-
emierni. do rozpaczliwego
wej Jaity. Tego w historii
ze chyba nie było i nie-
reartorzy mody wyciągną
ć odpowiednie wnioski.

do dekoltu Diora. Jego
ją drobnitkie piersi i
o na co patrzeć. Jeżeli te
ywiście wieczorowe), u-
czy Sophia, to nie tylko
ale przypuszczalnie sa-
nie wytrzymała. Już
dalej, bo mogłabym mieć
im pobytem we Francji...
zmieniły jednak formę.
się jest wysoko, co przypo-
portrety „empire” i two-
e okrągłe półkule, a nie
nie do głowic rakiet wok-
k to się często widzi o-
nowa linia biustu jest
no odwagi, na jaką nie-
obyl się Marc Bohan (co
mu powiedziała) nie
nie wyzywającego. Jest
nętna.

Wieczór

tych kolekcjach panuje
agiej, wieczorowej sukni.
na, powyżej kostki, poni-
no i wielkie suknie niem-
Bogactwo materiałów
dy sylwetka dzienna kol-
łoda, sportowa, to wie-
nia się wszystko — ko-
ię kobietą w całej krasie.
j sukni wieczorowej jest
dlatego (wyjaśnił nam),
tal się dekolt, u innych
bardziej skomplikowany,
zepych kolorów, haftów,
atnej koronki Chantilly,
złote lamy, cekiny, pe-
i mieniące się kolorami
i. Niektóre modele mają
dość stanik wyszyty ta-
mi, tak że nie widać ma-
w dzień wszystkie to-
łgie rękawy, wieczorem
amiona są nagie. Ale
suknia ma bolerko lub
ior na wieczór pokazał
lerynę futrzaną z norek,
po ziemi, jak płaszcz
obiety z zachwytu onie-
czyżni z przerażenia. Nie
dowiedzieć ile kosztuje
cia miliony.

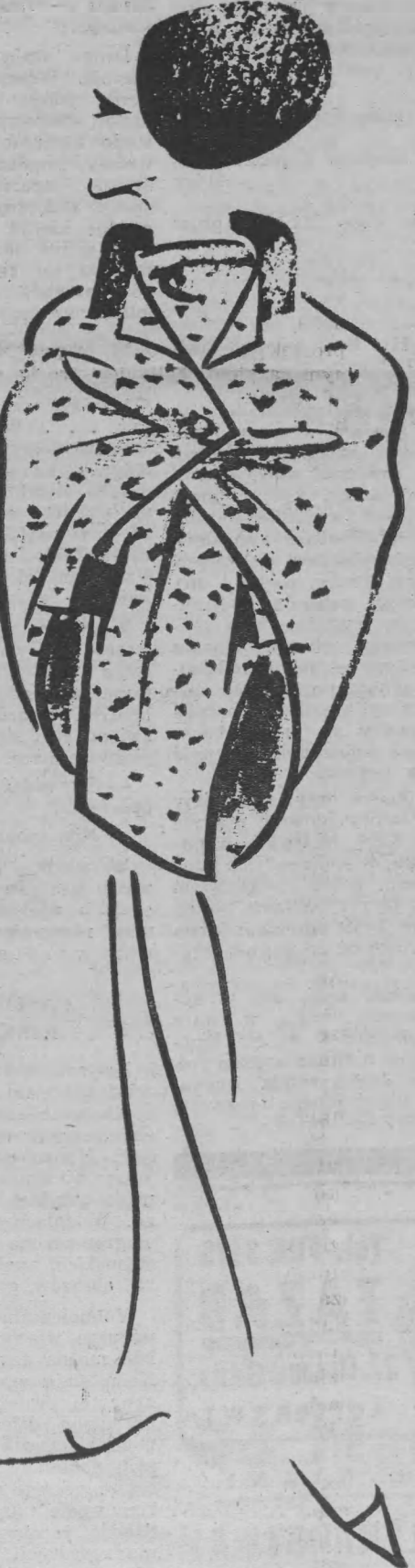
jak zawsze na zimę, są
nałożone prosto na głó-
przeważa model dżokej-
im daszkiem, u innych
drapowane turbany.

zi się mniej. Tak modne
do przyjęć intymnych w

domu, zostały zastąpione wygodną,
cieplą, obszerną toaletą „przy ko-
minku”.

ULOLI Prusac podziwiałam jej
cudowne, ręcznie tkane mate-
riały, hafty i wyszycia. To jedyny
w Paryżu dom, który jeszcze to ma,
bo maszyna zastępuje wszystko, arty-
styczna ręczna praca zanika. Obok
tego ma ona najpiękniejszą w Paryżu
fantazyjną biżuterię, gdzie panuje w
tym sezonie stare złoto, jak by wy-
kopane z ziemi i trochę wyżarte. Lola
Prusac szukała w tym sezonie na-
tchnienia, tak w toaletach jak i w
tej biżuterii w średniowieczu i w
motywach egipskich. Jedne suknie w
kształcie kolumn, dla smukłych i
szczupłych klientek, inne o linii trój-
kąta, gdzie od szerokich ramion
wszystko się zwięża ku dołowi. Nawet
rękawy, gdy się położy płasko, mają
formę trójkątą: obszerne i często
wszycie aż do talii u góry i zwiężające
się w kierunku przegubu dłoni.

Tym czytelniczkom, które znajdują
się w Paryżu w okresie pokazów mo-
dy, radzę zejść do Loli Prusac na rue
du Faubourg Saint-Honoré. Z pew-
nością serdecznie je przyjmie i po-
każe swoje cuda. a ma ich mnóstwo.



LINIA „OTULONA” Model i Copy-
right Jacques Esterel.

SUPPLEMENT, APRIL 18, 1863

THE ILLUSTRATED LONDON NEWS

COLONEL ROCHEBRUNE,
THE COMMANDER OF THE POLISH ZOUAVES.
WHEN Langiewicz broke up his camp and crossed
the Austrian frontier his chief officers accompanied
him. But it was not their intention, nor that of
their late Dictator, to abandon the struggle. Con-
tent with laying hands on Langiewicz, the Austrian
authorities appear to have shut their eyes to the
presence of his subordinate officers, who at once
betook themselves to where their presence seemed
of most use to the cause they represented. Some
recrossed the frontier at once and continued the
struggle in more favourable positions; while
Rochebrune, the gallant Colonel of the Polish
Zouaves attached to the little army of Langiewicz,
took advantage of the transient lull to hurry to
Paris, hoping, perhaps, that his representation
might be heard in high quarters, certain that
among his old comrades he would find many who
would accept his invitation to take the field with
him against the Russians. Nor have his expecta-
tions been disappointed. The latest news from
Cracow represents him as being expected there
daily, bringing with him from France a good supply
of rifles and a number of non-commissioned officers
of his old regiment of Zouaves, who, having
obtained leave of absence for the purpose, are bent
on crossing bayonets with the Russians.

The career of Rochebrune has been, according to
a contemporary, a curious one. Having taken part
in the Italian campaign and in the expedition to
China, he left the French army and accepted an
engagement as governor in a Polish family at
Cracow. He was here when the insurrection broke
out. It was a temptation which the French soldier's
nature was ill adapted to withstand. The youth of
Cracow were arming openly. Every night bands
left to join the insurgents. It was by no means an
uncommon thing for a Cracow gentleman, student,
or tradesman to take up his rifle, cross the frontier
for a fight, and return the same evening to supper.
Nay, the story is told that guests at the Cracow
inns might be heard instructing the chambermaids
to be sure and rouse them in good time in the morn-
ing, as a fight might be expected to come off early.
Anyhow, at the first sound of firing across the
Galician frontier, Rochebrune, with sterner work
before him, threw away his books, and, obtaining
the help of a few foreigners like himself, organised a
band of young men and soon made the Polish Zouaves
known and feared wherever fortune gave them the
opportunity of coming within reach of the enemy.

His command seems to have become the most
popular in Langiewicz's army. It was not, cer-
tainly, because he spared himself or his men. His first
regiment is said to have been battered to pieces by the fire of the Russian artil-
lery; his second, numbering 450 men, was reduced to a skeleton at
the battle of Grochowitz. Rochebrune himself, although he never
hesitated to share the perils to which were exposed his devoted fol-
lowers, has, as yet, escaped unhurt. Should the same good fortune
still accompany him, he is likely to be found one of the most active
and dangerous of the many gallant men who are preparing to carry
something more than sympathy and good wishes to oppressed Poland.



COLONEL ROCHEBRUNE, THE COMMANDER OF THE POLISH ZOUAVES.

MIĘDZY PŁOTKĄ I ANEGDOTĄ

otrzymują egzemplarzy recenzyjnych a
i nabycie ich w drodze „kupna—sprze-
daży” nie jest sprawą łatwą.

Two Historyczne w Wielkiej Brytanii
odbyło już szereg zebrań naukowych
z odczytami poświęconymi poszczegól-
nym zagadnieniom roku 1863. Niektóre
są rewelacyjne. Złożą się na treść nu-
meru XII „Tek Historycznych”, który
jest obecnie w druku, więc będzie można
do nich powrócić w formie bardziej
szczegółowej.

„Doświadczenia Polskie” Bullocka

Nie zapomniamy też o powstaniu ra-
diostacje: rozgłoszła Polska Radia Wol-
nej Europy i sekcje polskie przy BBC
i radio francuskim. Wreszcie prasa emi-
gracyjna. „Orzeł Biały” przygotował w
styczniu numer specjalny w porozumie-
niu z „Tygodniem Polskim”. Porozu-
mienie polegało na podziale materiałów
w celu uniknięcia powtarzań. Dobra ini-
cjatywa — i jak sądzę — bez prece-
densu. „Orzeł” drukuje obecnie w od-
cinkach kapitalne wspomnienia dzien-
nika angielskiego Bullocka pt. „Do-
świadczenia Polskie”. Jego wartość i
znaczenie omówi na jesieni Mieczysław
Paskiewicz.

„Mówią ludzie 1863 roku”

Przed kilku dniami ukazała się na-
kładem „Veritasu” książka, której tytuł
zapożyczyliśmy do tytułu tej „plotki”.
Jest to „antologia nieznanych lub mało
znanych głosów ludzi współczesnych”,
opracowana przez ks. Józefa Jarzębow-
skiego, jednego z najwybitniejszych
znawców okresu styczniowego. Komen-
tarz jest utrzymany w duchu tradycyj-
nym, więc nie zadowoli zapewne bada-
czy zainteresowanych społeczną stroną
okresu powstania. Z drugiej atoli strony
przynosi materiał tak bogaty i bezpo-
średni, iż dobrze by było by książka
rozeszła się jak najszerzej wśród czyta-
jącej publiczności emigracyjnej.

Udział obcych w Powstaniu

Udział cudzoziemców w Powstaniu
pasjonuje stale pisarzy. Myślę o udzia-
le czynnym, z bronią w ręku, gdyż jest
on bardziej „romantyczny” i pamięta
się o nim lepiej, niż o pracy na rzecz
Polski wśród współczesnych myślicieli
politycznych na Zachodzie ze środowi-
skiem hercenowskim na czele. O zasłu-
gach Karola Marksa i Garibaldiego pi-
sała przed kilku miesiącami na naszych
łamacz dr Lidia Ciołkoszowa.

W Kraju wyolbrzymia się, a może
tylko podkreśla, udział Rosjan w szere-
gach powstańczych. Był to udział spory
i warto o im pamiętać. W okresie mię-
dzywojennym szczególną glorią otoczona

była postać Włocha, pika Nullo. Lecz
tradycyjnie, choć może bez dostatecznego
uzasadnienia na czoło wybijała się za-
wsze postać Rochebrune'a i jego „żua-
wów”.

Legenda żuawów

Legenda ta powstała już w czasie po-
wstania, może dzięki rozgłosowi jaki
Żuawom nadała prasa francuska. Lecz
i w Anglii Rochebrune cieszył się ogrom-
ną popularnością, jak świadczy druko-
wany przez nas wycinek z „The Illustrat-
ed London News”. Tekst nie jest zbyt
ściśły. Mówi o zasługach Żuawów w
Korpusie Langiewicza, o tym jak po je-
go rozsypaniu, Rochebrune pojechał do
Paryża, gdzie zwerbował spośród swych
„byłych kolegów” do Powstania. Wieu-
— w praktyce nie było ich zbyt wielu
— podoficerów francuskich wzięło udział
ze swych pułków by walczyć w Polsce.
Rochebrune'a Powstanie zastało w Pol-
sce na stanowisku gubernera. Ciekawy
jest następujący reportaż:

„Młodzież w Krakowie zbroiła się
jawnie. Co noc oddziały przekra-
czały granicę, by połączyć się z po-
wstańcami. Nie było niczym niezwy-
kłym w Krakowie, gdy młody szlach-
cic, student lub kupiec brał karabin w
rękę, szedł przez granicę by walczyć
i wracał na kolację do Krakowa.
Mówią nawet, że goście w hotelach
krakowskich przykazywali surowo po-
kójkom, by ich nie zapomnieli obu-
dzić skoro świt, gdyż należy się
spodziewać bitwy wcześniej rano...”

Reportaż kończy się wyrażeniem prze-
konania, że Rochebrune'a czeka wielka
przyszłość w Powstaniu. Kolej losu po-
szły inaczej, lecz ostatnie zdanie repo-
tażu wzrusza swą gorzką, choć pochleb-
ną ironią:

„... (Rochebrune) zostanie uznany
za jednego z najbardziej czynnych po-
śród tych dzielnych ludzi, którzy za-
mierzają dać Polsce coś więcej niż
wyrazy uznania i pobożne życzenia”.

Tragedia dra Warda

Dr Ward nie doczekał się wyroku w
swym procesie. Popenił samobójstwo.
Nie wiedział, że ława przysięgłych uzna-
ła go winnym w dwóch punktach oskar-
żenia i niewinnym w pozostałych trzech.

Z punktu widzenia moralnego orze-
czenie ławy dwunastu obywateli pietno-
wało w większym stopniu Krystynę Keel-
ler i „Mandy” Rice-Davis niż dra Warda.
Stwierdziło, że „jak je zwał tak je
zwał” — nie były niczym innym niż
 prostytutkami. Powiedział o nich sęd-
zia Marshal w swej reasumpcji prze-
(Dokroczenie na str. 16)

WIECZORNY pociąg zmierza na północ, ku Yorkshire, Zmierch zapada teraz późno i długo jeszcze po wyjeździe z Londynu widać z okien piaszczystą zieleność hrabstw Hertford, Huntingdon, Lincoln — skromną urodę i delikatność krajobrazu który pokochać można z czasem dopiero, ale zato bardzo trwałe.

Kominy cegielni i bogata sylwetka katedry sygnalizują Peterborough. Wagon wypełniony jest ludźmi — przeważnie czerstwymi, gadatliwymi ludźmi z Midlands i Północy. Towarzystwo które rozsiadło się obok i na przeciw mnie podróżuje z psem, Corgi — rudzielec i tłuszcioch — jest ośrodkiem powszechnego zainteresowania. Nie uszedł też uwagi dziewczynki — dwuletniej chyba — spacerującej rezolutnie wzdłuż całego wagonu. Głazę psa z zachwytem i przemawia doń czule: — Pussy... pussy... Psu wcale nie podoba się taka pomyłka, a może zbyt natarczywie pieszczoły? Marszczy pysk i pokazuje zęby. Dzieciak widać to chyba musiał za uśmiech, bo obejmuje zwierzątko za szyję i obsypuje go całusami. Zwycięstwo miłości! Pies robi zawstydzoną minę i chowa się pod nogi swej pani. Może to tak właśnie święty Jerzy wraz z uratowaną księżniczką zwyciężyli smoka? Niekiedy z wersji legendy wskazywałyby na to.

Dziewczyna — ku powszechnej uciechy — odmaszerowuje z tryumfem, prosto w wyciągnięte ku niej ramiona matki. Natychmiast też zasypia w bezpieczeństwie i ciepłym uścisku.

Pociąg zwalnia. W ciemności która zapada niepostrzeżenie migają światła Doncaster. Przed dworcem czeka Janusz z motocyklem. Ruszamy w noc. Reflektor toruje wąski przesmyk wśród zwałów ciemności. Oddycham prowincją, wsią. Wiatr zwiewa z twarzy resztki wielkomiejskiego zesztywnienia, strzępi zdania rozmowy, zaciepia wonomi szumem drzew. Ciemność, gdy się w nią wpatrzyć, przestaje być jednolitością czerni. Majaczą w niej kształty, tkwi niejedno drobne źródło światła. Wypełnia ją przecucie czekających nas dni włości.

MIECZYSLAW PASZKIEWICZ

NOTATNIK PODRÓŻNICZY

BEVERLEY

Początek naszej drogi nie został dyktowany wyrokami przypadku. To pielgrzymka, spełnienie obowiązku. Zbędne dodawać że obowiązek ten bynajmniej nie jest przykry.

Rzecz w tym że Beverley było od czasów Średniowiecza niejako stolicą poetów-minstreli. Nie wszystkich oczywiście: tych tylko którzy mieszkają między rzekami Trent a Tweed. O Wieku Złoty! Wieku gotyckiej obfitości!

Zbierali się oni co roku w kościele Najświętszej Marii Panny w dniu poprzedzającym Wniebowstąpienie, by obrać sobie Starszego Cechu. W 1557 ów dygnitarz — którego ozdoby, srebrny łańcuch zachował się do dziś — zapłacił 19 pensów podatku zebrałego między współbraćmi. W roku 1502 zarząd miejski przeznaczył zebrany poetom jednego szylinga na pijaństwo w trzecim dniu ich zjazdu.

Trzech spośród minstreli wybierano corocznie na urzędowych poetów miejskich — „comunes histriones villae“. Dostawali oni pensję i chłopca do posług. Ten pacholek muz otrzymał w 1438 33 szylingi i 3 pensy rocznej pensji.

Minstrele uważać musieli kościół za swoją siedzibę i czuli się zań odpowiedzialni. Gdy w latach 1520—1524 przeprowadzono odbudowę po zawaleniu się wieży, cech ufundował najbliższą prezbiterium kolumnę po stronie wschodniej. Zdobę ją rzeźba z wigorem przedstawiająca grupę poetów. Napisy głosz: „THYS PYLLOR MADE THE MAYNSTRELS“ oraz „ORATE PRO ANIMABUS HISTERIORUM“ — „Ta kolumnę wzniesli minstrele“ — „Módlcie się za dusze poetów“

I oto za parę dni przypada Wniebowstąpienie. Czas najwyższy rozpocząć zjazd. Wyjeżdżając do miasta od strony wilgotnych równin — niedługo siedliska bobrów, od czego pochodzić ma nazwa miasta — mijamy kolegiatę dążąc wprost do kościoła N.M. Panny.

Niegdyś, gdy byliśmy tu po raz pierwszy, kościół był pełny; odbywało się nabożeństwo i wypadło nam czekać ze zwiędzaniem blisko godzinę. Teraz więc zaglądamy ostrożnie przez uchylone drzwi, których strażę kamienny łeb uśmiechniętego straszysia. We wnętrzu jest cisza, pustka. Idziemy wolno nawą odcyfrowując napisy na kolumnach. Kroki dudnią nienaturalnie głośno.

— To ładnie z ich strony, że zostawili nam tym razem kościół do dyspozycji — powiada Janusz.

— Nam i duszom poetów.

Ale wprędce przekonujemy się, że wnętrze tylko z pozoru jest puste; Ze stropu prezbiterium spoglądają portrety królów angielskich od Egberta, lub raczej od legendarnego Brutsa po Henryka VII. Ten sufit-galeria stanowił musiał znakomity pomnik portretowego malarstwa angielskiego z połowy XV wieku. Dziś, po dwóch „troskliwych“ zabiegach restauratorskich z lat 1863 i 1939 wygląda opłakanie. Patrząc na dzieło zniszczenia ze smutkiem, prawie z rozpaczą. Pod rozpanoszoną wulgarnością barw ledwie odczytać można ślady piękna tej ikonograficznej koncepcji. Przetrawi jednak jej sens po średniowiecznemu (więcej głęboko, prawdziwie, nie z pozoru tylko) humanistycznie.

Na odchodnym zatrzymuje nas król — ze wspornika łuku odrzwi prowadzących do kantorii.

— I on należy chyba do bractwa minstreli — powiada mój towarzysz.

— Czy dlatego, że ma kij i torbę pielgrzyma?

— Właśnie. A także dlatego, że jest dumny.

— No, nie każdy kto dumny musi zaraz należeć do cechu poetów.

— Nie. Ale on jest dumny i ma rację.

Za przykładem królika ruszamy w drogę — nie daleką zresztą: do kolegiaty. Ta należy w całości do świata Gotyku. Dzieli też z nim całą jego wzniosłość oraz, po trosze, skłonność do ostentacji. Ale także pilne zainteresowanie się człowiekiem i jego sprawami. — Bardzo to przy tym praktyczne zainteresowanie: często charakteryzuje je satyra, skłonność do karykatury, jak choćby w serii rzeźb przedstawiających nieszczęśliwów dotkniętych chorobami i dolegliwościami. Inna grupa portretuje członków cechu minstreli. Grają i akompaniują

sobie oni na instrumentach, niekiedy wzniosli, często zabawni.

Zespół mizerykordii w stallach, choć stosunkowo późny — bo pochodzący niewiele wcześniej z 1520 r. — jest wyjątkowo ciekawy; najcenniejszy w Anglii, dobrze zachowany, obejmujący wiele tematów niekiedy przedstawianych w formie całych cykli ilustracji; na rzeźbie centralnej oraz w umieszczonych po bokach medalionach.

Historia o żonie-złociny ciągnie się w sześciu obrazach, na dwóch siedzeniach. Jej tragi-komiczny finał, wypchnięcie jędzy w balii na staw czy strumień to arcydzieło sowizdrzalskiego humoru. Jeszcze liczniej reprezentowana jest słynna średniowieczna opowieść o „Lisie Reynardzie“, traktowana po części jako satyra na braci z klasztorów kahnodziejskich. Kazaniu wygłaszanemu przez lisa w mniśnianie habicie towarzyszą w medalionach symbole: mądrości — upersonifikowanej przez dumnie rozpostartą sowę — i szaleństwa. Tu artysta posłużył się ilustracją zaczerpniętą jakby z popularnej opowieści: wiejski kowal podkuwa gęś. Brzmi w tym echo bajki czy przysłowia.

Wobec dawno już przedsięwziętych prób wyszukiwania źródeł literacko-ikonograficznych tej specyficznej grupy rzeźb jaką stanowią mizerykordie, nie od rzeczy może będzie zauważyć, że scena biblijna na jednej z nich, przedstawiająca Jozuego i Kaleba niosących gigantyczne winne grono — symbol obfitości Ziemi Obiecanej — jest tak podobna — nawet w szczegółach — do ilustracji lubeckiego wydania Biblii z 1494 roku, iż trudno oprzeć się przypuszczeniu, że to właśnie ów drzeworyt, lub jego nieco późniejsza kopia stanowiły natchnienie snycerza z Yorkshire, a ściślej z Ripon, bo z tego właśnie miasta pochodzili rzemieślnicy należący do rodziny zwanej — jak najśluszniej! — Carver, wykonawcy stał w Beverley.

Jakby dla kontrastu, o kilka zaledwie kroków od siedzeń-mizerykordii zdobnych w żartobliwie satyryczne rzeźby, kamienny saksoński tron tchnie prostotą i powagą. Jest to zapewne jedyna pozostałość z czasów patrona kościoła, św. Jana z Beverley, tego samego, który jako biskup z Hexham wyswiewał na diakona a potem księdza wielobnego Bede. Też z kolei unieśmiertelnił biskupa w swej „Historii“ długim życiorysem rozpoczynającym się od słów: „Początku panowania Króla Alfreda Biskup Eata zmarł był a na jego miejsce wstąpił, jako Biskup Hexham, człowiek święty imieniem Jan...“

Kamienny tron tchnie chłodem. Pozornie tylko. W istocie jest on symbolem najpiękniejszej i najbardziej rozgrzewającej serce enoty: miłosierdzia. Przeszły, łotrzy, ścigani, uchodzący, którzy dotknęli tronu, podlegali prawu azylu: w promieniu mili od sanktuarium poruszać się mogli bezpiecznie przez miesiąc, a po tym terminie odstawiani byli bądź do brzegów morskich, które zapewniały im ucieczkę, bądź poza granice hrabstwa, gdzie nie mogła ich już osiągnąć lokalna jurysdykcja. Czas owych trzydziestu dni był zużywany przez władzę udzielającą ściganemu ochrony, na doprowadzenie między nim a jego prześladowcami do zgody. Ten piękny zwyczaj nie dotrwał niestety do dziś: zaniknął wraz z upadkiem kultury i praworządności.

Widząc że w naszym drapieżnym świecie nawet kamienny tron nie jest już w stanie zapewnić, nie to na miłe, ale na krok choćby wokół bezpieczeństwa, odchodzimy, powtarzając za Norwidem:

„... Ani mnie dziwi gościnność kamienna,
Lecz jestem smętny, i jestem ten,
który

Dla siebie nie chce już nic, prócz wycchnienia.“

PICKERING

Spędziwszy noc w zajeździe budzimy się wcześniej, lub raczej budzi nas sfera ogarów zawodzących przeciągle, gdzieś w pobliskich zabudowaniach. Motocykl spędził noc w „garażu“, wśród kur cierpliwie wysiadujących kaczęta. Wiesz wchodzi tu wszędzie w sam środek miasteczka, zaleca się zielonością, naprzykrza nieraz odgłosami, daje o sobie znać zapachami kwiatów i gnojów.

Niewiele mil przejechanych na wskroś pół, i już jesteśmy w Pickering, gdzie uliczki, drogi, przejścia i ścieżki urozmaicone kamiennymi schodkami motają się wokół cmentarnego pagórka.

Obok, na wzgórzu, rozsiadł się zamek. Ślady przemysłnych fortyfikacji przetrwały do dziś: główna baszta — „keep“ — w formie samodzielnego zamczku, na osobnym sztucznie wzgórzku, zewsząd otoczonym fosą, jest ośrodkiem przestronnego dziedzińca, otoczonego z kolei murem, wieżami i drugą fosą. Dziedziczone znowu przedzielony jest na pół trzecią fosą i murem. Zdobywanie tej fortecy odbywać się więc musiało w trzech kolejnych fazach.

Zamek powstał między XII a XIV wiekiem. Od XIII należał do hrabstwa, a potem księstwa Lancaster. Bardzo uszkodzony fragment pomnika w kościele parafialnym św. Piotra i Pawła — tors bez rąk, nóg i głowy — ma być ponoć częścią nagrobka jednego z wczesnych Lancasterów: Jana O'Gaunt.

syna Edwarda III. Dziś żalony głaz, do niepoznania okaleczony kadłub, zalega ciemny kąt.

Za to zachował się wspaniale i to na honorowym miejscu, u progu prezbiterium, nagrobek rycerza, Wilhelma Bruce. Każdy szczegół uzbrojenia i stroju, herb na tarczy, każde niemal ogniwo kolezugi jest wyraźnie widoczne. Ręce złożone są pobożnie, do modlitwy, jak przynależy rycerzowi w chwilach wolnych od bitwy, łowów, pieśni i miłości. Dwa aniołki usłużnie podtrzymują poduszki, by wygodnie było spoczywać opancerzonej głowie. Wąsata twarz jest spokojna — jakby codzienne msze (na zapłacenie których Sir William przeznaczył pola w parafii Middleton) upewniły go w przekonaniu, że wiekisty spoczynek przypaść mu powinien w udziale.

Od grobu rycerza oczy podnosimy w górę: ściany nawy głównej pokryte są szczerze freskami. Malowane w połowie XV wieku stopniowo zarastać musiały brudem, potem warstwami wapna. Odkryto je przypadkiem, przed stu przeszło laty. Dziś, odrestaurowane i zabezpieczone, niemal do dawnej wróciły świetności.

Święty Sebastian, nagi, ale w koronie stoi spokojnie, twarzą w twarz ze śmiercią. Tak wielki, że dla luczników — zabójców niewiele zostało już miejsca. Święty Jerzy zabija smoka, brzydkiego i niezgrabnego potwora. Takim właśnie być on powinien — per-

sonifikacja zła, bezsilnego wobec sprawności Chrześcijańskiego Rycerza. Święty Krzysztof, łagodny, kolos nie się przez wodę, na swych barkach Dziecię-Chrystusa. Zaledwie stopy olbrzyma zanurzają się w nurcie napelnionym rybami. Dalej seria obrazów przedstawiających dzieje N.M.Panny. Niestety niektóre z nich ucierpiały za burzliwych lat Reformacji. Koronacja Matki Boskiej na Królową Niebios ocalała na szczęście. Cała Święta Trójca bierze w tej uroczystości udział. Najświętsza Panna, wzniosła, ale równocześnie nawnie dziewczęca, stanowi środek hieratycznej kompozycji. Gdzieś indziej sceny pasyjne, zstępowanie do odchłani. Naprzeciw Chrystusowi, z paszczy smoka, wychodzą Pierwsi Rodzice. Adam do dziś jeszcze nie wypuścił z dłoni fatalnego jabłka.

Odchodzimy z zaświatów ciemnych barw pod wiosenne niebo, między zieleni drzew i kamienie cmentarza. Pochylimy się nad mapą. Na północ od Pickering rozciągają się żółto-brązowe płamy: wzgórzka, wrzosowiska.

— Patr! Jest i opactwo, Rosedale Abbey.

— Jedziemy!

Krajobraz pięknieje w oczach. Wrzosowiska spełniają z pagórków, coraz to śmielej podchodzą do drogi. Nad strumieniem rozpostarło się jeszcze nieco pól. Gdzieś gdzieś zagrody. U zbiegu dwóch potoków — wioska: Rosedale Abbey. Przejeżdżamy ją wolno, rozglądając się za ruinami. Zabudowania się kończą, droga wpada w wąwóz. Zawracamy, by próbować kolejno wszystkich dojazdów. Naprawdę. Jest jakiś kościół, ale od razu widać, że nowy i nijaki.

Było opactwa, ale nie ma — powiada Janusz — Trudno. Jedziemy na wrzosowiska.

Droga staje się wyboista, maleje, czeźnie. Wreszcie, koło samotnej zagrody kończy się nagle. Zostawiamy motor, ruszamy w górę, Skrawek łąki, stado baranów, a potem już paprocie, wrzosy, kamienie. Wdrapujemy się na strome wzgórze. W połowie jego wysokości widoczny jest z daleka regularny nasyp: kiedyś była tu kolej żelazna. Dawną już jednak naturą zabrać się musiało do zacieranania brzydkich śladów najazdu człowieka. Patrzymy z dumą na ten oczywisty triumf ziemi.

Idziemy dalej, wyżej, w odwiecznym, złudnym pościgu za horyzontem: Jeszcze sto, dwieście kroków i będzie już szczyt wzgórzka. Nie. Jeszcze dwieście... Wreszcie zmęczeni, zadyśnieni, padamy we wrzosy. Wiatr przebiega teraz parę stóp nad nami. Tu, u łona ziemi, jest zaciszenie. Patrzymy na wzgórzka okryte łagodnymi barwanami i w popielatą twarz nieba. To tu zamieszkało, wygnane z miast, przesładowane od motłochu, Wielkie Usposojenie.

W drodze powrotnej zajeżdżamy raz jeszcze do wioski. Po gładkim, rzeczennie wystrzyżonym trawniku cmentarza podchodzimy do kościoła. Za żelaznymi sztachetkami, jakby groźny zwierz, czai się nieco starych kamieni, pierwsze parę stopni krętych schodów.

— To widać wszystko co zostało z opactwa.

— Nie, popatrz:

W gładką ścianę kościoła wmurowany jest głaz ciosany przed jakimiś siedmiu wiekami. Na nim napis, wryty niezgrabnymi inicjałami: „Omnia vanitas“.

CASTLE HOWARD — KIRKHAM PRIORY

Za sztucznymi murami i basztami rozciągają się przestrzenie zieloności, centkowane starożytnością w osiemnastowiecznym wydaniu: Piramida, Obelisk, Mauzoleum, Świątynia Czterech Wiatrów. Sam pałac to wspaniale ale nieco chłodne założenie architektoniczne. W salach, korytarzach, buduarach nagromadzone wiele dobrych rzeźb rzymskich, znakomitej porcelany i mebli, obrazów, gobelinów.

Monumentalność głównego hallu nie wrusza wprawdzie, ale budzi podziw. Nie można tego powiedzieć o kaplicy. Kompletnie przerobiona w początkach czwartej ćwierci XIX wieku jest nieodrodnym dzieckiem swego czasu — pomnikiem wiktoriańskości — jeśli takich pomników trzeba. By ukoronować całość witraże wykonał Wilhelm Morris wedle projektów Burne-Jonesa. Szkoda że obowiązkowy plan zwiedzania rezydencji tak jest pomysłany, że opuszcza się ją właśnie pod świętym wrażliwym wspomnieniem kaplicy, zacierającym wspomnienia miłych salonów, przytulności pokojów sypialnych.

(Dokończenie obok)

BIBLIOTEKA „KULTURY“:
Instytut Literacki w Paryżu zawiadamia, że ukazały się ostatnio:
Tom LXXXVII
MAREK HŁASKO
OPOWIADANIA
Cena £0.18.0, \$2.50, NF 12.00
Tom LXXXVIII
POLACY Z Z.S.S.R.
(1939—1942)
Antologia w opracowaniu Marii Czapskiej, zawierająca fragmenty prac dziś już wyczerpanych lub całkowicie nieznanymi.
„Nie po to, żeby jątrzyć, ale by ujawnić...“
Cena £1.4.0, \$3.50, NF 16.50
Do nabycia we wszystkich księgarniach polskich lub po nadesłaniu zamówienia z należnością w przesyłce pocztowej w GRYFIE: 171, Battersea Church Rd., S.W. 11.
Tamże zgłaszać można do dnia 31 grudnia 1963
PRZEDPŁATE
na najbardziej rewelacyjną książkę naszych czasów. Są nią „Moje Wspomnienia“
WINCENTEGO WITOSA
w tekście nieskracanym, w objętości około 1.350 stron, w trzech tomach.
Cena w przedpłacie £3.12.0

SZYBKIE PRZEKAZY PIENIĘŻNE do POLSKI
Tel. FRE 3175
TAZAB
22, Roland Gdns. London S.W.7
W NOWYM YORKU: TAZAB, 100 East 10th str., N.Y. 3 N.Y.
LEKARSTWA!
We (francji) **ELKA S.A.R.L.** 20 rue Legendre Paris 17 **LEKARSTWA!**

Czytaj książkę polską

(Dokończenie ze str. 10)

Grupy zwiedzających, prowadzone przez zmęczonych przewodników, depczą sobie po piętach, wysłuchując stereotypowych, nijakich komentarzy. Królujecie tu tło — zły towarzysz popularności. Wiele zresztą wynagradzają ogrody — piękne w swej sztuczności. Ale przecież odjeżdżamy stąd bez żalu. Odjeżdżamy, by po chwili zapasać w naturalną zieloność i ciszę.

Objęty przychylnym ramieniem rzeki Derwent leży u stóp wzgórza przysiółek Kirkham. Od mostu, od zabudowań i domostw strzęp gościnnia prowadzi przed bramę klasztoru. Potężny łuk, zdradzający już nieśmiało skłonność do gotyku, wiedzie w głąb wnętrza, którego nie ma. Z budynku zostało nieco murów, a głównie ściana nad bramą, ozdobnie rozplanowana, pokryta rzezbami. Święty Jerzy walczy tu ze smokiem, uśmiechniętym potworem o ogniu związanym w ośmkę — jak precel. Trudno oprzeć się wrażeniu, że walka jest na niby: smok, poczciwie monstrum, robi tylko miny (aby świętemu było przyjemnie) chroniąc się równocześnie od deszczu i słońca pod kamienny daszek.

Za bramą trawnik opisany liniami z kamienia. Gdzieś tam szczątki muru, okno czy odrzwia szeroko roz-

NOTATNIK PODRÓŻNICZY

warte w jasną nieskończoność przestworzy. Niedługo była tu siedziba Augustynów, Kanoników Regularnych. Dziwnie jest, że pochylać się trzeba ku ziemi, by odczytać kształty architektury. Samotny łuk, otulony kuszaczkami muru ozdobną czystością romańskiej swej formy, zamyka przecinające się linie wzgórz, pojedyncze drzewa podkreślające nasileniem tonu kolejność horyzontów. Ciąg kamiennych stopni przerwany w połowie, jak myśl spłoszona nawałnicą wydarzeń. Ze wschodniej ściany kościoła ocalał pojedynczy lancet okna, nie służący dziś właściwemu użytkowi — oświetlaniu wnętrza, ale trwający już li tylko na świadectwo.

To co najniepozorniejsze przetrwało najlepiej: główny kanał, wykonany starannie, omurowany, sklepiony. Dziś, gdy budowle rozspływały się w gruzy, widać go wyraźnie, na całej prawie długości.

W nawach dawnego kościoła ślady nagrobków: to lordowie pobliskiego zamku Helmsley kładli się tu byli zwykli na wiekiście odпочynku. Nie przewidziano zapewne że historia podwyższy i rozjaśni gotyckie sklepienie w nieboskłon.

sobie: głowy ptaków, zygzak i pas medalionów, na których wśród zagadek i wzorów abstrakcyjnych prześwieca miejscami niki światło czytelnej ilustracji: stylizowana twarz, czy dziwny kształt bestii.

Wysoko, u nasady dachu, na zewnątrz, wieńczy kościół galeria rzeźbionych głów. Stylizowane z romańska, niekiedy przecież zaskakują niespodziankami odległych wpływów: szczególnie jedna, archaicznie grecka, na kształt uśmiechniętych kor wydobytých z gruzów starożytności Akropolu i jak one, doskonale niemal piękna.

Bocznymi drzwiami wchodzimy wprost do nawy głównej. W głębi świeci wielu oknami harmonijnie sklepiona absyda, do której wchodzi się pod rozpustartym z rozmachem łukiem romańskim.

W niszy wykutej w grubości północnej ściany nawy ukryte jest — za rzędem ławek — nagrobek z początków XIV wieku. Leżąca postać nie przedstawia ani rycerza, ani kapłana, ale młodzieńca o długich, starannie w pukle zaczesanych włosach, w wytwornym stroju owych lat, którego fałdy uformowano szczególnie finezyjnie. Młodzieniec acz ułożył się wygodnie przeciw nie śpi snem wiecznym, ale czuwa. W złożonych pobożnie dłońach trzyma obły kamień: serce.

Gdy odchodzę, by ruszyć w drogę powrotną ku zgiełkowi metropolii, ściga mnie mądry uśmiech Nieznajomego z Nagrobka. To o nim chyba, równie jak i o sobie pisał niedługo Poeta:

„Ja, postawiony gdzieś na mogił straży,
Jak zóraw, aby nie spać wśród omamień,
Trzymam w mym ręku serce —
serce kamień“.

— Przyjeżdżaj tu czasem — proszę mego towarzysza — do tego Chłopaka z Sercem i do owej Greczynki z Fryzu... Mieszkaż niedaleko...

— Ależ oczywiście — zgadza się chętnie Janusz i, kończąc jakby swoją myśl, dodaje: — Przecież to jedna z naszych stolic, maleńka stolica Birkin.

Mieczysław Paszkiewicz

BOLTON CASTLE

Oglądany z dala, zamek wznosi ciężko swą kamienią prostopadłość na tle łagodnych, poziomych linii wzgórz okrytych opończą wrzosowisk. Wiele pokoleń Baronów Scrope musiało oglądać ten łagodny krajobraz w uroku jego nieoczywistych barw, przez setki lat. Spoglądała też nań niewątpliwie — zapewne z bezsilną złością — Maria Stuart w ciągu swego półrocznego tu odosobnienia.

W czasach rebelii parlamentu Jan Scrope, podówczas pan Bolton, wierny Koronie wytrzymał przeszło roczne oblężenie. Zły wyrok cromwelliańskich buntowników, by zamek zburzyć, w małej na szczęście mierze został wykonany. Do dziś częściowo zamieszkały zachował całą groźną urodę. Gniazdo wojowników — nic w sobie nie ma z ozdobnej urody rokokowych rezydencji. Zresztą i kraina rozciągająca się w okół nie sprzyja kapryśnemu rozbawieniu. Ale w proporcji brył, w celowym rozkładzie galerii, schodów, okien — jest piękno: niepozorne ale solidne piękno, tak typowe dla wielkich pałaców Yorkshire.

Dziś lord Bolton ma swą rezydencję w odległym od zamku o kilka mil Wensley. Rezydencja niknie w gęstwie starodrzewu. Kościół parafialny nosi na sobie widoczne ślady bliskości i opieki magnatów. Wczesno-renaesansowe stalle rzeźbione przez snycerzy z Ripon ujmują wesołym, świeckim kunsztem, zdają się świadczyć o myślnych zamilowaniach kolatorów: zając i ogar na poręczach wzywają na łowy odrywając uwagę od kazań wiejskiego proboszcza. Drewniany relikwiarz pochodzi z pobliskiego opactwa Easby, związanego niedługo ściśle z panami zamku Bolton.

Ale kościół i miasteczko nikną nam wprędce z oczu, gdy odjeżdżamy zielonym dnem Wensleydale, w górę rzeki Ure. Tam gdzie wpada do niej prawobrzeżny dopływ Bain — ponoć najkrótsza rzeka w Anglii — skręcamy w górę, ku smutnemu jezioru Semerwater: Jego ciche wody pogrzać przeciw kiedyś miały miasto niegościnnych bogaczy. Nad jeziorem wznosi się płaskie wzgórze Addleborough, uwieńczone jasną koroną skał.

Przed wielu wiekami — tysiącletni — raczej — w epoce żelaznej, mieszkali tu ludzie. Dziś wiatr szarpie i tarmosi nieproszonego przybysza. Słońce ugwałtawia zieloność łąk, a równocześnie łagodzi dziką urodę nagich pagórków. Dopiero zbliżający się wieczór spędza nas z pustaki i wrzosowisk. Rozsądek, czy może instynkt, każe na noc wracać między ludzi.

RIPLEY CASTLE

Idąc wioską, starannie zaplanowaną, o urodzie przypominającej nieco teatralne dekoracje, ulega się złudzeniu pobytu na kontynencie. Złudzenie rozwiewa jednak kościół parafialny — wieśniak nie chcący, ani umiejący bawić się we Francuza — a szczególnie zamek, a raczej dwór, niedługo warowny.

Ripley należy do rodziny Ingilby co najmniej od połowy XIV wieku. Nie jest to rodzina, ściśle biorąc, arystokratyczna. Tytuł baroneta — najniższy z angielskich tytułów dziedzicznych, nie uprawniający do zasiadania w Izbie Lordów — przywiązany jest

do nazwiska, z przerwami, od 1642 roku. Panowie na Ripley przypominają niektóre zamożne i stare, chociaż nie senatorskie rody małopolskie.

Wnętrze dworu tchną odwieczną zamkniętością, ale nie przepychem. Architektura, meble, obrazy — wszystko narastało tu powoli, stuleciami. Zmiana zachodziła organicznie. Dzieje kraju, przewalające się wydarzenia, zostawiały ślady widoczne, ale niewielkie.

Sztaba ołowiu pochodzi z lokalnych kopalń, pracujących dla cesarza Domicyjana: jego na niej widnieje stempel obok skrótu BRIG — oznaczającego pochodzenie z królestwa Brygantów, obejmującego tereny dzisiejszego Yorkshire.

Portret Edwarda III — aby upamiętnić łaskawość tego króla dla Tomasza Ingilby, któremu nadał przywilej na polowanie w lesie Knaresborough, oraz, w 1357, na urzędowanie w miasteczku, raz na rok, jarmarku i targu końskiego;

Dyplom erekcyjny klasztoru Kartuzów w Mount Grace, ufundowanego przez Jana Ingilby w 1396 roku;

Portret Franciszka Ongilby, katolickiego księdza, który poniósł w Yorku, w 1586, śmierć męczeńską;

Portret Cromwella — aby upamiętnić jedną noc, którą ten rebeliant spędził — ponoć nie najwygodniej — w tym znacym gnieździe rojalistów, zmuszony do czujnego respektu dwoma nabitymi pistoletami dzierzonymi w niewprawnych, ale zdeterminowanych dłońach pani domu.

Idąc korytarzami i salami, co krok napotyka się ślady codziennego ich użytkowania. Właściciel, major Ingilby, oprowadza gości ze swobodną grzecznością. Spokojny urok ogrodów sprzyja uciśnieniu, łagodnej radości. Ociągamy się z odejściem. Od bramy spoglądamy wstecz: z zamkowego parku uśmiecha się do nas przychylnie wesoła twarz Anglii, Anglii Stuartów — widmo, które tęsknota wskrzesiła, a czułość przelotnym obdarzyła żywotem.

BIRKIN

Ma się już ku zachodowi gdy dojeżdżamy do wioski Birkin. Kościół tu jest romański, zachowany w całej ciężkiej — z pozoru — urodzie, z nieznacznie tylko, dodatkami. O tej porze dnia pusty, wydany naszej ciekawości i podziwowi.

Potrójny łuk drzwi oparty jest na kapitelach zdobnych zagmatwanym wzorem, gdzie trudne do rozpoznania zwierzęta i ptaki zaplątały się w sploty wici roślinnej. Na łukach następują po

ADAM CIOLKOSZ

Od Marksa do Chruszczowa

Komentarz do przemian doktrynalnych w międzynarodowym ruchu komunistycznym: Cztery odmiany „marksizmu-leninizmu” i piętnaście odmian rewizjonizmu. 68 stron druku.

Cena egzemplarza: 5 sh. 6 d. — 3.50 NF — \$ 0.75.

Do nabycia: Gryf Publications Ltd., — 171, Battersea Church Road, London, S.W. 11.

CZESŁAW DOBEK

SIEKIERKI, KAPELUSIKI I TALARY

CZY zdajemy sobie dostatecznie sprawę z dobrodziejstwa monety?

Chodzimy pobrękując srebrniakami i miedzią w kieszeni i prawie beśmyślnie kupujemy sobie za nie bilet w autobusie, masło w delikatesach, albo obiad u Lyons'a. Prawda, że mieliśmy swego czasu trochę trudności z oswojeniem się z pensami i szylingami, z liczeniem na tuziny i dwudziestki i szczerze wdychamy do przejęcia Anglii na system dziesiętny, ale nawet przy dość skomplikowanych zwyczajach na tych wyspach rozrachunki finansowe, płacenie na nasz chleb codzienny nie przedstawia poważnego zagadnienia.

Czy myślimy kiedy, że nie zawsze tak było? Że bywały czasy, kiedy człowiek długo drapał się w głowę i wysiłał się nawet fizycznie nie tylko matematycznie, aby uzgodnić cenę jednego prosiaka?

Wyobraźmy sobie, że znajdujemy się jakie sto lat temu (tylko na Nowej Gwinei). Chcemy kupić sobie coś do zjedzenia, czy zapłacić komorne za szalaz, czy uiszczyć dług teściowi za żonę kupioną na spłaty. Czy sięgniemy do kieszeni po srebro i miedź, czy wyciągniemy pugilares, albo książeczkę czekową? Nic podobnego — złapiemy za siekierkę.

A tak. Owego czasu mieszkańcy Nowej Gwinei używali jako środka płatniczego kawałków żelaza ukutych w kształt topora.

Ile takich siekier kosztował prosiak, albo żona nie umiem tego powiedzieć, ale o siekierce jako monecie dowiedziałem się na malej, ale bardzo ciekawej wystawie „ciekawych środków płatniczych” w znanej firmie sprzedającej antyki a specjalizującej się w numizmatyce. Firma „Spink & Son” mieści się we własnym budynku na King Street, St. James i znana jest ze swych zbiorów monet i medali wojskowych. Przez dłuższy czas w jej oknie leżała gablotka z oznaczeniami, wśród których był order carski z polskim orłem w środku.

NAJWIĘKSZY PROCES CYWILNY

Warszawski „Express Wieczorny” (nr. 166) przynosi wiadomość, że „największy po wojnie w Polsce proces cywilny odbędzie się w Krakowie. Na sali sądowej zasiądą setki osób — jako strony w procesie (a nie jako publiczność) oraz przeszło 100 adwokatów. Ponieważ w sądzie nie ma odpowiednio wielkiej sali, trzeba ją będzie zapewne wynająć gdzieś w mieście. Sprawa wiąże się z aferą budowlaną E. Poradziszka, zakończoną wyrokiem skazującym w sądzie karnym... Pozwani odpowiadać będą za przywłaszczenie wpłaconych kwot i zużycie ich na inny cel. „Wystawieni do wiatru” domagają się zwrotu kwot sięgających od kilkudziesięciu tysięcy do przeszło 100 tysięcy złotych“.

(FEC)

PODZIEMNE LECZENIE

„Trybuna Ludu” donosi z Krakowa, że „w Wieliczce powstało Towarzystwo Naukowe Klimatoterapii Podziemnej. Towarzystwo postawiło sobie za zadanie rozwijanie i poszerzenie badań i obserwacji naukowych prowadzonych nad chorymi, przebywającymi na leczeniu w wielkiej kopalni. Takie mikroklimacyjne leczenie polega na codziennym, 4-godzinnym pobycie pod ziemią w komorze leczniczej. W wielu przypadkach leczenie to przyniosło dobre rezultaty. We wrześniu br. Towarzystwo zainauguruje swoją działalność zebraniem naukowym na temat wpływu zjonizowanej atmosfery przestrzeni podziemnych na leczenie chorób alergicznych narządu oddechowego“.

(FEC)

Pokaz monet i innych przedmiotów, które swego czasu służyły w handlu jako pieniądze mieści się w jednej sali, w kilku zaledwie gablotkach, ale warto to obejrzeć. Są tam rzeczy o jakich nam się nie śniło i są rzeczy, dobrze nam znane i przypominające dawne czasy.

Wystawa „Curious Currencies of the World” obfituje rzeczywistością w ciekawostki i w egzotykę.

Więc obok siekier zobaczymy kły dzików i ozdobne muszle służące w handlu Nowo-Gwinejczykom, zęby rekina, ostrza strzał, maty kokosowe z Oceanii; bransoletę z włosów z ogona słoniam, małe motyki i noże, które przechodziły z rąk do rąk w handlu afrykańskim, no i naturalnie mogłem podziwiać cały kalejdoskop monet metalowych.

Moneta zasadniczo była ze srebra, złota albo innego cennego kruszcu, ale mylili się ktoś przypuszczając, że zawsze owe pieniążki były okrągłe.

Chińczycy używali kawałków złota stemplowanego w ten sposób, że powstawały z niego małe łódeczki. W Syjamie posługiwano się monetami cynowymi odlanymi w kształcie malutkich kapelusików, a czasem czółenek. Na Malajach bito pieniążki bardzo podobne do naszych, tylko że z dziurką we środku i odlewano je razem po kilkanaście połączonych w kształcie drzewka, Malajczyk plaćący swoimi monetami zrywał je z gałązki wróżąc sobie: kocha, lubi, szanuje... Gdy zgrał się w malajskie karty, szedł do domu z pustym korzonkiem.

W czasach, gdy biały człowiek zaczął zawojowywać kraje zamorskie, systemy monetarne były już w Europie wykształcone. Były w użyciu talary srebrne i złote luidory, wielkie, ciężkie krążki metalu. Podobały się one bardzo dzikusom, którzy nie mając wówczas jeszcze banków, nosili majątek w nosie, albo w uchu. Europejczycy swoje wielkie talary dzielili na części plaćąc za banany i kokosy trójkącikami, paseczkami, wycinkami tylko, a nie pełnymi monetami.

Takich trójkącików pełno jest na naszej wystawie. Były one nawet specjalnie stemplowane.

Ale i nie brak monet wielkich, potężnych jak np. srebrna moneta księstwa brunswickiego z 17 wieku — ma wartość sześciu talarów, a średnicę 10 centymetrów. Najmniejszy pieniążek — to 1/32 dukata z Regensburgu z 18 wieku — ta monetka ma średnicę pięciu milimetrów.

Mnie zainteresowała moneta wartości pół scudo wydana przez króla hiszpańskiego Karola V, a przestemplowana herbem naszego Zygmunta Augusta.

Wzruszyły mnie także cegły herbaty, znany mi z Rosji tak zwany „Kirpicznyj czar”. Za carskich czasów placono za podróż po Syberii takimi ceglami herbaty. Dziś wystarczają papierowe czerwonce. Ja osobiście miałem okazję jechać za darmo. Co okazało się bardzo, bardzo drogą... przykre.

PRZEKAZY PIENIĘŻNE DO POLSKI

PRZEDSTAWICIELSTWO BANKU TRANSFEROWEGO

HASKOBA LTD

121, EARLS COURT ROAD, LONDON, S.W.5. FRE 7888

PACZKI WOLNE OD CŁA

PRZEGLĄD SPORTOWY

Po czterech meczach USA w Europie

Spotkaniem z Anglią zakończyli amerykańscy lekkoatleci wielki tegoroczny cykl zmagani z czołowymi krajami Europy, powracając do domu bez porażki. Oficjalnie w świat poszły następujące wyniki:

Z Rosją 119:114, z Polską 125:83, z Niemcami zach. 134:78 i z Anglią 120:91.

Chcąc obiektywnie zanalizować wyniki 4 spotkań i wyciągnąć wnioski, należy przede wszystkim usystematyzować posiadane wyniki i stworzyć jakies wspólne kryterium. Klasycznym meczem międzynarodowym w konkurencjach męskich jest mecz dwudniowy, rozgrywany w 20-tu konkurencjach, przy punktacji 5, 3, 2, 1 i 5, 2 za sztafety. Dlatego odrzucamy punktację za chód i dziesięciobój (mecz z Rosją) i chód (mecz z Niemcami). Ponadto likwidujemy dyskwalifikację sztafety i kontuzje, które uniemożliwiły zawodnikom zajęcie nawet ostatniego miejsca i zdobycie jednego punktu. Po takiej operacji otrzymujemy nieco odmienne wyniki 4 spotkań, które wyglądają następująco:

Ameryka-Rosja 118:94, Ameryka-Polska 125:87, Ameryka-Niemcy 134:78 i Ameryka-Anglia 120:92.

Takie zestawienie punktowe bardziej odpowiada rzeczywistości, ale i ono wymaga dalszej korektury. Tylko przeciwko Rosji Amerykanie wystąpili w swym najsilniejszym składzie. Z Polską i z Niemcami nie walczyło 4 czołowych miotaczy a w meczu z Anglią Ameryka zrezygnowała z tylu wybitnych zawodników, że chwilami wyglądało to aż żenująco. Wzwyż, na przykład, skał Boston, w młocie jeden z zastępców osiągnął zaledwie 30 metrów! Tylko dzięki temu Anglicy osiągnęli względnie przyzwoity rezultat. Jedynie ich, naprawdę wartościowe, zwycięstwo to sztafeta 4x110 jardów w czasie 40,0 sek. Była to pierwsza porażka amerykańskiej sztafety od roku 1924 (nie licząc dyskwalifikacji).

Szereg doskonałych wyników osiągnęli Niemcy, ale właśnie w ich najmocniejszych konkurencjach Amerykanie okazali się nie do pobicia i ostatecznie w tym właśnie meczu ich przewaga była największa. Oto kilka niemieckich rezultatów, które dały im tylko ostatnie miejsca: 200 m, Hebauf 20,8 sek., Roderfeld 20,9 sek., 400 m, pl. Haas 50,4 sek., Janz 51,0 sek., 4x400 m 3:35 min.

Teraz przyjrzyjmy się jeszcze raz wynikom Polaków. W pierwszym odruchu uznaliśmy naszą przegraną za klęskę i napisoczyliśmy na brak nowych, młodych zawodników. Czy tak jest istotnie?

Częściowo tak, bo drużyna polska ma wielkie luki w biegach, ale jest to usprawiedliwione. Tacy zawodnicy jak Krzyszkowiak, Chromik czy Makowski nie rodzą się na kamieniu i nie wychowuje się ich w ciągu jednego roku. Z młodej generacji wybija się Szklarczyk i jego czas na 3000 m. z przeszł. unać należy za dobry (8:45,6 min.). Natomiast w konkurencjach technicznych Polacy osiągnęli szereg doskonałych rezultatów. Kula: Sosgórnik 18,61 m, Komar 18,41 m; dysk: Piątkowski 58,50 m, Begier 57,20 m; rzędkok: Schmidt 16,77 m, Jaskólski 16,33 m; oszczep: Sidło 79,85 m, Głogowski 79,27 m; młot: Ciepły 65,28 m, Rut 64,62 m; tyczka: Sokolowski 4,70 m, Gronowski 4,60 m; wzwyż: Czernik 2,09 m. W tych konkurencjach Polacy zdobyli więcej punktów i gdyby je przeciwstawić całej Europie, nasi chłopcy wyszliby i z tego porównania zwycięsko!

Wśród wyżej wymienionych Komar, Begier, Głogowski, Jaskólski, Sokolowski i Czernik to zawodnicy młodzi. Do nich doliczyć jeszcze trzeba Badenkiego na 400 m. i jego wspaniały czas 46,1 sek.

Czy po tym zestawieniu możemy jeszcze twierdzić, że nasi lekkoatleci nie posiadają młodzieży i że nasza porażka była klęską?

Po Stanach Zjednoczonych i Rosji Polska nadal jest trzecią potęgą lekkoatletyczną świata. Pokonać ją mogą jeszcze tylko Niemcy, ale łącznie.

Józef Garliński

O Piłkarski Puchar Europy po raz 9-ty. Z dniem 15 sierpnia rozpoczynają się w Europie po raz 9-ty rozgrywki najpopularniejszego turnieju piłkarskiego o Puchar Europy. Zgłoszenia tegoroczne są rekordowe: zgłosiło się 31 drużyn, które zostały już rozlosowane. Szczęśliwy los wyciągnął ostatni zdobywca Pucharu — AC

Milan, który przechodzi do następnej rundy bez meczu. Włochy mają w turnieju dwie drużyny: tegoroczny mistrza I ligi Internazionali i ostatniego zdobywcę Pucharu — AC Milan Polskę reprezentować będzie mistrz I ligi Górnik, który już reprezentował barwy polskie w 1961 roku, przegrywając w ostatecznej rozgrywce z londyńskim Tottenhamem 4:2 i 1:8. Poza Górnikiem barwy polskie reprezentowały następujące kluby: Gwardia (Warszawa), Legia (Warszawa), Polonia, ŁKS i jeszcze raz Polonia.

Pierwsza runda rezerwana musi być do 15 października, poczym odbędzie się nowe losowanie do następnej rundy. Przeciwnikiem Górnika będzie świetna drużyna wiedeńska Austria, która była sześciokrotnie mistrzem Austrii, a ostatnio tytuł ten zdobyła trzykrotnie z rzędu. Nie wróżymy Górnikowi sukcesu.

Oto pierwsza runda spotkań:

Partyzant Belgrad — Anorthosis Famagusta (Cypr).

Dynamo Bukareszt — Motor Jena. Dukla Praga — SC La Valetta (Malta).

Partyzant Tirana — Spartak Plovdiv.

Górnik Zabrze — Austria Wiedeń. Galatasaray Istanbul — Ferencvaros Budapeszt.

FC Distillery (Irl. Ph. — Benfica Lizbona.

AC Monaco — AFK Ateny. Haka Valkeakoski — Jeunesse Esch. Standard Liege — IF Norrköping. Glasgow Rangers — Real Madryt. Everton — Inter Mediolan. Lynn Oslo — Borussia Dortmund. PSV Eindhoven — IF Esbjerg. FC Dundalk — FC Zurich.

Drugi turniej o charakterze europejskim to turniej o Puchar Europy dla zdobywców pucharów (a więc nie mistrzów I lig). I ten turniej: rozgrywany jest na tych samych zasadach co turniej o Puchar Europy dla mistrzów I lig. Ostatnim zdobywcą pucharu był londyński Tottenham. Przechodzi on do następnej rundy bez gry, podobnie jak drużyny Motor Zwickau (Niemcy wsch.) i FC Linfield (Irlandia Półn.). Barwy Polski reprezentować będzie po raz drugi Zagłębie Sosnowiec wyeliminowane w ub. roku przez węgierski Ujpest z Budapesztu 0:0 i 0:5. Drużyny walczą jak następuje:

Fenerbance Istanbul — zdobywca pucharu Rumunii, Apol Nikozja — Gjøvik (Norwegia), Olimpiakos Ateny — Zagłębie Sosnowiec, Linzer ASK — Dynamo Zagrzeb, MTK Budapeszt — zdob. pucharu Bułgarii, Helsinki Palloseura — zdob. pucharu CSRS, Shelburne Irlandia — Barcelona, Olympic Lyon — Odense (Dania), Willem II (Holandia) — Manchester United, Sporting Lizbona — AC Atalanta (Włochy), FC Basel — Celtic Glasgow, Sliema Wanderers (Malta) — Borough (Walnia), Zdob. pucharu NRF — Union Luksemburg.

Trzeci turniej o charakterze europejskim to t.zw. turniej Rappana znanego trenera szwajcarskiego. Dodajmy zresztą, że trener ten znajduje się ostatnio pod ostrzem bardzo ostrych krytyk prasowych, gdyż reprezentacja Szwajcarii (przed wojną mistrz świata) przegrywa od lat niemal wszystkie spotkania międzynarodowe. Opinia publiczna domaga się jego ustąpienia, gdyż Rappan nie potrafi — jak się okazuje — należycie przygotować reprezentacji szwajcarskiej do trudnych występów międzynarodowych. Otóż przed dwoma laty Rappan wykombinował turniej europejski w którym każde z państw wystawia 4 drużyny. Polska wystawiła następujące drużyny: Ruch, Odrę, Polonię i Zagłębie. Turniej nie cieszy się wielką popularnością i nie jest na najwyższym poziomie. Traktuje się go raczej jako zaprawę dla słabszych drużyn do wystąpień międzynarodowych, jako okazję do nabrania doświadczenia sportowego i organizacyjnego. Drużyny polskie spisują się w tym turnieju raczej przeciętnie.

Jak się okazuje nawet w tym mało znaczącym turnieju dochodzi do różnic scysji i awantur a to dlatego, że sędziowie wyznaczają gospodarze. Nie ma więc sędziogo neutralnego i dlatego pod adresem sędziów syją się oskarżenia o stronniczość, o sprzyjanie drużynie gospodarzy. Przepis ten jest niewątpliwie błędny, bo jak się okazuje, nawet na tak mało znaczącym turnieju ambicje narodowe od-

grywają wielką rolę i podnoszą temperaturę.

Na tym tle pisze red. G. Aleksandrowicz na łamach warszawskiego „Przełądu Sportowego“ m. in.:

„Komu potrzebne było usunięcie z boiska Czechosłowaka Urbana, poprzedzone niemilym zgrzytem między nim a naszym arbitrem, czyje sprawiło służyło zejścia na boisku w Sosnowcu zakończone interwencją milicji, po co były demonstracje przeciwko holenderskiemu sędziemu w Amsterdamie, dlaczego Ruch opuścił niezwykle gościnny Belgrad z poczuciem niesmaku, pozostawiony przez ogólnie cenionego za dobre prowadzenie meczów arbitra jugosłowiańskiego?“

Autor powyższych słów domaga się, by delegacja polska zgłosiła wniosek, iż wszystkie spotkania mają być prowadzone przez sędziów neutralnych a więc nie z kraju z którego pochodzą drużyny gospodarzy. Być może, że to naprawi atmosferę na meczach turnieju o puchar Rappana.

W Warszawie zakończyły się XXXIV Indywidualne Mistrzostwa Polski w boksie. Nowymi mistrzami Polski zostali, musza — A. Olech, koguciej — B. Bendig, piórkowej — P. Gutman, lekkiej — J. Szczepański, lekkopółśredniej — J. Kulej, półśredniej — B. Misiak, lekkośredniej — A. Siódła, średniej — T. Walasek, półciężkiej — Z. Pietrzykowski, ciężkiej — Z. Gugniewicz. Tytuły obronili: Olech, Bendig, Szczepański, Kulej, Walasek i Pietrzykowski, który wyrównał rekord Szymury, zdobywając tytuł mistrza Polski po raz 9-ty. Najlepszym pięściarzem turnieju był Bendig. Mistrzostwa należały do najbardziej udanych w ostatnich latach, Polska dysponuje znowu doskonałym narybkiem.

W Helsinkach odbyło się przedolimpijskie piłkarskie spotkanie eliminacyjne między Finlandią i Rosją Sow. Pierwsze spotkanie wygrali Rosjanie 7:0 a spotkanie rewanżowe 4:0, kwalifikując się tym samym do pułki finałowej na Olimpiadę w Tokio.

W Paryżu obradowała Międzynarodowa Federacja Tenisowa z udziałem 80 delegatów reprezentujących 52 narody. Był to 50 kongres Federacji. Na stałych członków przyjęto: Sudan i Wietnam. Na członków tymczasowych przyjęto: Afganistan, Algierię, Kambodżę, Jamajkę i Malaję. Wniosek Niemiec wschodnich o przyjęcie do Federacji odłożono do następnego kongresu dla ustalenia stanu organizacyjnego tenisa w tym kraju.

Federacja wypowiedziała się przeciwko przeprowadzeniu kontroli t.zw. zwrotów kosztów dla tenisistów — amatorów. Postanowiono zachować dotychczasową wysokość tych zwrotów na 5 funtów dziennie. Mogą jednakże być wyjątki w wypadku, gdy koszty utrzymania w jakimś kraju będą szczególnie wysokie. Nie ulega wątpliwości, że to zastrzeżenie pozwoli na tak liczne wyjątki, iż w dalszym ciągu będzie się mówiło z uśmiechem o „amatorstwie“ w tenisie amatorskim. Bo tego amatorstwa w gruncie rzeczy nie ma już od lat.

(p.h.)

SZKOCJA

Rezolucja w sprawie zbrodni katyńskiej

Zarząd Główny Szkocko-Polskiego Towarzystwa przygotował rezolucję w sprawie zbrodni katyńskiej, która po uchwaleniu jej przez walne zebranie zostanie rozesłana do szefów rządów zachodnio europejskich i Stanów Zjednoczonych.

Nie jest to pierwsze wystąpienie Towarzystwa Szkocko-Polskiego w tej sprawie; rezolucje w sprawie zbrodni katyńskiej były kilkakrotnie uchwalane nie tylko na zebraniach Towarzystwa, ale i na organizowanych przez Towarzystwo manifestacjach protestacyjnych. Tegoroczna rezolucja jest utrzymana w ostrej i stanowczej formie. Rezolucja potępia zbrodnię katyńską, i domaga się ukarania sprawców tej zbrodni przez jakiś trybunał międzynarodowy. I dlatego tym razem rezolucja zostanie przesłana do Organizacji Narodów Zjednoczonych. Treść przygotowanej rezolucji

Polskie życie kulturalne

PLATON, POLITYKA I PLASTYKA

Referat doc. dr Wiesława Strzałkowskiego pt. „Platon wobec dyktatury i dyktatorów“ przedstawiony był na posiedzeniu naukowym Komisji Historyczno-filologicznej Polskiego Towarzystwa Naukowego w zupełnie szczególnych okolicznościach. Na kilka dni przed zapowiedzianą w prasie datą posiedzenia, które odbyło się w Instytucie im. gen. W. Sikorskiego, prelegent stracił matkę. P. Alina z Lopuszańskich Strzałkowska, pianistka i nauczycielka muzyki, podczas swego pobytu na emigracji zajmowała się też nauczaniem języka francuskiego i zjednała sobie wśród swych uczniów szacunek i miłość. Jej też zasługą było zapewnienie w ciężkich warunkach życiowych, wykształcenia synowi, który do ostatniej jej chwili otaczał ją zawsze troskliwą opieką i wzorowym synowskim oddaniem. Dr Strzałkowski stracił też w lutym 1962 roku ojca swego, Seweryna, który zmarł w Polsce.

Otwierając zebranie przewodniczący Komisji, prof. dr W. Wielhorski, wyjaśnił powód, dla którego prelegent nie mógł przybyć na posiedzenie i uczcił pamięć i zasługi śp. Aliny Strzałkowskiej, zapowiadając, iż w zastępstwie prelegenta odczyta sam jego referat. Stanowił on drugą część obszerniejszego opracowania obejmującego najpierw rozważania teoretyczne, a następnie historyczne przedstawienie omawianego zagadnienia. W odczytanej części omówiona została teoria ustrojów przedstawiona w „Rzeczypospolitej“. Platona z podkreśleniem wad najgorszego ustroju dyktatorskiego znanego pod starożytną nazwą „tyranii“. Podkreślona została przy tym przemiana poglądów Platona, jaka zaznaczyła się w pisanych pod koniec jego życia „Prawach“. Podłoże tych poglądów i wytłumaczenie tej przemiany autor opracowania znajduje w doświadczeniach politycznych Platona podczas jego bytności na Sycylii.

Do szczegółowego omówienia 3 podróży Platona na Sycylię autor posłużył się jako najważniejszymi źródłami listami Platona, uznanymi za autentyczne oraz innymi źródłami greckimi do biografii jego ucznia Diona, który najpierw starał się wykształcić młodego tyraona Dionizjusza II na filozofa, a gdy się przekonał o swym niepowodzeniu, dażył do obalenia tyranii i zastąpienia jej ustrojem łączącym elementy demokracji i arystokracji, podobnym do ogłoszonego przez Platona w „Prawach“. Obfitujące w dramatyczne momenty perypetie Platona na Sycylii rzucają światło na rozwój jego poglądów i tłumaczą paradoksalne stanowisko, iż sam głosząc zasady ustrojowe o charakterze totalitarnym, był przeciwnikiem dyktatury.

* * *

Niejednokrotnie na tym miejscu była sposobność do podkreślenia niezwykle bujnego rozwoju sztuk plastycznych na emigracji. Wydaje się że można będzie zaryzykować zdanie, iż plastyka polska poza krajem jest jedną z najlepiej prosperujących dziedzin naszej twórczości. W samym Londynie, oprócz Polskiej YMCA, która służy od lat za siedzibę wielu wystaw malarstwa polskiego na emigracji, a czasem i z kraju, fotografiki, rzeźby czy tylko sztuki dekoracyjnej, mieliśmy jeszcze dwie stałe polskie galerie Drian Gallery pod kierownictwem Halimy Nałęcz i Galerie Grabowskiego. Obie te galerie wystawiają co jakiś czas dorobek artystów polskich, ale prócz tego goszczą u siebie i dzieła wybitnych artystów obcych, brytyjskich i kontynentalnych, lub zamorskich z innych kontynentów, poza Europą. Drian Gallery gości przede wszystkim artystów z Paryża. Obecnie przybywa nowa galeria polska, mieszcząca się pod nr. 8 na Cromwell Road. Teraz odbywa się u Grabowskiego wystawa trzech młodych artystów, przeważnie trzydziesto-kilkuletnich. Jednym z nich jest Murzyn z Gujany Brytyjskiej, drugi Kanadyjczyk, a trzeci Australijczyk. Wszyscy są więc naprawdę z bardzo odległych zakątków świata. Frank Bowling ur. w 1935 r. po przybyciu z Gujany stu-

została uzgodniona z polskimi organizacjami niepodległościowymi, działającymi na terenie Szkocji.

Przy tej okazji należy podkreślić, iż Szkocko-Polskie Towarzystwo stoi niezlomnie na stanowisku, iż Polska nie ma wolności, a znajduje się pod okupacją nasyłanych przez Związek Radziecki komunistów. Naczelnym hasłem Towarzystwa jest hasło „Wolność dla Polski“ — „Freedom for Poland“, wypowiediane na wszystkich zebraniach przez to Towarzystwo organizowanych. (B)

diował w londyńskich szkołach sztuki. Ukończył Royal College of Art z odznaczeniem w 1962 r. Obrazy jego namalowane jeszcze przed uzyskaniem dyplomu zwróciły na siebie uwagę zbieraczy i w ten sposób znalazły się w Calouste Gulbenkian Foundation, w Arts Council i zbiorach prywatnych. Obecna jest to druga, po rocznej przerwie, wystawa u Grabowskiego.

Wystawił on 12 obrazów utrzymany w dość jednolitym charakterze, w stylu, który może należało by nazwać post-gaugainowskim. Są to przeważnie studia żebaków, wykonanych z pewną groteskową deformacją, o dość jednolitym kolorystyce, techniką olejną.

Wiliam Thomson, ur. w 1926, studiował najpierw w Toronto, a potem od 1947 r. w Royal College of Art, którą to uczelnię ukończył w 1957. Wystawiał już wielokrotnie i tym razem pokazał u Grabowskiego 17 płócien olejnych, wśród których przeważają akty, obok portretów i tzw. martwych natur. Wykazuje on już duży rozmach i szarmonizowaną kolorystykę, stylem swego malarstwa nawiązuje niewątpliwie do post-impresjonistycznej szkoły francuskiej, a może także i do jednocześnie rozwijającej się tzw. niemieckiej wizji malarzkiej, związanej z epoką, którą uważa się już za zamkniętą.

Wreszcie Neil Stocker, ur. w latach dwudziestych, z Sydney przybył do Londynu w 1953 r., gdzie studiował w kilku szkołach, a po uzyskaniu dyplomu także w Royal College of Arts. Wystawiał już wielokrotnie zwiastując na wystawach młodych artystów, zdobywając w r. 1961 nagrodę szwajcarską. U Grabowskiego wystawił dziesiątkę rzeźb, pomysły jako przyszłe odlewy w brązie. Nawiązuje on już do najnowszych tendencji w rzeźbie współczesnej, dając formy na poły abstrakcyjne, lekko przypominające kształty rzeczywistych przedmiotów lub istot ożywionych, a nawet niekiedy zjawisk (piorun, lub jądro atomowe). Niektóre eksponaty robią wrażenie z góry przetrąconych kałdubów. Taki prąd, taki kierunek, czy też tylko taka moda. Odpowiedź da przyszły rozwój twórczości młodego Australijczyka, który znajduje się zaledwie u progu swej kariery artystycznej.

* * *

Otóż oprócz wystawy w tej galerii uważny czy tylko szczęśliwy obserwator zauważyć mógł w ostatnich tygodniach wyklukanie się nowej polskiej placówki sztuki plastycznej, nowej galerii w stosunkowo nieznacznej odległości od Galerie Grabowskiego. W pomieszczeniu sklepowym, (nad którym widnieje jeszcze dawny szyld „White-Eagle Stores“), bardzo starannie odnowionym urządzony został kilkutygodniowy pokaz prac graficznych i malarskich Teresy Mellerowicz, artystki malarki z Polski, w wieku który dawniej zwykło nazywano się balzakowskim. Jest ona absolwentką Akademii Sztuk Pięknych w Warszawie. Przybywszy aby zwiedzić galerię londyńską, przywoziła ona ze sobą większą kolekcję litografii i płócien olejnych, lub akwarelowych, co pozwoliło na zaimprovizowanie wystawy w lokalu czekającym na swe otwarcie. Obrazy swe artystka-malarka nazywa kompozycjami przestrzennymi i rzeczywiście stanowią one urzeczenie artystyczne pewnymi kategoriami form przestrzennych, odwzorowanych na płaszczyźnie technikami litografii lub malarstwa olejnego na podkładzie akwarelowym. W kompozycjach tych przebijają się formy organiczne i architektoniczne. Litografie są czarno-białe, płótna zaś mają stonowaną gamę kolorów. Twórczość p. Mellerowicz jest ciekawym wysiłkiem w kierunku wyrobienia sobie indywidualnej odmiany plastycznego wyrazu i zastugiwała by na szersze zapoznanie z nią publiczności. Niestety zaimprovizowane warunki organizacyjne tej przedinauguracyjnej wystawy sprawiły, iż była dostępna do oglądania tylko między 6—8 po poł. co w obecnej epoce strajków muzealnych nie byłoby okolicznością zupełnie obciążającą. Tyle, że o jej otwarciu opinia publiczna nie została powiadomiona w czasie.

* * *

Jak się dowiadujemy właściciel znanego Domu Handlowego Haskoba, p. mgr. praw Antoni Cassel-Kokczyński, zamierza w październiku utworzyć we wspomnianym lokalu o dwóch kondygnacjach (podziemie i parter) własną galerię sztuki. Zatem przykład mgr B. Grabowskiego nie poszedłby w las.

(n.)



DOROCZNE TORIURY

HISTORIA WAKACYJNA LECZ
BARDZO TRAGICZNA

Zaczęło się to, o ile dobrze pamiętam, gdzieś w styczniu. Wracając z wizyty u Astrachańskich, gdzie rozmowa toczyła się głównie na temat przeszłych i przyszłych wakacji, żona zwróciła się do mnie i powiedziała stanowczo:

— W tym roku musimy wyjechać za granicę.

Zaprotestowałem gwałtownie.

— Ależ, kobieto, czy ty sobie zdajesz sprawę, ile taki wyjazd może kosztować? Dopiero co kupiliśmy przecież szafę do sypialni i nowy tapczan na raty...

Przerwała mi bezwzględnie:

— To już twoja sprawa. Ja już tak dalej nie mogę! Gdzie tylko przyjdziemy, każdy opowiada o swoich zagranicznych podróżach, a ja nawet ust nie mogę otworzyć, bo co im powiem? Że dwa lata temu byliśmy na dwa tygodnie w Brighton? Astrachańscy od dwóch lat jeżdżą na Costa Brava, Trzypstyccy byli na morzu Śródziemnym, Sewilscy we Włoszech, pułkownik Szablinski w Szwajcarii, nawet taka Alabastrowa, chociaż samotna, pojechała z wycieczką na tuliniany do Holandii, a my co? W niedzielę po południu do Kew Gardens, a to stękaś, że autobus drogo kosztuje!

W obliczu grożącego niebezpieczeństwa nie straciłem zimnej krwi i próbowałem użyć żelaznej logiki, opartej na ekonomicznych faktach:

— Moja droga! Astrachańskich stać na to, oboje pracują i dobrze zarabiają. Trzypstyccy nie wylażą z długów, pożyczają na prawo i lewo. Sewilski ma firmę, kapitalista. Szablinski urządzony, ma dwa domy. Alabastrowa znowu nie taka zupełnie samotna, na tę wycieczkę podobno pojechała z Postytką, więc nie wiadomo, kto za to płaci. Nasza sytuacja finansowa jest inna.

Gorycz mojej lepszej połowy przerwała wszelkie tany:

— Ach, tak? Więc teraz mi wyrzucasz, że nie pracuję, a przed ślubem przysięgałeś, że mnie na rękach będziesz nosił, że wszystko za mnie zrobisz, że niczego mi nie dasz dotknąć! Mama miała rację, kiedy mi gorąco to małżeństwo odradzała, bo mnie nie potrafisz zapewnić życia na stopie, do jakiej jestem przyzwyczajona!

W tym momencie w rękach żony pojawiła się chustka do nosa, co było wyraźną oznaką drugiej fazy natarcia — przez użycie gazów łzawiących. Wiedziałem, że tylko natychmiastowy odwrót może mnie uratować.

— Za granicę jak za granicę — powiedziałem, ważąc każde słowo. — Ale może by mi się udało zorganizować trochę gotówki na wyjazd lokalnie, no, powiedzmy do Bournemouth. Byłaby zawsze jakaś zmiana, odpoczęłabyś od gotowania...

Łkania żony wyraźnie straciły na gwałtowności. Wiedziałem, że kontratak poskutkował. Żona pojednawczo wsunęła mi dłoń pod ramię.

— Ale na przyszły rok — powiedziała ugodowo — pojedziemy za granicę, prawda?

Wynik tej brzemiennej w skutki rozmowy zmusił mnie do szeregu posunięć, do których nie byłbym zupeł-

nie przygotowany. Kierownik mego oddziału banku uśmiechnął się tylko z politowaniem, kiedy mu napomknąłem o możliwości pożyczki, i wymownym gestem pokazał na mój rachunek, gdzie z końcem każdego miesiąca wyraźnie figurowały czerwone cyfry. W biurze szef wypowiedział się raczej niedwuznacznie na temat nieśmiałej sugestii pobrania części gaży awansem. „Zwarował pan?” — wykrzyknął i stuknął się palcem w czoło.

„A z czego pan będzie żył po powrocie z urlopu? Trzeba było oszczędzać przez cały rok na wyjazd. Tak robią wszyscy”. Przyjaciele, którym napomknąłem o potrzebnych mi pieniądzach, zaofiarowali mi skwapliwie mnóstwo cennych rad tudzież nadmiar uwag o ciężkich czasach i kiepskiej ich sytuacji finansowej. Sytuacja w miarę upływu czasu stawała się groźna. Pensjonat na wyspie Wight (za poradą Alabastrowej, która spędziła tam ponoć przemiłe lato), był zamówiony i czas urlopu przybliżał się szybko. Dla zapewnienia sobie gwarantowanej pogody wziąłem urlop w czerwcu, w okresie turnieju tenisowego w Wimbledonie, który, jak wiadomo, zawsze odbywa się w słońcu i upale. A pieniądze na wyjazd jak nie było, tak nie było.

Już zacząłem się nosić z myślą o samobójstwie, gdy nagle niespodziewany uśmiech losu uratował moją i tak fatalnie nadszarpniętą reputację w oczach żony i przywrócił mój prestiż pana domu. Mój jedyny „Premium Bond”, kupiony kilka lat temu za funta po powzięciu nagłej decyzji o konieczności oszczędzenia, wygrał nagrodę 25-ciu funtów. Naturalnie, nie przyznałem się żonie do źródła, z którego pochodziły pieniądze. Niech myśli, że potrafię jej zapewnić wakacje bez okoliczności wyjątkowych! Moje akcje domowe wyraźnie poszły w górę. Chodziłem z dumnie podniesionym czołem i protekcyjnie chwaliłem żonę za jej wysiłki kulinarne. Były to szczęśliwe, ale krótkie czasy.

Pierwsza połowa czerwca była, jak wszystkim wiadomo, piękna. Gratulowaliśmy sobie z żoną wzajemnie umiejętnego doboru terminu i, pełni nadziei na słoneczny urlop, wyruszyliśmy w drogę.

Nie wiele pozostaje mi do dodania. Druga połowa czerwca pod względem pogody była katastrofą, zalecony nam przez Alabastrową pensjonat, okazał się ohydny dziurą o fatalnym wyżywieniu, a wygrane pieniądze wobec konieczności stałego chodzenia do kina lub kawiarni zniknęły przerażająco szybko. Żona w ogóle ze mną nie chce rozmawiać. („Gdybyśmy pojechali na Costa Brava, jak Astrachańscy, mielibyśmy prawdziwy urlop, za który warto zapłacić. A tak przez twój upór wyrzuciliśmy pieniądze w błoto — dosłownie w błoto, bo przecież w tej dziurze deszcz, naturalnie, lał bez przerwy. No, ale ty, oczywiście, zawsze wszystko wiesz lepiej!”), w biurze przyjęto mnie złośliwymi docinkami. („No, ale ty chyba urlop spędzałeś za Kolem Arktycznym, gdzie słońce w ogóle nie świeci!”), a ja myślę ze zgrozą o tym, że za rok muszę mieć pieniądze na wyjazd za granicę. W przeciwnym razie moje życie domowe legnie w ruinach. Nienawidzę urlopów!

Feliks Przebiegły

**BILETY,
SPROWADZANIE RODZIN
Z POLSKI**
**ANGLOPOL
TRAVEL**
Tel. FRE 1155
121, Earls Court Rd., London, S.W.5

CZEŚĆ POKOJOWEJ ZASŁUDZE!

Od lat się Chruszczow natęzał,
Losy świata mając w cenie,
By o powszechnym pokoju
Zrealizować marzenie.

Stwierdzał przy każdej okazji,
Że rozbrojenie — konieczne,
Bo takie różne eksplozje
Mogą się stać niebezpieczne.

Rosja też robić je musi —
Inaczej wyszłaby z wprawy —
Lecz nie jak imperialiści,
Co robią je dla zabawy.

Więc, rozbrojenia podnosząc
Niezaprzeczone zalety,
Ogłaszał stale wszem wobec:
„Pokoju pragną Sowiety”.

Cóż, kiedy zawsze, jak na złość,
Niemał że w jednej sekundzie
Te pokojowe wysiłki
Ginęły w ostatniej rundzie.

Przy konferencji genewskiej
W oku już lśniła mu łezka,
Gdy nagle z hukiem wybuchła
Straszna afera suezka,
Z której dostali podniętę
(Dziś wiemy najoczywiściej)
Poparci zaraz przez Zachód
Węgierscy imperialiści.

W Paryżu Chruszczow pokoju
W pełni natchriony był wolą,
Gdy ponad Rosją strącono
Amerykański samolot.

W Wiedniu płynęły rozmowy,
Jak przerwał stan niebezpieczny,
Aż tu w Berlinie mur wyrósł,
Przeciw faszystom konieczny.

I tak, pomimo najlepszych
Ze strony Chruszczowa chęci,
Wszystko się zawsze musiało
Na tę złą stronę przekreślić.

Serce się ludziom krajało
Od tego trudu i znoju,
W jakich pracował wódz Rosji
Dla powszechnego pokoju.

Taka szlachetność pobudek,
Taka intencja przeczysta!
A tu mu zawsze chęć dobrą
Spaskudził imperialista.

Nie więc dziwnego, że wszyscy
Czekali, oddech wstrzymawszy,
Czy mu na zjeździe moskiewskim
Los się okaże łaskawszy?

Czy życie ukoronuje
Ludzkości oddane szczerze,
Paktem rozbrojeniowym,
Który do grobu zabierze?

Rozmowy długo nie trwały
Dzięki Chruszczowu naciskom;
Dla świętej sprawy pokoju
Gotów się zgodzić na wszystko.

„Inspekcje?” — mówi — „Najchętniej!
[niej! To tylko chińska zasługa!
Niechże przyjadą choć dzisiaj!
Nie mamy nic do ukrycia.
(Kto przeciw — ten będzie wisiał!)

Pakt atlantycki” — powiada —
„Niech się z warszawskim sprzymie-
[rzy.

Pójdziemy razem z Zachodem
Entuzjastyczni i szczerzy.

Drobne różnice w teorii,
Grubsze różnice w praktyce
Rozwiąże się bez trudności
Za ileś lat — w Ameryce!

Grunt — dobra wola i chęci
Pracy dla dobra ludzkości;
Wszystko się z nimi ułoży
I wszystko musi uprościć!”

Pakt został już podpisany
I — wedle stawu jest grobla —
Chruszczow dostanie co najmniej
Nagrodę pokoju Nobla,

Jako ten mąż opatrności,
Ten zbawca naszego świata
Od wojny, w której groziła
Calej ludzkości zatrała.

Nareszcie los się uśmiechnął,
Choć z głębokiego ukrycia:
Chruszczow dotarłszy do końca
Dzielo swego całego życia.

Los się uśmiechnął? Coś więcej:
Los filuternie nam mruga,
Że całe „dzielo pokoju”,
[niej! To tylko chińska zasługa!

RAWICZ

SŁOWNIK TERMINOLOGII POLITYCZNEJ I MILITARNEJ PROF. KLEPKI LITERA „M” (część druga)

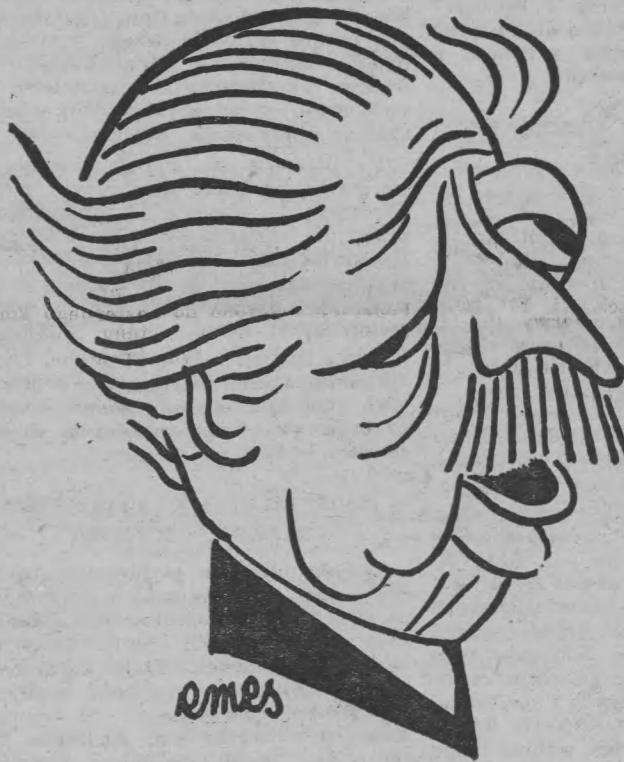
- MAŻ** — dowód, że niewolnictwo nie zostało do dzisiaj zniesione.
- MEDYCyna** — gałąź wiedzy, zapewniająca ludziom kolosalny wybór przyczyn zgonu.
- MEGALOMANIA** — cecha, w którą jesteśmy wszyscy obficie wyposażeni (całe szczęście!).
- MEMORIAŁ** — produkt, służący wyłącznie do zwiększenia produkcji papieru.
- MENTALNOŚĆ** — to samo u przeciwnika politycznego, co u nas nazywa się inteligencją.
- METAMORFOZA** — przeobrażenie zupełne i zaskakujące (por. Chruszczow jako aniołek pokoju).
- MEZALIANŚ** — małżeństwo z osobą niewłaściwą społecznie (np. arystokraty z arystokratką, zamiast z modelką).
- MILICJA** — solidny fundament każdej „demokracji ludowej”.
- MILITARNY** — przymiotnik, usprawiedliwiający najbardziej nonsensowne wydatki.
- MINISTER** — człowiek, mający minimalny wpływ na ster nawy państwowej (por. autobus, minivan etc.).
- MIT** — gospodarza opłacalność przedsiębiorstw państwowych.
- MIZANTROP** — facet, który naprawdę zna ludzi.
- MIZERYKORDIA** — średniowieczna broń, służąca do dobijania pokonanych, zastąpiona obecnie ze znacznie lepszym skutkiem przez broń atomową.
- MOBILIZACJA** — 1) tajna — genialne posunięcie, zapewniające przewagę nad niezmobilizowanym przeciwnikiem; 2) jawna ohydna prowokacja względem już zmobilizowanego wroga, który musi atakować we własnej obronie.
- MODYFIKACJA** (poważna) — niezbędne uzupełnienie praktyczne każdego międzynarodowego planu.
- MOGIŁA** — szczyt kariery żołnierskiej.
- MONUMENTALNY** — w obecnym znaczeniu: bardzo duży i bardzo brzydki (budynek).
- MOTYKA** — prymitywny pojazd międzyplanetarny (por. „z motyką na słońce”).
- MOWA** — najsilniejszy środek usypiający, nągminnie stosowany na obchodach i zebraniach politycznych.
- MUNDUR** — kostium, włożenie którego zwalnia od obowiązku myślenia.

MAŁE PRZEPOWIEDNIE DLA ZAKOCHANYCH

- IGŁA** — złamana w czasie szycia — młody człowiek myśli o szyjącej
- ZAPĄŁKI** — przypadkowo wysypane przez młodą dziewczynę — oznaczają wczesne małżeństwo. Jeśli jakieś zapąłki zostały w pudełku, każda z nich oznacza dzień, miesiąc lub rok opóźnienia.
- LASKA** — przypadkowo złamana przez młodą dziewczynę — to ostrzeżenie przed okrutnym mężem.
- NOŻYCKI** — złamana — zły omen.
- PODKOWA** — znaleziona przez dwoje zakochanych — zupełne ich szczęście w miłości.
- UKĄSZENIE**: pszczoły — namiętność, osy — niebezpieczeństwo, mrówki — kłótnie, pchły — drobne smartwienia.
- JAJKO** — przypadkowo rozbite — dąsy.

NA DWIE ZMIANY

- Zebrał popycha swą żonę na wózku.
— Nie męczy to was dobry człowieku?
— O nie, popołudniu zamieniamy się z żoną.



NIENZRUSZONY...

Jaką receptę ma Macmillan na każdy problem międzynarodowy? Jakiej odpowiedzi udziela na każde pytanie?

BRIH BILH BLY

Sprzedać, nie sprzedać — potargować można...

**RZETELNA
POMOC
Z
rzetelnych
RĄK**

Gwarancję szybkiej dostawy i właściwego towaru, starannie skontrolowanego i opakowanego dać może tylko fachowiec.

**„JESLI LEKI
TO Z APTEKI”**

Również wysyłamy do Polski i poza linię Curzona wszelkie inne towary stanowiące pomoc dla rodzin i bliskich.

M. B. GRABOWSKI

175, Draycott Avenue, London, S.W.3. England.
Tel. KENsington 0750.



Z życia Kombatantów

DODATEK ZARZĄDU GŁÓWNEGO S. P. K.

XVII ZJAZD SPK W WIELKIEJ BRYTANII

W dniach 13 i 14 lipca obradował w Londynie zjazd SPK, którego otwarcie odbyło się w sali „Ogniska Polskiego”. Kiedy wniesiono sztandar (chorąży Z. Wojnarowski z Preston, poczet: L. Bojarski — Todmorden, E. Szymczak — Kidderminster) zebrani powstał z miejsc i odśpiewali hymn narodowy.

Zebranie otworzył prezes SPK w W. Brytanii, kol. Stefan Soboniewski witał generała W. Andersa, przywódców życia politycznego w osobach gen. T. Bór-Komorowskiego, prezesów T. Bieleckiego i A. Ciołkosza, dowódców z czasów wojny m. in. generałów B. Ducha, M. Kukiela, R. Odzierzyńskiego K. Sawickiego, L. Ząbkowskiego, przedstawicieli organizacji kombatanckich, społecznych, reprezentantów władz głównych SPK oraz delegatów Kół i ich pełnomocników. Życzenia na zjazd nadesłali: ambasador Raczyński, ks. infułat Stanisławski, generałowie, prezes Zjednoczenia Polskiego w W. Brytanii P. Heciak, Związek b. Więźniów Politycznych, Zjednoczenie Polek, Towarzystwo Pomocy Polakom.

NASZ DZIEŃ POWSZEDNI

Kol. Soboniewski powiedział następnie m. in.:

Zanim zaczniemy obrady kierujemy myśli nasze ku tym naszym kolegom, którzy w ostatnim roku w liczbie 64 odeszli od nas na zawsze. Swoją chwalebą służbą w szeregach Polskich Sił Zbrojnych, a następnie pełną oddania pracą na niwie narodowej zasłużyli sobie na naszą wdzięczność. Uczcijmy ich pamięć chwilą skupienia.

Na obszarze W. Brytanii działa 101 kół SPK z ilością członków w poszczególnych kołach od kilkunastu do blisko 300. Łączna ilość członków rzeczywistych wynosiła na koniec roku sprawozdawczego 6553, czyli w porównaniu z rokiem poprzednim mamy o 371 członków więcej.

Budżet roczny zarządu SPK w W. Brytanii i Kół SPK wyniósł łącznie około 17.000 funtów. Tyle wydaliśmy w roku sprawozdawczym na tutejszym terenie na cele organizacyjno-społeczne.

25 procent kół SPK opiera swą pracę o kluby i Domy Kombatanta, w których ulokowany jest kapitał przeszło 107.000 funtów, a łącznie z Dosem Kombatanta w Londynie przeszło 150.000 funtów. Wszystkie domy są dochodowe i stanowią inwestycje społeczno-gospodarcze.

Z MYŚLĄ O PRZYSZŁOŚCI

W Stowarzyszeniu jest zarejestrowanych 50 szkół przedmiotów ojczyści, do których uczęszcza około 3000 dzieci, a uczy 200 nauczycieli. Nad stroną wychowawczą i programem czuwa referat szkolny w zarządzie i 10 inspektorów szkolnych poza Londynem.

W oparciu o pomoc organizacyjną i finansową SPK — Związek Polskich Klubów Sportowych rozwija skuteczną działalność wśród młodego pokolenia. Zapoczątkowana w r. 1960 akcja organizowania klubów i drużyn młodzików była bardzo szczęśliwym poczynieniem. Dziś już działa około 30 takich klubów, niektóre z nich mają po 100 członków. Spotykają się oni ze swymi rówieśnikami w czasie mistrzostw w różnych dziedzinach sportu, który jest jednym z najlepszych środków wiązania młodego pokolenia z polskością. Z młodym pokoleniem wiążemy nasze nadzieje, gdyż wychowują się następcy, którzy będą prowadzić nadal pracę narodową, pracę niepodległościową.

SPRAWY OPIEKI SPOŁECZNEJ

Dział opieki społecznej wybija się na czoło w ostatnich latach zarówno w pracy kół jak i centrali. W ostatnim roku mamy do zanotowania akcję pomocy dla najbardziej jej potrzebujących w ramach funduszu 50.000 funtów przyznanych przez rząd brytyjski. Do Kombatanckiego Komitetu Rozdzielczego Pomocy Społecznej wpłynęło przeszło 2500 podań, z czego 70

proc. nadesłano za pośrednictwem kół SPK.

Rozszerza się również dział usługowy SPK: przez Biuro Zatrudnienia, Biuro Porad i Tłumaczeń w samej centrali przesuwają się kilka tysięcy klientów rocznie a poszczególne koła rozwijają intensywną działalność w tej dziedzinie oddając poważne usługi społeczności polskiej.

WALCZYMY Z TRUDNOŚCIAMI

„Zdajemy sobie sprawę z licznych trudności, które musimy przezwyciężyć. Mam na myśli coraz jaskrawsze usiłowania reżimu i jego agentur osłabienia woli uchodźstwa w walce o cele polityczne dla Polski. Usiłowaniami tym służy wiele środków oddziaływania, że wspomnę tylko prasę, filmy, bezpośrednie kontakty z ludźmi, organizacje w rodzaju Stowarzyszenia Obrony Odry i Nysy. „Tysiąclecie”. Metodą ich jest m.in. wykorzystywanie patriotyzmu i zrozumięcia sentymentu rodaków do kraju ojczystego. Zwalczamy tę kreację robotę i chyba ze skutkiem, ale walka trwa i dlatego bijemy dziś na alarm zwracając się zwłaszcza do polskiej prasy niepodległościowej z prośbą o pomoc.

„Jako zorganizowany trzon emigracji politycznej w W. Brytanii — my kombatanci jesteśmy i będziemy wszędzie tam, gdzie idzie o dobro sprawy polskiej. Gdzie idzie o Polskę, o jej wolność i niepodległość.

PRZEMÓWIENIE GENERAŁA ANDERSA

Następnie powitał zjazd i życzył zebranym pomyślnych obrad generał Władysław Anders. Obszerne wyjątki z tego przemówienia i streszczenie zamieszczone już były w numerze 29 „Orła Białego” z dnia 18 lipca 1963 r.

ZYCZENIA OD FEDERACJI ŚWIATOWEJ SPK

W imieniu władz głównych Federacji Światowej SPK powitał delegatów prezes Zarządu Głównego kol. Karol Ziemiński przypominając:

„Dzisiejszy zjazd największego z ogniw krajowych, jakim jest SPK W. Brytanii, jest tym ważniejszy, że za ledwie o kilka miesięcy wyprzedza Światowy Zjazd SPK, który został zwołany na początek listopada tego roku. Niezależnie więc od rozpatrywania swoich bardzo licznych i na pewno ważnych spraw dotyczących W. Brytanii, będą kolejdy musieli wybrać delegatów na ten zjazd oraz zastanowić się nad wnioskami, które chcielibyście, aby były tematem obrad i uchwał obowiązujących całość naszego Stowarzyszenia”.

Z kolei kol. Ziemiński podał najważniejsze informacje dotyczące 22 ogniw SPK zrzeszonych w Federacji Światowej, a następnie powiedział: „Nasze Stowarzyszenie jest na pewno jedyną zorganizowaną siłą społeczną w skali światowej. Reprezentujemy i broniemy interesów nie tylko własnych członków lecz i uchodźców polskich jako całości.

Mówiąc o samodzielności poszczególnych ogniw Federacji i powiązaniach statutowych — kol. Ziemiński stwierdził: „Główną jednak spójnią jest wysokie poczucie koleżeństwa żołnierskiego oraz nasza wspólna idea i cel pozostania na obczyźnie: praca i walka o pełną wolność i niepodległość Ojczyzny. Od zarania istnienia t.j. od 17 lat mimo różnych niesprzyjających okoliczności, nieraz dużych trudności, SPK wychodzi obronną ręką i przedstawia jednolitą masę, która, wierze, przetrwa nadal nieosłabiona, dążąca konsekwentnie do wspólnego celu.

Cieszyłobyśmy się bardzo, gdyby i na odcinku politycznym życia naszej emigracji zapanowała jedność”.

SPRAWNE OBRADY PIERWSZEGO DNIA

Po inauguracji wybrano prezydium zjazdu. Przewodniczącym został kol. Z. Szadkowski (Londyn). Na asesorów

wybrano: S. Mgleja (Edynburg) i T. Lena (Dunfermline); na sekretarzy: L. Bojczuka (Londyn), W. Kippa (Bradford). Protokolantem był red. A. Adler.

Zjazd wysłuchał uzupełniającego sprawozdania zarządu (kol. S. Soboniewski, Komisji Rewizyjnej (przew. Z. Szadkowski), Sądu Koleżeńkiego (przew. W. Biesiada). Informacji w sprawie sytuacji finansowej całego Stowarzyszenia udzielił kol. S. Wąsik, wiceprezes zarządu Federacji Światowej, po czym przystąpiono do dyskusji, która wypełniła czas do godziny 18.30 (z przerwą obiadową) i zakończyła się uchwaleniem wniosku o udzielenie ustępującemu zarządowi absolutorium z podziękowaniem.

Zjazd był lepiej obsesany niż inne w ostatnich czasach. Na 101 kół w W. Brytanii — 93 ognia dopełniły obowiązków statutowych (opłaty składki, dokonały walnych zebrań) i miały prawo do wysłania 117 delegatów. Większość z nich przybyła osobiście, inni przekazali swoje uprawnienia innym delegatom lub innym członkom Kół. Weryfikacja mandatów nie nastąpiła większych trudności; do komisji odwoławczej wpłynęły 4 sprawy, z czego 3 zatwierdzono po myśli odwołujących się Kół.

W dyskusji nad sprawozdaniami zabierało głos 32 delegatów. Toczyła się ona bardzo sprawnie przede wszystkim dzięki dyscyplinie przemawiających, którzy przestrzegali oznaczonego limitu czasu (5 minut) i unikali powtarzania argumentów przedmówców.

Po przerwie na kolację przeniesiono obrady do Domu Kombatanta, gdzie pracowały komisje: programowa (przew. E. Kozakiewicz — Bradford), finansowa (A. Olinkiewicz — Coventry), statutowa (W. Biesiada — Bradford). Kol. Biesiada był również przewodniczącym komisji-matki.

Prace komisji były intensywne, trwały jednak krócej, niż w czasie poprzednich zjazdów z wyjątkiem komisji programowej, która zakończyła obrady dopiero o 2.30 po północy.

PROBLEMATYKA, ATMOSFERA ZJAZDU, WYBORY

Obrady plenarne w niedzielę rozpoczęły się od sprawozdań przewodniczących komisji statutowej i finansowej i uchwalania przedstawionych wniosków. O godz. 11.30 zarządzone przerwy i uczestnicy zjazdu udali się specjalnymi autobusami do nowego kościoła polskiego św. Andrzeja Boboli. Mszę świętą za dusze zmarłych oraz na uproszenie błogosławieństwa bożego dla żyjących członków SPK odprawił proboszcz ks. Kazimierz Solowej.

Po wznowieniu obrad przedyskutowano wnioski komisji programowej, przeprowadzono wybory władz i delegatów na walny zjazd SPK i wyczerpano resztę porządku dziennego.

Niewątpliwie największej uwagi — zwłaszcza w pierwszym dniu — poświęcono młodzieży. Podkreślono z uznaniem duże wyniki jeśli idzie o dotychczasowe prace w tej dziedzinie, szczególnie zorganizowanie życia sportowego, które rozwija się doskonale; zwrócono jednak uwagę, że po tak pomyślnym początku musi przyjąć również dobry ciąg dalszy, przy czym należy objąć również życie kulturalno-oświatowe i towarzyskie młodzieży. Niektóre koła już weszły na tę drogę organizując świetlice lub lokale klubowe, podkreślono jednak, iż to dopiero początek i każdy Dom Kombatanta powinien postarać się o odpowiednie pomieszczenie dla młodzieży.

Zwrócono równocześnie uwagę na potrzebę opracowania regulaminu klubów młodzieży oraz ramowego programu pracy. Zagadnienie wyszukiwania i wyszkolenia działaczy społecznych, instruktorów — wymaga wielkiego wysiłku i współdziałania wszystkich organizacji zajmujących się pracą wśród młodzieży.

W związku ze sprawą młodzieży mówiono o udziale kobiet w pracy SPK, podkreślono doskonałe wyniki osiągnięte przez sekcje pań w kilku ko-

łach, mówiono o konieczności uwzględnienia jeszcze w szerszej mierze, niż dzieje się to obecnie, czynnika opieki „macierzyńskiej”, rzucano sugestie, aby w przyszłości do zarządu SPK w W. Brytanii wchodziła kobieta.

Spora uwagi poświęcono sprawie opieki społecznej omawiając m. in. zagadnienie zapomóg z funduszu 50.000 funtów przyznanych przez rząd brytyjski, potrzebę powiększenia tej kwoty i rozszerzenia zapomóg na inne kategorie osób, przede wszystkim na wdowy po żołnierzach.

Jakkolwiek zarówno w komisjach jak i na plenum dyskusja była bardzo żywa, szczerza, niekiedy nawet „gorąca” prowadzono ją rzeczowo i w atmosferze koleżeńskiej. Wnioski natury ogólnoojczyściowej, po uzgodnieniu poglądów przyjęto jednogłośnie.

Mówiono również o próbach penetracji agentur reżimowych i środkach zaradczych podejmując odpowiednią uchwałę. Zwrócono uwagę na potrzebę gromadzenia i udostępniania kołom materiałowi do zwalczania rewizjonizmu niemieckiego, poruszono także sprawę prostowania krzywdujących sądów o Polsce i Polakach wypowiedzianych w prasie lub audycjach telewizyjnych.

WŁADZE SPK W W. BRYTANII

W wyniku wyborów prezesem SPK w W. Brytanii został wybrany Stefan Soboniewski; wiceprezisi Stefan Brewka i Jan Wawrzekiewicz, sekretarz Tadeusz Krasoń, członkowie: Czesław Czaplinski, Stanisław Kaczmarczyk, Ryszard Kaczorowski, Marian Siewinski, Ryszard Zakrzewski.

Komisja Rewizyjna: Zygmunt Szadkowski — przewodniczący; członkowie: Władysław Brodnicki, Augustyn Czank, Tadeusz Dela (Oxford), Jerzy Guze (Derby), Otto Marcinek, Jan Kazimierski, Wacław Krassowski (Enfield), Roman Surawski (Slough).

Sąd Koleżeński: Władysław Biesiada (Bradford), Jerzy Bryliński, Antoni Fedyk (Nottingham), Stanisław Kmiecik, Wacław Kipp (Bradford), Władysław Sikorski, Gustaw Żeromski (Bradford); zastępcy: Tadeusz Len (Dunfermline-Szkocja), Jerzy Knothe, Władysław Pawlik (Manchester), Stanisław Wisłocki (Scunthorpe), Zdzisław Wojnarowski (Preston).

DELEGACI NA VII ŚWIATOWY ZJAZD SPK:

1) Stefan Brewka, 2) Mieczysław Brodziński (Glasgow), 3) Bogumił Domański, 4) Stanisław Kaczmarczyk, 5) Eugeniusz Kozakiewicz (Bradford), 6) Tadeusz Krasoń, 7) Stanisław Mglej (Edynburg), 8) Stefan Soboniewski, 9) Zygmunt Szadkowski, 10) Jan Wawrzekiewicz, 11) Stanisław Wąsik, 12) Stanisław Wisłocki (Scunthorpe), 13) Zdzisław Wojnarowski (Preston), 14) Jarosław Żaba (Manchester).

Zastępcy delegatów: Marcin Czecho-wicz (Bradford), Antoni Fedyk (Nottingham), Jerzy Guze (Derby), Władysław Kraszkiewicz (Bridgwater), Stanisław Maj (Edynburg), Jan Śniechowski (Ipswich), Ksawery Wojciechowski (Manchester).

UCHWAŁY ZJAZDU SPK W W. BRYTANII W SPRAWIE GRANIC

XVII Walny Zjazd SPK w W. Brytanii stwierdza, że zachodnia granica Polski na Odrze i Nysie Łużyckiej jest granicą słuszną i uzasadnioną zarówno politycznie jak i historycznie. Stanowisko to popierają wszyscy Polacy w kraju i zagranicą.

Zjazd SPK w W. Brytanii stwierdza, że na wschodzie granica ustalona w Traktacie Ryskim musi być granicą państwa polskiego.

W SPRAWIE REPREZENTACJI POLITYCZNEJ

XVII Zjazd SPK w W. Brytanii stwierdza, iż społeczeństwo polskie na emigracji głęboko odczuwa brak zgody narodowej.

Stowarzyszenie Polskich Kombatantów skupiając w swoich szeregach najliczniejsze rzesze Polaków różnych przekonań — apeluje do wszystkich ośrodków politycznych o wyłonienie jednego kierownictwa emigracyjnego.

Jest to najpilniejsze zadanie, jakie stoi przed wszystkimi polskimi ośrodkami niepodległościowymi na emigracji.

FUNDUSZE NA DZIAŁALNOŚĆ NIEPODLEGŁOŚCIOWĄ

Zjazd SPK w W. Brytanii zwraca się z apelem do zarządów wszystkich

Kół SPK i ich członków o czynne poparcie i włączenie się do akcji podejmowanych na cele funduszy przedawnionych na działalność niepodległościową.

W tej formie będziemy mogli najskuteczniej wesprzeć walkę, którą podjęliśmy z bronią w rękę w r. 1939 w obronie wolności i niepodległości Polski.

W SPRAWIE MŁODEGO POKOLENIA

Jednym z najważniejszych problemów emigracyjnych jest wychowanie młodego pokolenia w duchu polskim. Młodzież urodzona na wychodźstwie lub przybyła w dzieciństwie do kraju osiedlenia rodziców rośnie pod stałym naciskiem niepolskiego otoczenia oraz pobierania wykształcenia w języku obcym.

Zasady języka ojczystego i polskiego poczucia narodowego otrzymuje w domu rodzinnym i w szkole przedmiotów ojczyści; z chwilą jednak opuszczenia szkoły i wzrastającej w tym okresie życia tendencji szukania zainteresowań poza domem rodzicielskim młodzież wchodzi w okres krytyczny, mogący decydować o utrzymaniu polskiego poczucia narodowego lub jego zatraceniu.

W tym okresie zorganizowane społeczeństwo musi przyjść z pomocą rodzicom i stworzyć warunki kontynuowania pracy religijno-wychowawczej i narodowej wśród młodzieży oraz warunki kontynuowania pracy religijno-wychowawczej i narodowej wśród młodzieży oraz warunki jej wyzycia się w dziedzinie kulturalno-artystycznej, sportowej i rozrywkowej w polskich organizacjach młodzieżowych we współpracy ze środowiskiem starszych.

Różne takie organizacje już istnieją i rozwijają się. Również SPK ma już znaczny dorobek w dziedzinie pracy z młodzieżą, lecz daleko jeszcze do tego, aby cała młodzież była tą pracą objęta. Zjazd poleca zarządowi SPK w W. Brytanii i kołom:

1. Zwiększenie wysiłku w inicjowaniu i popieraniu organizowania stowarzyszeń i kół młodzieży o charakterze najodpowiedniejszym dla danego ośrodka polskiego.

2. Kontynuowanie i zacieśnianie współpracy ze Związkiem Harcerstwa Polskiego, Związkiem Polskich Klubów Sportowych oraz organizacjami społecznymi i instytucjami zajmującymi się pracą religijną i narodową wśród młodzieży.

ROZNICZNE WOJENNE

W roku 1964 upłynie lat 25 od wybuchu 2-giej wojny światowej a lat 20 od walk żołnierza polskiego w kraju i poza granicami kraju. Rocznie te należy uczcić obchodami i uroczystościami we wszystkich ośrodkach polskich oraz pielgrzymkami na pola walk i cmentarze żołnierskie.

Zjazd zaleca zarządowi SPK w W. Brytanii wzięcie udziału w pracach ogólnego Komitetu obchodu, opracowanie odpowiedniego programu uroczystości w W. Brytanii, a do Kół apeluje, aby w pełni wykorzystywały wychowawcze w stosunku do rodaków, a propagandowe w stosunku do gospodarzy znaczenie tych rocznic i dołożyły specjalnych starań, aby pielgrzymka na pola bitew, a zwłaszcza do Włoch na 20-lecie bitwy o Monte Cassino, organizowana przez nasze Stowarzyszenie wypadła ja najlepiej.

PODZIĘKOWANIE

XVII Zjazd SPK w W. Brytanii wyraża podziękowanie władzom brytyjskim i British Legion za pomoc finansową umożliwiającą wypłatę zapomóg dla członków Polskich Sił zbrojnych najbardziej potrzebujących pomocy.

GENERAL K. WIŚNIEWSKI GOŚCIEM SPK W STANACH ZJEDNOCZONYCH

Generał Kazimierz Wiśniowski, b. szef sztabu 2 Korpusu, członek honorowy naszego Stowarzyszenia udaje się w dniu 15. 8. do Stanów Zjednoczonych na zaproszenie tamtejszych władz głównych SPK.

Generał Wiśniowski weźmie udział w obchodzie Święta Żołnierza w Nowym Jorku w dniu 18 sierpnia, gdzie będzie reprezentował władze główne Federacji Światowej SPK.

W dniach od 31 sierpnia do 2 września weźmie udział w Piątym Zjeździe delegatów Kół SPK w Chicago, gdzie będzie reprezentował władze główne Federacji Światowej SPK.

Gdy następnego dnia oglądałem pole bitwy, widziałem jeszcze w gąszczu niepochowane trupy. Z kieszeni jakiegoś Moskala wyjęliśmy paczkę opium. Po całym lesie rozrzucone były rękawiczki, buty, butelki, chleb, kubki, płaszcze, bielizna, drewniane łyżki, a drzewa były zupełnie połamane i pocięte na kawałki kulami armatnimi, kartażami i pociskami karabinowymi. Szczególnie w środku obozu w pobliżu szałasu generała, gdzie spędziłem dwie noce, drzewa były dosłownie sproszkowane na atomy. Wieczorem w przeddzień bitwy większość okolicznych ziemian skorzystała z tego, że obóz rozłożony był na samej granicy austriackiej i przybyła z wizytami. To samo uczynili liczni oficerowie austriacy a pewna ilość ryzykanckich Żydów przedarła się także w gąszcz leśny z wszelkiego rodzaju towarami i handlowała nimi, korzystnie wyzyskując tak zasłużoną wyjątkową okazję.

W ogóle w obozie panowało ogromne ożywienie, a „uczty” tego dnia były tak wspaniałe, że czasem wesołość stawała się zbyt wielką. Na szczęście w ciągu dnia różnymi sposobami przeszmuglowano do obozu około 20.000 naboju: w czasie pozornej beztroski szła także poważna praca. Straszne jutro nastąpiło po tym słonecznym dniu i gdyby nie przybycie na czas tej amunicji oddział Jeziorańskiego byłby beznadziejnie zniesiony.

Gdy następnego dnia przybyłem do obozu, sytuacja powstańców była nad wyraz krytyczna. Z piechotą liczącą zaledwie 230 walczących i ze 100 kawalerzystami (bardzo mało użytecznymi w lasach) Jeziorański w każdej chwili oczekiwał ponowienia wczorajszego natarcia. Piechotę rozproszone kompaniami w lesie, aby ukryć jej słabość licząc przed nieprzyjacielem i przed samymi żołnierzami. Generał nie miał wątpliwości czy zdoła się utrzymać w razie nowego ataku. W ciągu dnia zjawili się około trzydziestu nowych ochotników, więc sytuacja poprawiła się nieco.

O zachodzie słońca towarzyszyłem generałowi Waligórkowskiemu w rekonesansie w kierunku skąd wczoraj przyszedł nieprzyjaciel, lecz niczyjej obecności nie stwierdziliśmy. Był to piękny wieczór, powietrze w lasach balsamiczne, a kukułki i turkawki wydawały się całkiem nieświadome, że ich śpiewy w każdej chwili mogą być pochłonięte przez zgłębienie bitwy.

Na naradzie wojennej odbytej z udziałem Jeziorańskiego, Waligórkowskiego, Śmiechowskiego i Lelewela postanowiono z zapadnięciem nocy opuścić obecne stanowiska i maszerować na zachód w nadziei spotkania oddziału Czerwińskiego, o którym było wiadome, że znajduje się w okolicy. Niezależnie od zasadniczej konieczności wymknięcia się Rosjanom sytuacja powstańców stawała się z godziny na godzinę coraz gorsza z powodu wyziewów okropnego powietrza idących od bagien, gdzie rozkładały się trupy ludzi i koni. O godzinie dziesiątej, generał nakazał rozpalenie ognisk we wszystkich kierunkach, po czym dał rozkaz marszu.

Od zachodu słońca do godziny dziesiątej trzy razy podnoszono alarm, że nieprzyjaciel nadchodzi. Byłem właśnie przy Jeziorańskim, gdy z wielokrotnionymi leśnymi echemi salwy poderwały go w najwyższym niepokoju: widziałem, że podejrzewał zdradę. Bo gdyby Rosjanie dowiedzieli się o zamiarze wycofania oddziału i zarządzili pościg, sprawa przedstawiałaby się rozpaczliwie. Mając tak nieregularne wojsko trudno było myśleć o porządnym szyku marszowym, choć zamieszanie okazało się znacznie mniejsze niż oczekiwano. Noc była jasna, gwiazdzista, a kiedy zjawił się księżyc rzucając swe światło na część maszerującej kolumny, gdy reszta pozostawała w mroku, obraz tak przypominał te efekty, jakimi rozkoszował się Rembrandt, że zdawało mi się przeżywać jedno z jego arcydzieł. Generał jechał na czele ze swoim sztabem, po nim maszerował batalion piechoty z czterdziestoma ułanami w ariergardzie. Po nich następował drugi batalion

W. H. Bullock

DOŚWIADCZENIA POLSKIE W CZASIE POWSTANIA 1863-4

(LONDON & CAMBRIDGE, MACMILLAN & Co. 1864)

Przełożył Janusz Jasińczyk

piechoty, kawaleria kozacka i około pół tuzina furgonów eskortowanych przez saperów, którzy zamykali pochód.

Około północy opuściłem maszerujące szeregi i wyszedłem z lasu ruszyłem na przelaj przez pola do Lublińca, gdzie zostawiłem mój bagaż. Na samym skraju lasu spostrzegłem ognisko obozowe, co do którego miałem duże wątpliwości, czy należy do patrolu rosyjskiego czy też austriackiego. Nie zależało mi na rozwiązaniu tej wątpliwości, którą może wyjaśniliby po powrocie mieszkańcy pobliskiej opuszczonej chatki, skręciłem więc na południe, odnajdując kierunek jedynie według Gwiazdy Polarnej. Przystudiowałem starannie mapę tej okolicy i po półtorej godziny marszu, w czasie którego nie spotkałem żywej duszy, udało mi się znaleźć dwór barona Brunickiego, gdzie spędziłem resztę nocy. Następnego ranka odwiedziłem rannych, którzy w liczbie sześćdziesięciu byli pomieszczani w szpitalu i po domach prywatnych w małym miasteczku Cieszanowie. Gdy przechodziliśmy koło kościoła czyniono przygotowania do pogrzebu wielu tych, co już poumierali z ran.

W jednym z domów urządzono kaplicę prywatną w pokoju, w którym wśród kwiatów spoczywały zwłoki młodego hrabiego Tyszkiewicza. Nie prędko zapomnę spokojny i piękny wyraz tej twarzy, na której nie pozostał najmniejszy ślad bólu konania. W sąsiednim domu spoczywał w agonii inny młody człowiek, z którym rozmawiałem jeszcze przed dwoma dniami. Otrzymałszy postrzał w płuca nie mógł znieść pozycji leżącej, ułożono go więc w fotelu. Powiedziano mi, że skonała lada chwila.

Bitwa w dniu 6 maja odbywała się wręcz — w bezpośrednim starciu z wrogiem, toteż prawie wszyscy leżący w Cieszanowie ranni odnieśli ciężkie obrażenia. Wielu z nich pomarło. Wśród rannych wielu nie posiadało tu żadnych bliskich ani pieniędzy, a miasteczko, takie jak Cieszanów, nie wiele mogło im materialnie pomóc. Tam właśnie znacznie pożyteczniej możnaby użyć funduszy zbieranych w Anglii, zamiast w Krakowie, gdzie najzmniejsi obywatele współzawodniczyli pomiędzy sobą w opiece nad rannymi.

Po moim powrocie do Cewkowa położonego o trzy mile od granicy rosyjskiej i około dziesięciu od Tarnobrodu dowiedziałem się, że otrzymane w drodze wiadomości o zaskoczeniu Jeziorańskiego przez Rosjan w marszu były nieprawdziwe i że oddział jego obozuje o małą godzinę drogi od dworu, w którym się zatrzymałem. Ci dobrzy ludzie czynili właśnie nadzwyczajne przygotowania do zaopatrzenia obozu we wszelką możliwą prowizję i wszystkie pojazdy w okolicy zostały użyte do tego celu. Chleb, mięso, siano, owies, amunicja, ochotnicy — to wszystko aż do zapadnięcia nocy płynęło do obozu, po czym Jeziorański zwinął go i ruszył w kierunku Tarnobrodu.

Pozostawanie nadal w pobliżu granicy austriackiej miało swoje niekorzystne strony, bo poprzez granicę mogli się zawsze wycofywać ludzie słabszego serca. Ale ponieważ tylko z Galicji czerpano amunicję, po takiej bitwie jak z 6-go maja, gdy każdy powstaniec wystrzelił co najmniej trzydzieści naboju, absolutną koniecznością było

20) pozostawanie w pobliżu granicy, do czasu otrzymania nowych dostaw amunicji,

Przez całą noc zmierzali także do oddziału nowi powstańcy, a następnego dnia na mej trasie, dwudziestu pięciu mil, prawie w każdej wiosce spotykałem ochotników pośpieszających na front. Jeden z moich znajomych, którego spotkałem po drodze, radził mi abym uważał na siebie, bo władze austriackie są na moim śladzie. Dodał też, że straża czekają by aresztować mnie przy przeprawie przez San. Wiedząc, że Austriacy nie mają żadnych skrupułów w otwieraniu podejrzanych listów, pomyślałem sobie oczywiście, że w moim znaleźli nieprzyjemne dla siebie prawdy o swej podłej polityce siania niezgody pomiędzy ziemianami i chłopami. Mając to na względzie, na jakie pół mili przed celem mojej jazdy, zatrzymałem się w klasztorze i posłałem gońca, by się przekonał czy mogę bezpiecznie kontynuować podróż.

W międzyczasie byłem jak najgościnniej podejmowany przez matkę przełożoną i przez kapelana klasztoru. Podróżowanie po nieznanym kraju ma tę wielką zaletę, że wszędzie obcy jest przedmiotem zaciekawienia i dlatego traktuje się go wyjątkowo, jeśli nawet nie natknie się na gościnność, co w Polsce jest rzeczą bardzo rzadką. Tak jak my przyglądaliśmy się ciekawie owym japońskim ambasadorom w czasie Wielkiej Wystawy londyńskiej i uważaliśmy ich za interesujących ludzi dlatego że byli odmienni i ciekawie ubrani, podobnie Anglik wywołuje w Polsce analogiczne zainteresowanie. Dobre siostrzyczki miłosierdzia wykazały niezwykle zainteresowanie moim losem, a przy pożegnaniu ofiarowały mi mały szkaplerz z Matką Boską do powieszenia na szyi, zapewniając, że uchroni mnie od wszelkich niebezpieczeństw.

Otrzymałszy wiadomość, że niczego nie potrzebuję się obawiać ze strony władz ruszyłem w dalszą drogę, a po przybyciu na miejsce dowiedziałem się o bezpodstawności całego tego alarmu. Okazało się po prostu, że naczelnik powiatowy z Radymna, skąd wysłałem depeszę o bitwie do Londynu, był zaniepokojony tym bezprzykładnym wydarzeniem i wysłał kilku swoich urzędników, by się coś więcej dowiedzieli o podejrzanym cudzoziemcu.

Od naocznego świadka dowiedziałem się także, że najazutrz po odrocie Jeziorańskiego Rosjanie, podejrzewając że znajduje się jeszcze na poprzednim miejscu, otoczyli cały obóz bardzo silnymi oddziałami i zasypali go huraganowym ogniem. Przez półtorej godziny było słychać kanonadę, po czym nieprzyjaciel zapewne przekonał się o uleceniu ptaszka.

ROZDZIAŁ X.

L W Ó W

W dniu 19 kwietnia wyruszyłem z Krakowa, a 11 maja, czyli po 23 dniach przybyłem do Lwowa, odległego w linii powietrznej o jakieś 210 mil, wzdłuż linii kolejowej około 240 mil. Ponieważ nie podróżowałem bynajmniej w linii powietrznej ani wzdłuż kolei, lecz zygakiem wzdłuż granicy rosyjskiej odwiedzając po drodze wszystko co było godne widzenia, mój dystans musiał się zwiększyć do jakichś 350 mil. Po przeszło trzytygodniowej podróży, w czasie której musiałem się kontentować bardzo nikłym zapasem czystej bielizny — tym co się mieściło w kaburach mojej kulbaki — nie zmartwiłem się wcale powrotem do cywilizacji i czystych koszul, zwłaszcza że mój cięższy bagaż przybył przede mną do Lwowa. Nie wiem jak się czują inni podróżni, ale ja osobiście czuję się zawsze jak w domu tam, gdzie wysłany został przodem mój kufer — jak gdyby dla przygotowania mi kwatery. Cóż to za radość wymyć się porządnie i zmienić ubranie, gdy się przybywa zmęczonym i zakurczonym od stóp do głów po miesięcznym noszeniu tego samego ubrania!

(Ciąg dalszy nastąpi)

STEFAN LEGEŻYŃSKI

SZCZĘŚCIE

Pantoflarze to chyba najmiłszy rodzaj mężczyzny. To są najlepsi koledzy. Czasem cię jego Żabusia ukuje poprzez niego, ale to można przyjacielowi wybaczyć. Trzeba ludziom wybacząć. Proszę mi wybacząć herezję (jeśli to herezja), ale uważam, że nie wszystkie kobiety myślą.

Ale to wszystko wstęp. Rzecz zasadnicza teraz. Manius-Anatol-Aleksander, trojga imion, nazwisko zbędne, przed 39 r. jednostka statystyczna, w

czasie wojny wschodząca gwiazda, obecnie człowiek szczęśliwy. Szczęście osiągnął przybywszy tutaj. Witamy się i idziemy na zimne piwo. Pub na krańcach Soho, towarzystwo nawet eleganckie, ale dziwne. Kobiety wyglądają na artystki albo dziennikarki. Piją piwo z koniakiem lub aspiryną. Manius opowiada mi o sobie. Mogę tego słuchać godzinami. Takie fascynujące. Tylko otwiera rano oczy, żona przynosi śniadanie, wprost do łóż-

ka. Pies (specjalnie uczone) przynosi gazetę, następnie pocztę. O 10-tej za-jeżdża po niego szofer. Pół do 11-tej jest w biurze. Sekretarka referuje sprawy do 11-tej, by o tej godzinie podać kawę i likier. Ciastka i kanapki. Od 12-tej „ostre” urzędowanie. O 1-szej obiad, który spędzamy w gronie starych kolegów wojskowych, prze-ciąga się do 3-jej. Od tej godziny „ostre” urzędowanie do 3.30, kiedy to przerwa na „tea”. Od 4-tej podpisy-wanie tego co referenci przygotowali. O 4.30 szofer zabiera Maniusia do jego olbrzymiej willi na Ealingu. Tu kąpiel i krótka drzemka do 6.30. O 7-jej wyjazd do kina albo do teatru, kolacja na mieście, i o 10.30 łóżecz-ko, aby nabrać sił do pracy.

Tak wygląda dzień powszedni Maniusia. W święta (od piątku wieczorem do niedzieli wieczór) wyjazd do wuja żony, do jego pałacu w Midlandach, gdzie ma staruszek kilka śred-niej wielkości fabryczek. Tam tele-wizja, objazd pubów okolicznych (słyn-nych z piękności, styl królowej Anny), polowanie, i dużo witamin zaprawia-nych koniakiem. Dla odmiany wyjazd na kontyent, program takiego pobytu jest na ogół znany, więc go nie war-to powtarzać. W zimie mogą go zastać w willi w Monaco, o ile żona nie za-ciągnie go do siostry na Majorce, któ-

ra tam stale mieszka, bo nie znosi klimatu wyspy (oczywiście tutejszej bo Majorca choć wyspa, to jakoś jej do gustu przypadła).

Dawniej wyjeżdżali corocznie do E-giptu albo Grecji, ale ostatnio naj-wyżej do Marokka. Żona na wszelki wypadek (atomowy) nawiązała prze-rwany kontakt z ciotką w Toronto, która ma tam kantor wymiany i właśnie wybierają się tam za dzień, dwa...

Manius w miarę opowiadania rósł w mych oczach. Wyjrzałem też dwa czy trzy razy przez drzwi pubu, czy nie kręci się tam jego szofer, ale nie dostrzegłem nikogo. Za to wbiegło dwu na biało ubranych panów, którzy przystanęli tuż przy Maniusiu. Manius uśmiechnął się do mnie, a do nich powiedział: Już idę tylko muszę piwo dopić.

I dopił piwo.

WSZELKIE PRACE DRUKARSKIE
wykonujeGRYP PRINTERS
171 Battersea Church Rd., S.W.11
Telefon: :: BATTERSEA 0879MATERIAŁY, LEKARSTWA, ŻYWNOŚĆ
najszybciej, najkorzystniej, najlepiej

wyślesz przez

P. C. STORES
S. BREWKA18, Queens Gate Terrace, London, S.W.7.
Tel.: KNI 0747

Spotkałem Wiesława Strzałkowskiego. Poszliśmy na piwo. Opowiadał mi Wiesław, chyba jeden z najprzyjemniejszych ludzi świata, że rozmawiał ostatnio z profesorem Tatariewiczem. Profesor mówił mu, że jego książka „o szczęściu” zrobiła furorę. Jednocześnie radził, by Wiesław napisał książkę o innym zagadnieniu, np. „o nicości”.

Odradzałem memu przyjacielowi, Temat o nicości nie będzie kasowy. Ludzie szukają szczęścia, boją się zaś nicości. Poza tym mam przekonanie, że ani nie ma szczęścia, ani nie ma nicości. Jest zaś wieczne istnienie w różnych formach.

Co nie znaczy, by nie było ludzi szczęśliwych. Są! Takim wspaniałym szczęśliwym jest na przykład Zenon, gdy patrzy na żonę (a jest na co patrzeć, tyle tego). Miałem go za krętacza, ale nie, on jest szczęśliwy naprawdę. Jego raj jest na ziemi, choć kogoś innego szlak by trafił. Ona nie umie nic, poza malowaniem własnej twarzy. Zenon gotuje (nawet nabrał w tym wprawę), pierze (obecnie nie taka sztuka, gdy są pralnie na każdym rogu Londynu), ścieli, zamiatą, pielęgnuje chorą (baba jak stodoła, ale stale leży w łóżku, bo chora).

MIĘDZY PLOTKĄ...

Autor podaje, że 15 p. ulanów poznańskich miał konie maści jednolitej.

(Dokończenie ze str. 9)

wodu dowodowego, że pod pokrywą urody, zalotności i dziewczęcej naiwności, kryły w sobie małe i twarde serca, pełne zimnego wyrachowania.

Ward nie wytrzymał nerwowo. Kim był naprawdę i jaką spełniał rolę w życiu towarzyskim a może i politycznym Anglii? Trudno dociec. Nie wydaje się jednak by nie go nie interesowało poza osteopatią i zabawą ze zmieniającym się harem panienek różnej proweniencji. Może pod tą hulacząco-rozpustną powłoką kryło się coś więcej? W pożegnalnych listach Ward stwierdził, że ci na których pomoc liczył, nie zjawili się w sądzie. Tłumaczenie najprostsze: nie chcieli, ratując własną skórę i własne „dobre” imię. Nie zawsze jednak najprostsze tłumaczenie jest najbliższe prawdy; kto wie, czy zamiast „nie chcieli pomóc Wardowi” nie należałoby powiedzieć „nie mogli mu pomóc”.

„Izwestia” o Rachmanie

W numerze z 1 sierpnia p. W. Osipow, specjalny korespondent „Izwestii” w Londynie ogłosił artykuł pt. „Umierli Pitiur Rachman?”. Tytuł sensacyjny, prawie jak tytuł programu telewizyjnego z Perry Masonem, Paul Drake'm i Della Street.

Osipow nie napisał jednak nic sensacyjnego. Pytanie „Czy umarł Piotr Rachman” prowadzi do odpowiedzi, że był tylko jednym z wielu sobie podobnych, którzy żerują na nędzy ludzkiej w kapitalistycznym „Londonie”. Normalny repertuar wymyślał pod adresem policji i wszelkich w ogóle instytucji zachodnich zastępuje Osipowowi dowody. Przecieższy ten sos propagandowy trudno nie zgodzić się ze stwierdzeniem, że spekulantów i gangsterów, do których rzekomo Rachman się zaliczał, pozostało po jego śmierci pod dostatkiem.

Na uwagę zasługuje jeden szczegółik z reportażu Osipowa. Nie nazywa Rachmana ani Polakiem ani Żydem, pisze jedynie, że jego przeszłość nie jest „całkiem jasna. Podobno pojawił się w Londynie dopiero w r. 1946 i miał w kieszeni wszystkiego 65 funtów”.

Wiele jest „niejasnego” w osobie Rachmana z wyjątkiem właśnie jego przeszłości... do roku 1946. Gdyby Pan Osipow przeprowadził studia w archiwach NKWD z lat 1939 do 1941, gdyby miał odwagę wspomnieć o wędrowce wojska polskiego z Rosji na front włoski — ten przynajmniej odcinek życia Rachmana stałby się zupełnie „jasny”.

Broń, Barwa i Maść

Z bardzo miłym i żenująco pochlebnym listem od Redakcji dotarł do mnie nowy numer „Broni i Barwy”. Ilekroć nowy numer się ukazuje uważam za swój obowiązek fakt ten zanotować. Z dwóch powodów: przede wszystkim dlatego, że każdy numer jest dowodem uporu i poświęcenia szczerzej garstki ludzi, którzy nie przejmują się wcale, że ich praca naukowa jest „niewdzięczna” w sensie tzw. szerokiego poklasku. Czasopismo poświęcone historii uzbrojenia i umundurowania jest czymś bardzo specjalnym. Niemniej jest potrzebne.

Drugim powodem jest moje osobiste, amatorskie zresztą i marginesowe, zainteresowanie. Numer ostatni zajął się „barwą”, na odmianę końską. Cały numer opracował p. Kostka Gępczer przedstawiając historię maści końskich w armiach polskiej i kilku innych europejskich. Opracowanie wzorowe. Nie dla „czepiania się” więc, lecz w imię prawdy historycznej, ważnej jak widzimy nawet w wypadku końskim, zwracam autorowi uwagę na jedyny błąd jaki zdołałem wykryć. Cytując „Dziękuję 15 pułku ulanów poznańskich”, Londyn, 1962, str. 140: „Szwadrony odróżniały się odrębną maścią koni: 1-szy na złotych kasztanach z lysinami, 2-gi na kasztanach z gwiazdką, 3-ci na koniach gniałych, 4-ty miał konie maści ciemnej: kare i skarogniade”.

Cylindry

Zrezygnowali z nich nawet dyplomaci. Zapomniała londyńska City z wyjątkiem woźnych w Banku Anglii. W swym szarym wydaniu pokazują się jeszcze niekiedy na wyścigach konnych. Może jeszcze na jakimś ślubie na prowincji?

A kominiarze? Coraz mniej ich na świecie, bo i coraz mniej kominów, z których wydobywał się dym i w których gromadziły się sadza. Kminy, owszem pozostały, jako ozdoby starych domów mieszkalnych. Lecz nic z nich nie dymi, gdy ogrzewanie przerobiono na ropę, na elektryczne lub gazowe. Kominów fabrycznych, nawet jeśli dymią po staremu, nikt nie będzie czyścił w cylindrze!



Wydawałoby się, że cylinder i motocykl wykluczają się wzajemnie. Zdjęcie, które reproduujemy dzisiaj, udowadnia, że tak wcale nie jest. Widzimy na nim kominiarzy; w cylindrach i na motocyklach. Skąd pochodzi to zdjęcie?

Ze Szczecina!

J. P. H.

MILICJANCI W OPALACH

„Sztandar Młodych” w nr. 165 donosi, że Komenda Wojewódzka Milicji Obywatelskiej w Łodzi badała wycinkowo na przestrzeni jednego roku problem awantur i bijatyk, zaliczanych przez prawodawstwo do przestępstw lżejszego kalibru i jako takich nie obejmowanych statystyką. „Zanotowano wówczas 1.373 chulikańskie wyryki. Poszkodowanych było 354 funkcjonariuszy Milicji Obywatelskiej, 263 innych urzędników i 886 osób prywatnych. W 436 przypadkach podczas bójek używano t. zw. niebezpiecznych przedmiotów — noży, kastetów, bute lek, sztąchet, odważników itp.”.

Oczywiście nic nie wskazuje, żeby Łódź miała być wyjątkiem. Jest jednym z pięciu t. zw. miast wydzierolonych. Jeśli dodać 17 województw i przyjąć, że w tych 22 wielkich jednostkach administracyjnych ma zastosowanie podana wyżej statystyka przestępstw, to okaże się, że na terenie Polski w ciągu roku samych tylko poszkodowanych w czasie bójek milicjantów było około 3.000

(FEC)

NA PRZYSTANI panuje niesamowity zgiełk. Dostojny stateczek, który na pewno pamięta „lepsze czasy” ugiął się prawie „pod ciężarem barwnie przystrojonych pasażerów, zalegających szelnie lewą burtę. Jest ich tylu, że moja niezbyt marynarska natura każe mi się rozglądać z niepokojem czy kapitan zdaje sobie sprawę z niebezpieczeństwa jakie grozi pojazdom morskim z powodu nierównomiernie rozłożonego ładunku.

Kapitan wszakże, sądząc że to kapitan, gdyż ma parę złocistych tasiemek na rękawie, stoi spokojnie na mostku, pali fajkę i od czasu do czasu pokrzykuje coś wcale nie groźnie lecz wesoło. A pasażerowie wladują się zwartym tłumem przez opuszczony trap. Dźwigają koszyki, necessary i zwykłe torby papierowe wypełnione owocami, butelkami piwa lub koka-koli oraz wszelakim sprzętem niezbędnym na plaży. A więc ręczniki, kostiumy kąpielowe, kremy i maście przy pomocy których blada skóra mieszcucha zamienić się ma w ciąg jednego dnia w polyskliwo-brunatną kompleksję szczęśliwych mieszkających Wysp Hawajskich. Ponadto łopaty i wiaderka, gumowe koła i materace wydychywane, na których można w bezpiecznej odległości od brzegu wyprawiać rozmaite figle wodne. Posiadacze sprzętu pływacko-plażowego ciągną poza tym za sobą drobny bagaż dziecięcy, różnego wieku i urody i w różnych stadiach radosnego rozbrzykania.

Najpoważniej i z wyniosłą dumą zachowują się osoby płci słabszej lecz niemniej powabnej w wieku od lat szesnastu do dwudziestu. Ubrane są i zaodulowane najstaranniej, bardzo starannie przemyślały każdy ruch i spojrzenie. Nic dziwnego. Ona są przecież właściwymi gwiazdami na scenie codziennego życia, gdyż na nich najchętniej spoczywa oko męskie, (zarówno ich nieśmiały rówieśników jak i pokolenia starszego, które choć patrzy ukradkiem ma przecież w wzroku znacznie więcej doświadczenia).

George — zwracam się do przyjaciela, który z typowo angielską obojętnością daje się spytać coraz dalej od burty w głąb pokładu — czy nie sądzisz, że powinniśmy już podnieść trap i odjechać?

— Mamy jeszcze cztery minuty czasu według rozkładu.

— Tak, ale przecież nie ma już miejsca. Czy to nie jest niebezpieczne?

— Jest jeszcze przeciwna burta zupełnie pusta. A poza tym jak ci nie wstyd? Ledwoś się sam dopchał na pokład już chcesz innym kazać czekać na następny statek?

— Szkoda, że nie znasz literatury polskiej — odpowiadam Georgowi — przypomnij mi ci jeden fragment z „Ogniem i Mieczem”. Jak to Pan Zagłoba przeprowadził się promem przez Dniepr...

Lecz oto napływ tłumu nagle ustaje — stateczek wydaje z siebie zawiadki ryk syreny. Kilka gwizdów i nadbrzeże zaczyna oddalać się szybko pozostawiając grupkę ludzi machających rozpaczliwie i zupełnie nieskutecznie rękami, dla podkreślenia, że się spóźniły i że to bardzo nieładnie ze strony stateczku odpływać nie zaczękawszy.

* * *

Blast! Wyrwa się nagle George'owi — oczywiście Pamela została na brzegu. Ta dziewczyna nie spóźnia się do biura przez cały rok, lecz musi się spóźnić gdy jest święto!

Pamela Brown jest sekretarką George'a i z tego tytułu powierzono jej ważną funkcję piastowania zbiorowego biletu, który uprawniał nas do przejazdu autokarami z Londynu do Portsmouth i statkiem przez zatokę na wyspę Wight. Pamela „zdażyła się spóźnić” jak zjadliwie mówi George między autokarem i statkiem, dodając

ponownie słowo „blast”, które nie jest niczym groźniejszym jako przekleństwo niż dobre, staropolskie słowo „chole-rra”.

Pamela przyjechała następnym stateczkiem, czerwona ze wstydu i gęsto się tłumacząc. Spóźniła się, bo odliczała starannie wszystkich pasażerów na których opiewał zawieszony jej bilet i chciała wsiąść ostatnią. Miała co liczyć, gdyż bilet opiewał na 657 pasażerów dorosłych, 234 dzieci do lat piętnastu oraz bliżej niesprecyzowaną ilość niemowląt noszonych na ręku lub prowadzonych na przemysłowych szelkach, które choć nad wyraz praktyczne i wygodne dla niemowląt — tak przynajmniej twierdzą matki, zdania niemowląt nie znam — przypominają mi wciąż uprzęż pociągową.

Chyba najwyższy już czas bym się wytłumaczył o co w ogóle chodzi czyli gdzie się znalazłem i dlaczego. Otóż brałem udział w obrzędzie zwanym w Anglii „Annual Outing”. Można nazwę przetłumaczyć jako „doroczna wycieczka”. W dniu tym zamyka się fabrykę na cztery spusty i kto żyw od wysokiej dyrekcji począwszy a kończąc na najmłodszym praktykancie wyrusza hurmem na wycieczkę. Najchętniej i najczęściej nad morze. Oczywiście rodziny są także zaproszone oraz szczuple ale dobrane grono przyjaciół firmy. Przyjacieli to ja. Nie dlatego bym zjadł rekordową ilość cukierków ślawowych, które fabryka wytwarza, lecz dlatego, że napisałem kiedyś reportaż o jej kantonie i o warunkach pracy. Od tego czasu uważany jestem za honorowego członka załogi i otrzymuję zaproszenia na doroczny obiad w willi Bożego Narodzenia, na tańcówki fabryczne w lutym i w listopadzie oraz na ówże „Annual Outing”.

Znaleźliśmy się zatem na Wyspie Wight, ściślej mówiąc w miejscowości Ryde. Jest to jedno z najczarowniejszych miejsc w całej Anglii. Mam na myśli całą wyspę a nie miasteczko Ryde, które jest kubek w kubek podobne do setek letniskowo-nadmorskich miejscowości angielskich; z promenadą, wysuniętym daleko w morze molo, na którym mieszczą się karuzele, teatrzyki, kina i całe wesołe miasteczko — z hotelami, pensjonatami, pięknym parkiem, zielonym tłem wzgórz i szeroką, piaszczystą plażą. Ryde tym się chyba różni od wielu podobnych, że nie mieszkała w nim nigdy królowa Elżbieta. Chodzi rzecz jasna o Elżbietę I, pogromczynię Hiszpanii, a nie o obecnie panującą. Ciekawa rzecz, jak Elżbieta I zdażyła w swym życiu przenocować choć raz w każdym prawie mieście angielskim, co magistraty zanotowały na wieczną rzecz pamiętkę przy pomocy tablic, pomniczków lub przynajmniej we wstępie do przewodnika turystycznego.

Zapytany kiedyś przeze mnie kierownik hotelu w Ryde nie umiał mi wyjaśnić dlaczego Elżbieta I nie nocowała w Ryde. Lecz wymienił mi na pociechę imiona innych postaci historycznych, Karola I i II, królowej Wiktorii, Wellingtona, Lloyd George'a i Churchilla. Chciałem mu odpowiedzieć cytatem z Boya, tym dość frywolnym o Kościuszcza i o Kołontaję Hugo, lecz dałem spokój.

Samorząd wyspy Wight toczy od lat sześćdziesięciu swoistą wojnę z lądem stałym tj. z resztą Anglii. Odmawia kategorycznie zgody na wybudowanie mostu przez zatokę. Przypomina to trochę spór o to czy wybudować most lub tunel między Anglią a Francją. Względy techniczne nie odgrywają roli, zatoka choć piękna i uważana za raj dla jachtów i żaglówek, jest raczej płytka i niezbyt szeroka. Stateczek, nie spiesząc się wcale przebywa ją w ciągu kwadransu. Nie byłoby więc trudności z budową. Lecz powody są „strategiczne”. „U nas jest bardzo ładnie — twierdzą z niepotrzebną skromnością mieszkańcy wyspy, niepotrzebną, gdyż jest nie ładnie, lecz ślicznie — deszcz prawie nigdy nie pada, krajobraz, kwia-

NA PROMIE I NA WYSPIE

ty. I jest nam bardzo dobrze. Owszem turyści i wycieczkowicze, wczasowicze i kolonie dzieci... Dlaczego nie? Niech każdy przyjeżdża, kiedy chce. Ale nie hurmem, nie masą samochodów. Jak by zbudowano most powstał by stały zator na wszystkich szosach i drogach, w każdym rowie siedziałoby tysiące ludzi jedząc kanapki i każdy chciałby tu mieć willę lub domek, dojeżdżając do pracy w Portsmouth, Southampton lub jeszcze dalej.

A tak? Zawsze jedzie się przez morze a to już zmienia charakter wycieczki. Jakoś przyjemniej i romantyczniej. Samochód trzeba ładować na prom, a miejsce na nim trzeba zamówić na dwa, trzy miesiące z góry”.

To prawda. Przypominam sobie z własnego doświadczenia.

Podróż morską. Może to za wiele tak ją nazwać. Lecz rzeczywiście, stateczek choć przyjaciele Polacy nazywają go „łajbą” — ma swój urok. Jest jak gdyby zapowiedzią rozkoszy wakacyjnych we Włoszech, we Francji lub w Hiszpanii.

Pod wieczór, gdy się już nahasano po plaży, gdy pociechy powiedziały „pas” na propozycję zjedzenia dwudziestej porcji lodów, i gdy czekamy przy piwku lub herbacie na powrót do Londynu, każdy opowiada o planach urlopowych. Gdzieś się podziela wypsiarskość Anglików, gdzieś czas, gdy dla robotnika, urzędnika lub nauczyciela podróż na Malaję lub do Australii była zwykłym wydarzeniem, lecz wyjazd na Kontynent europejski należał do rzędu spraw egzotycznych — a jeśli celem były wakacje — uważany był nieomal za zdróżny.

Dziś John jedzie na Baleary, Pamela z przyjaciółką robią objazd południowych Włoch, poważny Larry zataśknął z całą rodziną do lasów Tyrolu.

Każdy jedzie gdzie go jeszcze nie było. Na tym polega czar, może jeden z niewielu, zmieniających się czasów, owej współczesności tak złej w polityce a tak przyjemnej na codzień.

A także na tym, że mówimy sobie wszyscy po imieniu, i na tym, że rudowłosa Muriel naciąga się przez cały dzień ze swego dyrektora, doradzając mu tenis lub kajak, gdyż mu od siedzenia za biurkiem brzuch rośnie. Dyrektor jest zachwycony.

Co prawda Muriel jest nie tylko mistrzynią w obsłudze swego „ekstruderera”, lecz także bardzo ładną dziewczyną.

Paweł Zaremba

100 TYS. PODRĘCZNIKÓW POLSKICH

Wobec zbliżania się nowego roku szkolnego drukarnie sowieckie drukują masy nowych podręczników. W prasie wileńskiej podano, że na terenie t. zw. Litwy Sowieckiej ukaze się około 100 tys. podręczników w języku polskim. W czytankach dla dzieci polskich są twory Bolesława Prusa, Leona Kruczkowskiego, Władysława Broniewskiego, Petrasa Cwirki, Salomei Nervis itd. A więc prze-ważnie pisarzy kulturalnych lub zbliżonych do komunizmu.

Ponieważ w szkołach polskich jest dwadzieścia kilka tysięcy dzieci, więc na jedno dziecko przypadają 4 egzemplarze. Jest to liczba niewystarczająca. Skoro ogółem drukuje się 2 mil. 326 tys. podręczników, a nawet oficjalna statystyka wykazuje, że Polacy stanowią 1,5 proc. ludności, to podręczników polskich powinno być 300 tys. A gdyby jeszcze uwzględnić to, że wielu ludzi nie uznano za Polaków (zwłaszcza w Kowieńszczyźnie) choć chcieliby tego, trzeba by do wniosku, że należałoby wydrukować jakieś 400 tys. egzemplarzy w języku polskim.

Co prawda pokrzywdzenie języka polskiego wynika częściowo z tego, że niektóre podręczniki muszą być wydane w języku rosyjskim. (LWiL)

CENA EGZEMPLARZA: w W. Brytanii sh. 1/3 — we Francji NF. 0,75 — w Austrii 1,60 Sch. — w Belgii 7 br. b. — w Holandii 60 cent. — w Niemczech 60 Pf. — w Portugalii 5 esc. — w Szwecji 90 öre — we Włoszech 60 lir. — w Australii A 1sh 9d. — w Argentynie \$0,20 (w przeliczeniu) — w Kanadzie 20 cent. — w Stanach Zjednoczonych 20 cent. — w Szwajcarii 60 cent.

PRENUMERATA (opłata za przesyłkę lotniczą wg taryfy „płatna z góry”) Zamówienia i należności przyjmują: W W. BRYTANIJI: „Gryf” Publications Ltd., 169-171, Battersea Church Rd., London, S.W.11; miesięcznie 6/- kwartalnie 16/6, rocznie £3,00. Zmiana adresu 1s — W BELGII: miesięcznie frb. 25; kwartalnie frb. 75; Mrs. J. Korab-Brzozowska-Caaky, 116 rue Joseph II, Bruxelles 4; wpłacać na rachunek pocztowy: J. Korab-Brzozowska-Caaky nr. 315.20, podając swój dokładny adres — FRANCAJA: N.F.: kwart. 8.00, półr. 15.00, rocznie 28.00. Adm. „Syrena” 20, rue Legendre, Paris 17. Konto poczt.: Ed. ELKA-Paris 5607-30; „Libella” Librairie, 12 rue St. Louis-en-l'Île Paris IV; nr. konta poczt. Paris cc 565150. Francja Północna: inż. Eugeniusz Tuszewski, 107 rue Royale Lille (Nord) tel. 558-50. Dep. Bonches-du-Rhône, Var, Vaucluse: Stefan Horodyski Ecole des Filles, La Penne sur Huveaune (Bouches-du-Rhône) — W HOLLANDII: mies. fl. 2,00, kwart. 5,50, wpłacać przez poczt.: Fr. Malecki, Tulpenlaan 17, Lindendreef, Geleen (L.) — W NIEMCZECH: St. Mikieluk (13b) München, 45, Gablonserstrasse 7/A. — W NORWEGII: koron: mies. 4, kwart. 10, rocznie 36; Narvesens Kiosk Kompanii. Post

box 115, Oslo. — W PORTUGALII: kwart. 35 esc., rocz. 120; A Zieliński, Lisboa, Central Caixa, Post Nr 110. — W SZWAJCARII: fr. szw. mies. 2,00, kwart. 5,50; Maria Wasung, 5 rue des Jilias Genève i Janusz Rakowski Mainaustr. 28, Zurich. — W SZWECJI: koron: mies. 3,60, kwart. 10,00, rocz. 36,00; Polski Komitet Pomocy Jungfrugatan 30/11, Stockholm. — WE WŁOSZECH: lirów: kwart. 700; W Zahorski Associazione Combatt Polacchi; Via Licia 19-9 Roma; należność wpłacać przekazem poczt. — W ARGENTYNI: prenumerata rocznie \$8,00 (w przeliczeniu); Tadeusz Dąbrowski „Libreria Polac” Serrano 2076 Buenos Aires. — W BRAZYLII: półrocznie \$4,00, rocznie \$8,00. — W AUSTRALII: „Vistula” (Australia) Pty Ltd. Dakina House Rawson Place Sydney; „Spolem” 64, Tapleys Hill Rd. Royal Park Adelaide, S.A.; R Gronowski 23 Clifton Str., Richmond E.1. Vic kwart. £10,0A, rocz. £3,15,0A. — W KANADZIE: rocznie \$8,00; „Gryf” London. — W P.E.D. AFRYCE: kwart. 16/6, rocznie 60/-; prenumerata przyjmując bezpośrednio „Gryf” Publications Ltd. — W STANACH ZJEDNOCZONYCH: prenumerata kwartalna: \$2,10 półroczna: \$4,00. Przedstawicielstwa: J. Biełkowski 627, Tracy Street

Utica, N.Y., Polish American Book Co., 1136 Milwaukee Ave., Chicago 22, Ill.; „Księgarnia Ludowa” L. Zukowski, 6347 Chene St., Detroit 11, Mich. USA; „Polinvalco” 1029, Cuba St., Toledo, 17, Ohio i 6947, Oregon Ave., La Mesa via San Diego Calif.

CENA OGŁOSZEN: za jeder cal przez jeden tam £1,50 wzgl. 1 cm. przez jeden tam NF. 7,50. Przyjmuje: GRYF PUBL. LTD., 171, Battersea Church Rd., London, S.W.11; Adm. „Syrena” 20 rue Legendre, Paris 17, tel. WAGRAM 0045; Carlton Berry Ltd., Gr. Buildings, Trafalgar Sq., London W.C.2; lub Odra Press Ltd. 20, Queens Gate Ter., S.W.7, Tel. KNI 6855.

Nadestanych rękopisów Redakcja nie zwraca. Za treść ogłoszeń Redakcja nie bierze żadnej odpowiedzialności. Adres Redakcji i Administracji: „Gryf” 171, Battersea Church Rd., London, S.W.11. Tel. BATTERSEA 1445. We Francji: „Syrena” 20 rue Legendre, Paris 17, Tel. WAGRAM 0045. Konto pocztowe: ELKA cc. Paris 5507-30.